

Bartłomiej Kozłowski

Zakazy „mowy nienawiści” i „propagowania totalitaryzmu” nie pozytywnego nie dają – dość długa uwaga odnośnie pewnego wpisu prof. Mikołaja Małeckiego na FB

Znany profesor prawa karnego z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Mikołaj Małecki (przeze mnie też generalnie rzecz biorąc wysoko ceniony – to bez wątpienia wybitny specjalista w swojej dziedzinie) na prowadzonym przez siebie na Facebooku profilu „Dogmaty Karnisty” zamieścił tekst na temat zdarzających się niestety w ostatnim czasie aktów nienawiści wobec uchodźców z ogarniętą wojną Ukrainy (na szczęście będących, jak mi się wydaje, marginesem wśród mnóstwa przyjaznych wobec Ukraińców zachowań ze strony Polaków). Z tekstem tym w znacznej mierze niewątpliwie trzeba się zgodzić – słusznie piętnuje on wspomniane zachowania i trafnie wskazuje na istniejące w polskim kodeksie karnym przestępstwa z nienawiści – takie np. jak stosowanie przemocy lub groźby bezprawnej wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości (art. 119 § 1 k.k.). Nie wszystkie jednak twierdzenia przedstawione we wspomnianym tekście są – w moim przekonaniu – uzasadnione; w szczególności nie jest według mnie uzasadniony pogląd, że takie zachowania, jak publiczne nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo bezwyznaniowych – które może być ścigane na podstawie art. 256 polskiego k.k. – lub publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości – które stanowi przestępstwo określone w art. 257 k.k. – powinny być czymś prawnie zakazanym i karalnym. Na ten temat zacząłem pisać komentarz, który miałem zamiar zamieścić na blogu prowadzonym przez Pana Profesora. Niestety zaczął mi się on cokolwiek wydłużać – musiałem się też zająć czymś innym, niż jego pisanie (czym – nieważne) - i ostatecznie postanowiłem zrobić z niego tekst na swoją stronę internetową (oraz blog). Poniżej w związku z tym zamieszczam tekst umieszczony na Facebooku przez profesora Małeckiego, a dalej (częściową) polemikę z tym tekstem.

„Wszelkie przejawy nienawistnych idei, nienawistnej mowy i ataków podyktowanych nienawiścią do uchodźców mogą być piętnowane przepisami Kodeksu Karnego. Polskie prawo nie pozostawia pokrzywdzonych samym sobie.

Mamy niestety przed oczyma bojówki na ulicach Przemyśla, które w pierwszych dniach wojny w Ukrainie ruszyły w miasto, by „bronić” Polski przed uchodźcami, którzy z jakichś względów „nie pasowali” do wizji świata osób pełnych uprzedzeń i dyskryminacji. Dochodziło wówczas do aktów przemocy, znieważień, hejtu.

Polskie prawo karne na wiele sposobów pozwala reagować na te hejterskie słowa i czyny.

Rasistowski lub ksenofobiczny atak werbalny lub fizyczny to przestępstwo określone w art. 257 k.k.:

”Kto publicznie ZNIEWAŻA grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości lub z takich powodów NARUSZA NIETYKALNOŚĆ cielesną innej osoby, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Chodzi więc o dopuszczenie się znieważenia lub ataku fizycznego na inną osobę, których MOTYWACJĄ jest np. narodowość lub kolor skóry innego człowieka („z powodu”).

Przepis „dzieli” ludzi według ich narodowości, rasy czy wyznania oczywiście nie ze względu na to, że podziały te mają jakiegokolwiek uzasadnienie, lecz właśnie po to, by pokazać, że tego typu NIENAWISTNE PODZIAŁY tkwią w głowie sprawcy, co zwiększa karygodność jego czynu.

Częściowo kwalifikowaną odmianą tego czynu zabronionego jest przestępstwo umieszczone w art. 119 k.k.

”Kto stosuje PRZEMOC lub GROŹBĘ bezprawną wobec grupy osób lub poszczególniej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”.

Przemoc to nic innego jak intensywne naruszanie nietykalności cielesnej człowieka - zbieg art. 257 i 119 powinien być w tym zakresie rozstrzygany na rzecz przewidującego wyższą karę art. 119 k.k.

Karalne jest także nienawistne grożenie człowiekowi; przykładowo kazanie mu „wracać skąd przyszedł” pod groźbą pobicia lub popełnienia na jego szkodę jakiegoś gorszego przestępstwa.

Kodeks karny eksponuje karygodność dyskryminacji i hejtu, gdy umieszcza je w art. 119 k.k. w rozdziale zatytułowanym „Przestępstwa przeciwko pokojowi, ludzkości oraz przestępstwa wojenne”. Artykuł 119 to jeden z pierwszych dziecięciu typów przestępstw umieszczonych w części szczególnej Kodeksu karnego, w pierwszym rozdziale typizującym najpoważniejsze przestępstwa godzące w pokój na świecie.

Dogmatycznie rzecz biorąc, umiejscowienie art. 119 k.k. ma znaczenie symboliczne, gdyż nienawiść na ogromną skalę zaczyna się zawsze od „małego” hejtu i jednostkowych, dyskryminujących czynów.

Słowo „nienawiść” pojawia się wprost tylko raz w Kodeksie karnym, a jest to art. 256 § 1 k.k.

”Kto publicznie propaguje faszystowski lub inny totalitarny ustrój państwa lub NAWOŁUJE DO NIENAWIŚCI na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2”.

„Nawoływanie” przybiera postać publicznego „call to action”: sprawca szerzy nienawistne hasła na przykład wobec określonej grupy uchodźców przybywających do Polski, a

jednocześnie zmierza do tego, by jego niedopuszczalne poglądy były aprobowane wśród odbiorców.

To groźne przestępstwo jest popełniane dziś najczęściej za pomocą Internetu, który umożliwia szerzenie się nienawistnych idei na masową skalę. Może to eskalować zagrożenie dla bezpieczeństwa konkretnych osób oraz rodzić niebezpieczeństwo dla całego ustroju państwa.

Nieprzypadkowo Kodeks karny wymienia nawoływanie do nienawiści w art. 256 k.k. jednym tchem tuż po propagowaniu totalitaryzmu. Zjawiska te mają ze sobą wiele wspólnego, a myślenie kategoriami wykluczania osób „gorszych”, „innych”, „obcych” jest pierwszym krokiem do budowania zbrodniczego totalitaryzmu. Polskie prawo karne pozwala je zwalczać z pełną stanowczością.

Z nawoływaniem do nienawiści zbieżne jest nawoływanie do popełnienia zbrodni lub występku, lub ich publiczne pochwalanie (art. 255 k.k.). Może to przybrać postać pochwalania akcji bojówek atakujących wybranych uchodźców, którzy uciekają przed okropnościami wojny.

Wszystkie wymienione przestępstwa są ścigane Z URZĘDU.

Pokrzywdzony nie musi zatem składać prywatnego aktu oskarżenia, jak w przypadku „zwykłego” znieważenia czy naruszenia nietykalności cielesnej, by wyegzekwować naruszenie prawa. Nie jest nawet potrzebne zawiadomienie o przestępstwie ani wnioski o ściganie sprawy.

Tego typu hejt ścigać powinny samodzielnie i aktywnie organy państwa, odpowiedzialne za nasze bezpieczeństwo.

Polskie prawo karne broni nas WSZYSTKICH przed hejtem podszytym nieakceptowalną dyskryminacją.

Jeśli bylibyście świadkiem któregoś z wymienionych czynów, nie wahajcie się zgłaszać sprawy na policję”.

A oto, co ja mam na ten temat do powiedzenia:

W tym, co napisał profesor Małecki mowa jest o bardzo różnych, z punktu widzenia ich szkodliwości, czynach zabronionych przez polskie prawo karne. Krzywdzący, bezpośrednio szkodliwy dla osób innych, niż ich sprawcy charakter takich czynów, jak naruszenie czyjejś nietykalności cielesnej – a zwłaszcza już stosowanie poważnej przemocy przeciwko komuś – jest oczywisty. W podobny sposób krzywdzą ludzi skierowane przeciwko nim groźby, które wywołują u nich strach o własne bezpieczeństwo, bądź zmuszają ich do zachowywania się w inny sposób, niż ludzie ci tego by chcieli. Można, rzecz jasna, dyskutować na temat tego, czy fizyczne napaści na ludzi, bądź groźenie im przemocą z pewnych powodów (np. przynależności narodowej, rasowej, czy religijnej) powinny być karane surowiej, niż dokładnie takie same czyny, ale dokonywane w wyniku innych motywacji (ja co do tego mam duże wątpliwości) – żeby się tu jednak przesadnie nie rozwlekać, na razie zostawię tę kwestię w spokoju. (1)

W poście profesora Małeckiego mowa jest jednak nie tylko o nienawistnych czynach - takich jak fizyczne napaści na innych ludzi – czy też grożenie innym ludziom takimi napaściami – ale także o nienawistnych *wypowiedziach* – które z prawnego punktu widzenia mogą zostać zakwalifikowane jako przestępstwo publicznego nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość (art. 256 par. 1 k.k.), publicznego znieważenia grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości (art. 257 k.k.), czy też jako publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa lub publiczne pochwalanie popełnienia przestępstwa (art. 255 k.k., ewentualnie art. 126a k.k.) (2) – w przypadku wypowiedzi wyraźnie zachęcających do dokonywania czynów zabronionych przez polskie prawo karne, bądź pochwalających takie czyny.

Odnosnie wspomnianych wypowiedzi – czy może raczej typów wypowiedzi – można oczywiście powiedzieć, że wypowiedzi te, pod warunkiem spełniania przez nie znamion przestępstw określonych we wspomnianych przepisach kodeksu karnego – są przestępstwami dokładnie tak samo, jak są nimi pobicia, rozboje, gwałty, kradzieże czy morderstwa – ostatecznie rzecz biorąc, zgodnie z art. 1 par. 1 k.k. przestępstwem jest czyn zabroniony pod groźbą kary (tego rodzaju, co kary przewidziane w kodeksie karnym – zob. art. 32 [k.k.](#) - przez ustawę obowiązującą w czasie jego popełnienia). Czynem takim – teoretycznie rzecz biorąc – może być właściwie cokolwiek – ważne jest tylko, by były to czyny, czyli możliwe do zauważenia przez zewnętrznego obserwatora zachowania (a nie np. jedynie nie ujawniające się w widoczny sposób stany psychiczne), a nadto dany rodzaj czynów – by dokonywanie ich mogło stanowić przesłankę pociągania ludzi do odpowiedzialności karnej – musi zostać w zgodzie z obowiązującymi procedurami (czyli np. regulaminami Sejmu oraz Senatu) – uznany za przestępstwo.

Szkodliwość takich czynów, jak fizyczne napaści na inne osoby z powodu ich przynależności narodowej (czy jeszcze innej – religijnej, etnicznej, przynależności do części społeczeństwa wyróżniającej się spośród jego większości mniejszościową orientacją seksualną itd.), czy też celowego zastraszania konkretnych ludzi z takich powodów i takich czynów (można w ich przypadku też mówić o czynach, bo są to przecież zewnętrźnie obserwowalne zachowania, a nie jedynie niemożliwe do wykrycia myśli) jak nienawistne wypowiedzi o osobach należących do takich czy innych grup narodowych, rasowych, religijnych czy jeszcze innych (np. osób LGBT, itd.) nie jest jednak – śmiem twierdzić – taka sama, czy nawet podobna. Chciałbym zauważyć tu taką rzecz: nikt nie proponuje generalnej depenalizacji stosowania przemocy – nawet, jeśli chodzi o przemoc o nie bardzo groźnym charakterze, takiej, która nie prowadzi u jej ofiar do jakichś poważnych obrażeń ciała, czy wręcz do jakichkolwiek obrażeń – ja w każdym razie nie zetknąłem się z tego rodzaju postulatami. Lecz zakazy tego, co zwykło się obecnie określać mianem „mowy nienawiści” mają bardzo wielu przeciwników, a w niektórych krajach świata – przede wszystkim w USA, gdzie uważa się, że istnienie takich zakazów naruszałoby Pierwszą Poprawkę do Konstytucji, gwarantującą m.in. prawo do wolności słowa – ale też np. w Japonii – zakazy takie nie obowiązują.

W Polsce oczywiście „mowa nienawiści” – w pewnym przynajmniej zakresie – nie w każdym (nie jest, o ile nie stanowi ona nawoływania do popełnienia przestępstwa bądź pochwalania

popęlnienia przestępstwa, względnie też zniesławienia bądź personalnej zniewagi karalna „mowa nienawiści” dotycząca takich grup osób, jak np. robotnicy, rolnicy, nauczyciele, lekarze, biznesmeni, bezrobotni, bezdomni, członkowie partii politycznych – a także np. osoby LGBT) może być oczywiście traktowana jako przestępstwo, a autorzy publicznych wypowiedzi nawołujących do nienawiści na tle różnic np. narodowościowych, czy znieważających takie bądź inne grup narodowe, etnicznej, rasowe czy religijne nawet wsadzani za kratki. Takie, zgoda co do tego, jest w Polsce prawo. Lecz myślę jednak, że warto nie zatrzymać się na stwierdzeniu, że prawo jest takie, jakie jest – i koniec – lecz warto też zastanowić się nad tym, czy prawo powinno takie być – czy może jednak nie.

Czy rzeczywiście bowiem można w uczciwy i zgodny z faktami sposób powiedzieć, że „mowa nienawiści” jest jakimś groźnym, szkodliwym, zasługującym na surowe traktowanie przestępstwem? Aby dojść do jakiegoś wniosku na ten temat zastanówmy się nad tym, jakie szkody powoduje – czy też może powodować – owa „mowa”. Łatwo wyobrażalnym rodzajem szkody, do której może prowadzić „hate speech” – jest – tak to ogólnie nazwijmy – obraza uczuć – czyli krótko mówiąc to, że ktoś, do kogo „mowa” taka dociera – szczególnie (ale nie tylko i niekoniecznie) ktoś będący osobą należącą do atakowanej przez nią w konkretnym przypadku grupy – może poczuć się źle, czy wręcz fatalnie. Czy to, o czym tu mówimy jest jakąś szkodą, albo krzywdą? Myślę, że można byłoby się nad tym zastanawiać (zauważmy, że szkoda, o jakiej tu jest mowa jest szkodą subiektywną, wystąpienie takiej szkody nie jest bynajmniej koniecznym następstwem jakiegoś konkretnego przypadku „mowy nienawiści”) ale dla dobra argumentacji przyjmijmy, że nią jest.

Czy prawo powinno jednak karać ludzi za to, że – poprzez np. pewne swoje wypowiedzi – obrażają one uczucia innych osób? Z faktu, że w polskim kodeksie karnym występuje takie przestępstwo, jak „obraza uczuć religijnych” (art. 196 k.k.) (3) mógłby ktoś wyciągnąć wniosek, iż myśl o tym, że tak powinno być nie jest bynajmniej absurdalna. Jeśli chroni się przed doznaniem obrazy uczucia osób związane z ich wierzeniami religijnymi, to dlaczego nie chronić przed obrażaniem uczuć związanych z przynależnością narodową, etniczną, rasową, wyznaniową itd.?

Lecz jeśli ktoś uważa, że „mowa nienawiści” powinna być zakazana z uwagi na możliwość powodowania przez nią „obrazy uczuć” z powodu przynależności narodowej, etnicznej itd. to warto, by zauważył on, że obowiązujące w Polsce prawo nie zabrania wszelkich wypowiedzi, o których bez problemu można byłoby powiedzieć, że mogą one obrażać uczucia niektórych – a może nawet naprawdę wielu – ludzi i nawet zakaz obrażania uczuć religijnych jest cokolwiek ograniczony. Aby sobie to uświadomić wyobraźmy sobie, że ktoś publicznie wypowiada takie np. stwierdzenie, że Bóg – z całym szacunkiem dla tych, którzy w Niego wierzą (czyli w sumie również dla mnie) – jest wytworem ludzkiego umysłu, nie istniejącym w sposób realny. Czy taka wypowiedź mogłaby obrazić uczucia religijne niektórych osób? Myślę, że z praktyczną pewnością tak. Czy jednak taka wypowiedź mogłaby (przez uczciwy, orzekający po prostu zgodnie z literą obowiązującego prawa sąd) zostać uznana za przestępstwo? Otóż nie, z tego powodu, że wypowiedź ta nie znieważa „przedmiotu czci religijnej innych osób” jakim jest Bóg. Podobnie, można być pewnym tego, że uczucia religijne wielu osób mogłoby obrazić stwierdzenie, że Józef i Maryja mieli inne dzieci poza Jezusem, a Matka Boska bynajmniej nie była zawsze dziewicą – podobnie jednak, jak w

poprzednim przypadku wypowiedzenie takiego stwierdzenia nie byłoby w myśl art. 196 k.k. karalne, gdyż nie dałoby się w sposób uczciwy powiedzieć, że znieważa ono „przedmiot czci religijnej” którym Maryja niewątpliwie jest dla np. katolików.

Jak więc widać, pewne niepodlegające sankcjom prawnym wypowiedzi mogą obrażać uczucia – w konkretnych przypadkach uczucia religijne – niektórych osób tak samo, jak mogą je obrażać te wypowiedzi, które dałoby się uznać za przestępstwo. Pojawia się w związku z tym pytanie: czy jeśli uważamy, że obraza uczuć – a przynajmniej uczuć religijnych – stanowi krzywdę, przed którą należy ludzi chronić przy użyciu środków przewidzianych przez prawo karne (a w każdym razie możliwości stosowania takich środków – nikt chyba nie uważa, że za każdą wypowiedź obrażającą czyjeś uczucia religijne powinno się iść do więzienia), to czy nie powinniśmy dojść do wniosku, że art. 196 k.k. powinien zostać zmieniony w taki sposób, by można było na jego podstawie karać także za (np.) takie wypowiedzi, jak te, o których była tu mowa powyżej? (4) I w ogóle można byłoby zadać pytanie, dlaczego przed obrażaniem chronić tylko i wyłącznie uczucia religijne (czy też, powiedzmy, uczucia związane z przynależnością narodową, etniczną, rasową, wyznaniową bądź brakiem wyznania religijnego – można twierdzić, że celem istnienia w kodeksie karnym takich przestępstw, jak publiczne znieważenie Narodu lub Rzeczypospolitej Polskiej, bezczeszczenie symboli państwowych, czy publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości – jest m.in. ochrona tego rodzaju uczuć) lecz już nie uczucia związane z wyznawanymi przekonaniami, z przynależnością do grup innych, niż te wymienione w art. 257 k.k., z żywionym przez niektóre osoby kultem dla pewnych postaci historycznych, dzieł sztuki itd.? Chronić uczucia wybiórczo, czy konsekwentnie?

Jeśli zabronione miałyby być wszelkie wypowiedzi mogące obrażać jakiekolwiek uczucia innych, niż autorzy tych wypowiedzi, osób, to zakazanych wypowiedzi powinno być – najdelikatniej mówiąc – sporo. Zakazać powinno się deprecjonowania jakichkolwiek poglądów, ideologii, czy filozofii – bo coś takiego może prowadzić do obrażania uczuć ich wyznawców. Powinno się zabronić negatywnego wyrażania się o jakichś wielbionych przez niektórych ludzi postaciach – także historycznych, takich np. jak Jan Paweł II, Józef Piłsudski, czy Roman Dmowski – a także dziełach sztuki, z którymi związane są uczucia niektórych osób. Powinno się oczywiście zakazać „parad równości” które bez wątpienia obrażają uczucia niektórych ludzi. W oczywisty sposób zakazane powinny zostać obraźliwe wypowiedzi o *także* tych grupach ludzi, odnośnie których wypowiadanie się w taki sposób nie jest póki co karalne (a więc np. o politykach).

Jak zatem widać, zrealizowanie hipotetycznego (nikt, o ile wiem, go nie przestawił) postulatu zakazania wszelkich wypowiedzi mogących obrażać jakiekolwiek uczucia, jakie mogą mieć takie czy inne osoby prowadziłoby do stworzenia jakiejś koszarnej, totalitarnej rzeczywistości, w której prawo ludzi do swobodnego wypowiadania się i wyrażania swoich poglądów zostałoby drastycznie ograniczone. Czy mogłoby być tak, że w hipotetycznym systemie prawnym, w którym ochrona uczuć zostałaby w konsekwentny sposób uznana za rzecz ważniejszą od wolności ekspresji – jakiś zakres wolności słowa zostałby jednak zachowany – np. zakazane byłyby wypowiedzi znieważające, lecz dozwolona byłaby kulturalna i rzeczowa krytyka? Coś takiego teoretycznie rzecz biorąc można byłoby próbować

sobie wyobrazić. Lecz z takim podejściem wiązałyby się co najmniej dwa problemy. Jeden z nich polegałby na tym, że trudno byłoby wyznaczyć jasną granicę między teoretycznie jeszcze dopuszczalną, a już zakazaną ekspresją. Przecież zakres takich znanych prawu karnemu pojęć, jak np. znieważanie (czy też pokrewnych – i czasem też spotykanych – np. lżenie, wyszydzanie, poniżanie, uwłaczanie itd.) nie jest samoewidentny i oczywisty dla każdego – uczeni prawnicy – prokuratorzy, adwokaci, sędziowie czy profesorowie prawa nieraz nie są zgodni ze sobą co do tego, czy jakaś wypowiedź jest np. znieważaniem kogoś czy też nie. Trybunał Konstytucyjny – zgoda, że nie mający nic przeciwko istnieniu w prawie karnym przestępstw tego rodzaju, co zniewaga, miał okazję w co najmniej jednym ze swych wyroków stwierdzić, że „w literaturze przedmiotu nie ma ani pełnej zgody, ani jednoznaczności co do tego, jak rozumieć pojęcie zniewagi”. Drugi natomiast problem polegałby na tym, iż kulturalna i rzeczowa krytyka może być czymś bardziej raniącym uczucia niektórych osób, niż np. krytyka polegająca na stosowaniu obelg i inwektyw. Tą drugą łatwo można zbyć jako wyraz po prostu chamstwa, prymitywizmu i braku kultury jej autora – pierwszą trudniej jest odrzucić w taki sposób.

Jak zatem widać, konsekwentna realizacja (na szczęście czysto hipotetycznego) postulatu zakazania wszelkich mogących obrażać uczucia takich czy innych ludzi wypowiedzi musiałaby prowadzić do absurdu – przede wszystkim prowadziłaby do praktycznej likwidacji wolności słowa. Czy zakazywanie wypowiedzi mogących obrażać uczucia niektórych ludzi w sposób selektywny – jak ma to miejsce choćby w przypadku niektórych przestępstw przewidzianych przez kodeks karny – jest czymś lepszym? W praktyce rzecz biorąc, jest to oczywiście cokolwiek mniejsze – mające mniej rozległy zasięg – zło. Lecz problemy z takim podejściem są mimo wszystko poważne. Dlaczego zabraniać pewnych wypowiedzi mogących obrażać uczucia niektórych osób, lecz nie innych? Czy w przypadku selektywnych zakazów obraźliwych wypowiedzi nie mamy przypadkiem do czynienia z (poniekąd konstytucyjnie zabronioną) (5) dyskryminacją ludzi ze względu na ich poglądy? Czy zakazy niektórych obraźliwych wypowiedzi (bo przecież nie wszystkie obraźliwe wypowiedzi są karalne) nie stawiają przypadkiem wolności słowa na przysłowiowej równi pochyłej? Jeśli zakazuje się pewnych rodzajów wypowiedzi, to dlaczego nie zakazać również innych rodzajów wypowiedzi – różniących się od już zabronionych tylko tym, do jakich tematów wypowiedzi te się odnoszą?

Jeśli traktujemy prawo ludzi do swobodnego wyrażania się w sposób poważny, to musimy być bardzo, czy nawet wręcz skrajnie ostrożni wobec pomysłów zakazywania wypowiedzi z tego powodu, że tacy lub inni ludzie mogą się poczuć obrażeni, poniżeni, czy w inny sposób negatywnie dotknięci w następstwie kontaktu z takimi wypowiedziami. Nie znaczy to jeszcze, że ograniczanie wypowiedzi w celu zapobiegania obrażaniu uczuć (nie tylko religijnych) nigdy nie może być uzasadnione. Może być ono – jak sądzę – usprawiedliwione w przypadku występowania sytuacji tzw. przymusowych słuchaczy – to jest takich, którzy nie mogą w łatwy sposób przerwać kontaktu z niechcianą przez nich (czy tym bardziej naprawdę niemiłą dla nich) ekspresją. Jak – trafnie, wydaje mi się – stwierdził w jednym ze [swych wyroków](#) Sąd Najwyższy USA „nikt nie ma konstytucyjnego prawa do tego, by narzucać nawet dobre idee niedobrowolnym odbiorcom”. To jednak w odniesieniu do „mowy nienawiści” jest uwaga tylko na marginesie, z tego po pierwsze powodu, że

sytuacje przymusowego audytorium są – przynajmniej w odniesieniu do „hate speech” – na zdrowy rozum rzadkie (oczywiście nie są one rzadkie w ogóle – np. uczniowie w szkołach są przecież przymusowymi słuchaczami swoich nauczycieli, lecz względnie mało kto proponuje, by z takiego powodu zlikwidować obowiązek szkolny), a po drugie, zaistnienie wspomnianych tu przestępstw w żaden sposób nie zależy od występowania wspomnianego rodzaju sytuacji.

Jak zatem widać, zakazów „mowy nienawiści” nie da się w przekonujący sposób obronić przy użyciu argumentu, że wypowiedzi nawołujące do nienawiści wobec takich czy innych grup narodowych, rasowych, religijnych itd. czy też znieważające takie grupy mogą powodować – czy też naprawdę powodują – szkody tego rodzaju, co obrażanie uczuć, jakie ludzi z pewnością często mają w związku ze swą przynależnością narodową, etniczną, wyznaniową itd.

Powiedzmy sobie jednak, że o ile ochrona uczuć związanych z faktem przynależności narodowej, rasowej, religijnej itd. jest wyobraźalnym powodem zakazywania „hate speech” (i zresztą nawet lansowanym przez niektórych autorów wypowiadających się na ten temat) to bardziej – teoretycznie przynajmniej – ważkim powodem do istnienia zakazów tego rodzaju, co te zapisane w art. 256 i 257 polskiego k.k. jest to, że nienawistne wypowiedzi mogą przyczyniać się do motywowanych nienawiścią czynów – takich, jak pobicia, przypadki zniszczenia własności, czy nawet zabójstwa, skierowane przede wszystkim przeciwko członkom atakowanych przez „mowę nienawiści” grup społecznych. Czy jednak zakazy „mowy nienawiści” dadzą się w przekonujący sposób uzasadnić przy użyciu argumentu, że „hate speech” może prowadzić do „hate crimes”?

Co do tego argumentu: jak myślę, należy się zgodzić z tym, że prawnie zakazane i karalne powinny być wypowiedzi bezpośrednio prowadzące do wyrządzającego fizyczną krzywdę innym ludziom działania (czy też powiedzmy, do poważnego zniszczenia mienia) i dodatkowo mające na celu spowodowanie tego rodzaju skutków. Czy nawet – powiedzmy – wypowiedzi powodujące – w konkretnych okolicznościach, w jakich wypowiedzi te mają miejsce – bardzo realne niebezpieczeństwo spowodowania takiego rodzaju rezultatów, nawet jeśli fizycznej szkodzi udało się zapobiec (choć tu mam większą wątpliwość) (6). To są bowiem wypowiedzi, których negatywnym skutkiem nie da się zapobiegać w inny sposób, jak poprzez zakazywanie i karanie za takie wypowiedzi. Wypowiedzi, o jakie mi tu chodzi – klasycznym przykładem może być celowe podburzanie już agresywnie nastawionego tłumu do fizycznego ataku na jakąś osobę – mają do siebie to, że w ich przypadku droga od słów do czynów przebiega, lub przynajmniej często może przebiegać w sposób skrótowy, z pominięciem procesów refleksji nad treścią wypowiedzi i konsekwencjami dania posłuchu zawartemu w niej wezwaniu – czy to dla innej osoby (która może zostać np. ciężko pobita bądź nawet zabita) czy też dla sprawcy czynu, do dokonania którego wzywała dana wypowiedź – w postaci np. trafienia do więzienia, czy nawet wyrzutów sumienia z powodu dokonania czynu, którego jego sprawca nie popełniłby w jakichś spokojniejszych okolicznościach. Z takiego właśnie powodu skutkiem takich wypowiedzi nie da się zapobiegać wyłącznie poprzez to, co w amerykańskiej doktrynie dotyczącej wolności słowa określa się mianem *counterspeech* – krytykowania, wyśmiewania, wykazywania fałszywości i absurdalności jakichś poglądów czy pokazywania, że prawo działa i naprawdę karze

przestępstwa, które niektórzy ludzie popełnili w wyniku tego, że do ich oczu czy uszu dotarły takie bądź inne treści. W przypadku podburzania już rozwścieczonego tłumu na coś takiego nie ma miejsca, ani czasu, nie ma to szansy zadziałać.

Jeśli jednak przyjrzymy się takim przepisom, jak art. 255, 256 czy 257 kodeksu karnego, to bez najmniejszego trudu dojdziemy do wniosku, że przepisy te pozwalają na ściganie i karanie – w tym również więzieniem – za wypowiedzi, które nie powodują bezpośredniego niebezpieczeństwa wzniesienia przemocy czy innych porównywalnie szkodliwych działań (np. dewastacji czyjegoś mienia). Powiedzmy sobie, że w przypadku art. 255 k.k. – który generalnie rzecz biorąc (ma on trzy paragrafy) kryminalizuje publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa, a także publiczne pochwalanie popełnienia przestępstwa – wypowiedź, aby mogła „podpaść” pod ten przepis musi zawierać zachętę do dokonania jakiegoś czynu zabronionego przez obowiązujące w Polsce prawo karne, bądź też pochwałę dokonania takiego czynu. Lecz odpowiedzialność na podstawie tego przepisu absolutnie nie zależy od skutków nawoływania (czy też pochwalania) i co więcej, na jego podstawie (czy też na podstawie stanowiącego *lex specialis* względem art. 255 art. 126a) karane są wypowiedzi, które na zdrowy rozum nie mają żadnej szansy doprowadzenia do faktycznego popełnienia jakiegoś przestępstwa. Weźmy tu – jak przykład – dość głośną swego czasu sprawę niejakiego Kamila Kurosza, który stanął przed sądem z powodu opublikowanego przez siebie na Twitterze stwierdzenia, że należy zamknąć „pisowskie szumowiny” w jednej sali i wpuścić do niej gaz. Zgodzić się oczywiście trzeba, że Kurosz nawoływał do popełnienia wyjątkowo ciężkiego przestępstwa, jakim jest masowe morderstwo – lecz jakie było prawdopodobieństwo tego, że takie przestępstwo zostanie w następstwie jego wypowiedzi popełnione? Na zdrowy rozum, było ono żadne. Lecz mimo braku realnego zagrożenia wynikającego z jego wypowiedzi Kurosz został skazany. Zgoda, że na bardzo niską karę (3 miesiące ograniczenia wolności polegające na potrąceniu 10% pensji), ale jednak został. Wspomnieć można też o innym wyroku za „nawoływanie do popełnienia przestępstwa” z powodu wypowiedzi, odnośnie której czymś wyjątkowo nierozsądnym byłaby choćby próba twierdzenia, że wypowiedź ta mogła prowadzić do faktycznego popełnienia przestępstwa. Chodzi tu o sprawę pewnego psychiatry z Wrocławia, który w 2017 r. na swoim facebookowym profilu opublikował zdjęcie czarnoskórej dziewczyny siedzącej w samochodzie, które opatrzył komentarzem: „A małpka na siedzeniu pasażera zbulwersowana, że ktoś im zdjęcie robi” (co zostało uznane za publiczne znieważenie z powodu przynależności rasowej), a w roku 2016 udostępnił link do artykułu: „W gdańskim sklepie zbierają pieniądze na karabin na ciapatych”, który skomentował: „wrzuciłbym nawet pięć dych”, a także zamieścił link do artykułu „Brytyjskie miasto w rękach muzułmanów. Białych w Blackburn już prawie nie ma” do czego dodał komentarz: „z drugiej strony potem wystarczy takie miasto otoczyć drutem kolczastym, w równych odstępach wieżyczki strażnicze”. Treści umieszczone w internecie przez autora tych wpisów niewątpliwie były czymś budzącym sprzeciw przyzwoitych ludzi, lecz jaka była ich realna szkodliwość, czy też powodowane przez nie zagrożenie? Czy ktokolwiek zdrowo myślący wyobraża sobie, że wypowiedź wspomnianego psychiatry naprawdę mogłaby się przyczynić do otoczenia brytyjskiego miasta Blackburn drutem kolczastym i wieżyczkami strażniczymi? Z kolei tekst o zbieraniu pieniędzy na karabin na „ciapatych” pojawił się – jak sprawdziłem – na szeregu

portalach internetowych, takich, jak pomorskie.naszemiasto.pl, dziennikbałtycki.pl, se.pl, wiadomości.gazeta.pl, strajk.eu, polska time.pl, natemat.pl, i wykop.pl. W tekście tym nie było nic prawnie zakazanego. Oczywiście, akcja, o której była w tym tekście mowa, mogła być nielegalna – wyobrażalne jest nawet, że można byłoby ją potraktować jako takie przestępstwo, jak przygotowanie do dokonania takiego przestępstwa, jak dopuszczenie się zabójstwa lub spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu innej osoby w celu wyniszczenia w całości albo w części grupy narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub grupy o określonym światopoglądzie, względnie dokonanie zabójstwa lub spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu człowieka przez osobę biorącą udział w masowym zamachu lub choćby w jednym z powtarzających się zamachów skierowanych przeciwko grupie ludności podjętych w celu wykonania lub wsparcia polityki państwa lub organizacji (art. 126 c par. 1 k.k. w związku z art. 118 lub 118 a par. 1 k.k.) bądź gromadzenia środków płatniczych w celu sfinansowania przestępstwa o charakterze terrorystycznym (165a § 1 k.k.) – pod warunkiem oczywiście, że akcja ta naprawdę miałaby taki cel (możliwość osiągnięcia takiego celu w przypadku wspomnianej akcji wydaje mi się w najlepszym wypadku mocno hipotetyczna). Lecz jeśli nawet opisana na szeregu portalach internetowych akcja zbierania w pewnym gdańskim sklepie pieniędzy na karabin na „ciapatych” stanowiła przestępstwo (czy powinna ona zostać w praktyce potraktowana jako przestępstwo, zakładając, że naprawdę przyświecał jej deklarowany przez autora cel? Myślę, że nie, ponieważ jest rzeczą bardzo wątpliwą, by osiągnięcie rzeczzonego celu wskutek tej akcji było możliwe – karabin to trochę jednak kosztuje – w najgorszym przypadku urzeczywistnieniu celu tej akcji można byłoby zapobiec poprzez likwidację skarbonki, jednak bez karania jej autora – tak zresztą się stało), to jasne jest chyba, że o ile publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa czy też publiczne pochwalanie popełnienia przestępstwa jest w Polsce przestępstwem, to po prostu mówienie (bądź pisanie) o przestępstwie przestępstwa nie stanowi – proponuje ktoś, by było inaczej? Komentarz wspomnianego tu psychiatry, który pod artykułem o zbieraniu pieniędzy na karabin na „ciapatych” napisał, że „wrzuciłby nawet pięć dych” bardzo teoretycznie rzecz biorąc mógłby zachęcić kogoś do zrobienia czegoś takiego. Lecz możliwość takiego akurat skutku tej jego wypowiedzi była czysto hipotetyczna, zaś od wypowiedzi tej do dokonania faktycznego zamachu (przy użyciu owego karabinu, który, jak myślę, nie miał szansy zostać naprawdę kupiony w wyniku opisanej na niektórych portalach internetowych zbiórki) na życie jakiejś osoby należącej do mniejszości rasowej były przysłowiowe lata świetlne. Ogólnie zatem rzecz biorąc, realna szkodliwość wypowiedzi rzeczzonego psychiatry była żadna. Lecz mimo, iż wypowiedzi, o których była tu mowa do niczego konkretnie złego nie doprowadziły i trudno byłoby sobie nawet poważnie wyobrażać, by mogły doprowadzić ich autor został skazany (przez Sąd Okręgowy we Wrocławiu – orzekła jednoosobowo sędzia Anna Orańska – Zych) na 8 miesięcy ograniczenia wolności, polegające na wykonywaniu w każdym miesiącu 30 godzin robót przymusowych – a więc na karę nie bardzo może jeszcze drastyczną, lecz niewątpliwie wymiennie dolegliwą dla skazanego.

I tu była mowa o publicznym nawoływaniu do popełnienia przestępstwa – a więc czynu zabronionego przez (obowiązujące w Polsce) prawo karne. Lecz polski kodeks karny zakazuje nawoływania nie tylko do popełniania przestępstw – zakazuje on także (w art. 256 §

1) nawoływania do nienawiści - pod warunkiem, że chodzi o nienawiść na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość – do innych rodzajów międzyludzkiej nienawiści, jak zatem widać, nawoływać wolno.

Pomysł wprowadzenia do kodeksu karnego przestępstwa „nawoływania do nienawiści” już na kilka lat przed jego faktyczną realizacją (w kodeksie karnym z 1969 r. istniało przestępstwo „publicznego nawoływania do *waśni* na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” oraz publicznego pochwalania takich waśni – było ono cokolwiek problematyczne chociażby ze względu na pojemność i niejasność pojęcia „waśnie”, które mogło być oczywiście interpretowane jako stosowanie przemocy, czy ataki na mienie osób należących do takich bądź innych grup narodowych, etnicznych, religijnych itd. – ale przecież nawoływanie do popełnienia przestępstwa było penalizowane przez inne przepisy k.k.) spotkał się z krytyką ze strony jednego z najwybitniejszych w Polsce autorytetów w dziedzinie prawa karnego, jakim jest prof. Lech Gardocki. W opublikowanym w 1993 r. na łamach prawniczego periodyku „Palestra” artykule [„Granice wolności słowa w projekcie kodeksu karnego”](#) późniejszy I Prezes Sądu Najwyższego napisał tak:

„Zupełnie nieudany wydaje się być końcowy fragment art. 255 projektu k.k. (w wersji z marca z 1993 r.), wg którego przestępstwem (obok pochwalania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa –w uchwalonym w 1997 r. k.k. mowa jest o publicznym propagowaniu takiego ustroju) jest również „nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość”. Nie chodzi tu bowiem, jak wynika z brzmienia przepisu, o nawoływanie do określonego zachowania się, lecz do określonej emocji (nienawiści). Brzmi to więc bardzo niejasno i nie bardzo wiadomo, co autorzy projektu mieli tu na myśli. Czy chodzi po prostu o wywoływanie nienawiści przez propagowanie negatywnych wypowiedzi o pewnych grupach osób? Czy o nawoływanie do manifestowania nienawiści? Uzasadnienie projektu milczy na ten temat. Widocznie przepis ten wydał się twórcom projektu na tyle ważny, by go wprowadzić, ale nie aż tak ważny, by to uzasadniać”.

Z krytyką przestępstwa „nawoływania do nienawiści” można, jak sądzę, pójść dalej, niż zrobił to swego czasu prof. Gardocki i zadać pytanie np. o to, na ile nienawiść – nawoływania do której zabrania art. 256 par. 1 k.k. –jest emocją „określoną”? Bez wątpienia, gdy stykamy się z pojęciem „nienawiści” w jakiś generalny sposób wiemy, wyczuwamy to, o co w pojęciu tym chodzi. Najlepsza chyba interpretacja pojęcia nienawiści, zwłaszcza w kontekście użycia go w art. 256 § 1 k.k. jest taka, że nienawiść to intensywna, zajadła, namiętna wręcz wrogość. Chodzi tu więc o emocję o skrajnym – skrajnie negatywnym – charakterze. Lecz wciąż chodzi tu (bezpośrednio w każdym razie) tylko o emocję, o pewien stan psychiczny, o pewne wewnętrzne nastawienie. Gdzie jest granica między emocją tak skrajną, że nawoływanie do niej stanowi przestępstwo określone w art. 256 § 1 k.k., a taką, do której pobudzanie (czy próba pobudzania do niej) nie może być jeszcze uznana za przestępstwo? Pytanie to jest istotne z tego względu że art. 256 § 1 k.k. – jak poniekąd w 2011 r. stwierdził sąd Najwyższy - nie zabrania „nawoływania” do wszelkich negatywnych emocji, w tym także takich, które odnoszą się do ludzi wyróżniających się takimi cechami, jak narodowość, przynależność etniczna, rasowa, wyznaniowa lub brak wyznania religijnego – nie zakazuje on

„nawoływania” do – powiedzmy – niechęci, uprzedzeń bądź nieufności, gdyż tego rodzaju uczucia nie są jeszcze nienawiścią. Co chyba jest oczywiste, to to, że określenie tego, czy jakaś wypowiedź „nawołuje” do nienawiści jest czymś wybitnie zależnym od subiektywnego „widzimi się” kogoś, kto dokonuje oceny owej wypowiedzi – a więc w procesie karnym prokuratora – który decyduje o ewentualnym oskarżeniu kogoś – a następnie sędziego, którego zadaniem jest wydanie stosownego wyroku. Można więc z powodzeniem zaryzykować postawienie tezy, że fragment art. 256 § 1 k.k. mówiący o publicznym nawoływaniu do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość narusza jedną z podstawowych zasad prawa karnego, jaką jest zasada określoności zagrożonych karą czynów. (7) Można też zadać pytanie o to, czy wspomnianej zasady nie narusza art. 257 k.k. – w takim w każdym razie zakresie, w jakim penalizuje on publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości (zostawmy w spokoju fragment tego przepisu mówiący na naruszeniu nietykalności cielesnej innej osoby z któregośkolwiek ze wspomnianych w nim powodów) – znieważenie, jak już wspomniałem, nie jest pojęciem mającym jasne, wyraźne i bezsporne granice.

Art. 256 i 257 k.k. zakazują więc pewnych nienawistnych czy też obraźliwych wypowiedzi – odnoszących się do czy to konkretnych osób czy (w praktyce zazwyczaj) całych ich grup ze względu na takie ich cechy, jak przynależność narodowościowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa bądź niewyznawanie żadnej religii (czyli bycie ateistą, agnostykiem albo nawet kimś wierzącym np. w Boga, ale nienależącym do żadnego związku wyznaniowego). Jak już wspomniałem granice określonych w tych przepisach przestępstw są niejasne – jest rzeczą zupełnie wyobrażalną, że dokładnie ta sama wypowiedź może przez jednego sędziego (czy też prokuratora) zostać uznana za „nawoływanie do nienawiści” zaś przez innego za niekaralne pobudzanie do emocji tego rodzaju, co uprzedzenie albo niechęć. Podobnie, jeden sędzia może uznać jakąś wypowiedź za „znieważenie grupy ludności” z powodu jej przynależności narodowej bądź jeszcze innej – inny sędzia może taką samą wypowiedź uznać głupią, czy niestosowną, ale nie stanowiącą przestępstwa.

Zostawmy jednak w spokoju – w praktyce z pewnością bardzo istotny – problem niedookreśloności przestępstw, o których jest mowa w art. 256 i 257 k.k. Niejasność wspomnianych przepisów – aczkolwiek niewątpliwie znaczna – nie jest, trzeba to przyznać, aż taka, by kompletnie nie było wiadomo, o co w nich chodzi – nieprecyzyjność takich pojęć, jak „nawoływanie do nienawiści” oraz „znieważenie” jest – jak myślę, mniej więcej taka, jak takiego pojęcia, jak [pornografia](#) – pewien sędzia Sądu Najwyższego USA stwierdził jak wiadomo, że o tym, czy coś jest pornografią („obszecznością”) wie on wtedy, kiedy to widzi (po angielsku zabrzmiało to „*I know it, when I see it*”). Cokolwiek ważniejsza od próby udowodnienia niedopuszczalnej niejasności art. 256 i 257 k.k. wydaje mi się próba odpowiedzi na postawione tu wcześniej pytanie, czy zakazanie i zagrożenie znacznymi (sięgającymi 2 lat więzienia w przypadku przestępstwa z art. 256 k.k. i 3 lat w przypadku przestępstwa z art. 257 k.k.) karą wypowiedzi, które mogą być uznawane za przestępstwa określone w tych przepisach jest uzasadnione ze względu bezdyskusyjnie słuszny *per se* cel,

jakim jest zapobieganie przemocy motywowanej nienawiścią wobec ludzi należących do takich czy innych grup narodowych, rasowych, etnicznych, religijnych itd.?

Na czysto abstrakcyjnym, teoretycznym poziomie wydaje się, że argumenty na rzecz tezy, że „mowa nienawiści” powinna być zakazana z tego względu, że może ona prowadzić do motywowanych nienawiścią czynów wydają się nadzwyczaj mocne. Wszyscy chyba wiemy o tym, że „nienawiść na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” wielokrotnie prowadziła do strasznych zdarzeń – takich, jak antyżydowskie pogromy w dawnych (i również wcale nie tak dawnych) wiekach, niewolnictwo i późniejsze lincze na Murzynach w USA, wojna domowa w latach 90 zeszłego wieku w byłej Jugosławii, rzeź etniczna w 1994 r. w Rwandzie, pogromy grupy etnicznej Rohingja w Mjanmie (Birmie) i oczywiście największej z tych masowych zbrodni, jaką był Holocaust. Czy nie jest więc zasadne zakazanie wypowiedzi pobudzających do nienawiści narodowościowej, etnicznej, rasowej, czy wyznaniowej po to, by tego rodzaju, jak wspomniane powyżej tragedie już nigdy więcej się nie zdarzały?

Myśl o tym, że „mowa nienawiści” prowadzi do przemocy (a przynajmniej, że może do niej prowadzić – nawet najbardziej skrajny zwolennik tezy, że skutkiem „hate speech” są „hate crimes” nie uważa chyba, że każdy konkretny przypadek „mowy nienawiści” prowadzi do motywowanego nienawiścią przestępstwa) i że przemocy motywowanej nienawiścią wobec osób należących do takich czy innych grup rasowych, narodowościowych, rasowych itd. należy zapobiegać (a co najmniej starać się jej zapobiec) zakazując takiej „mowy” niewątpliwie leży u podłoża takich przepisów, jak art. 256 i 257 polskiego k.k. – myśl taka z pewnością motywowała też uchwalenie takiego przepisu, jak art. 20 ust. 2 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych, zgodnie z którym „Popieranie w jakikolwiek sposób nienawiści narodowej, rasowej lub religijnej, stanowiące podżeganie do dyskryminacji, wrogości lub gwałtu, powinno być ustawowo zakazane” (pomimo gwarancji wolności słowa, przewidzianej w art. 19 tegoż paktu), czy takiego jak art. 4a Konwencji w sprawie Likwidacji Wszelkich Form Dyskryminacji Rasowej, zgodnie z którym państwa będące stronami owej konwencji zobowiązały się „uznać za przestępstwo podlegające karze zgodnie z prawem wszelkie rozpowszechnianie idei opartych na wyższości lub nienawiści rasowej, wszelkie podżeganie do dyskryminacji rasowej, jak również wszelkie akty przemocy lub podżeganie do tego rodzaju aktów wobec jakiejkolwiek rasy bądź grupy osób o innym kolorze skóry lub innego pochodzenia etnicznego, a także udzielanie pomocy w prowadzeniu działalności rasistowskiej, włączając w to finansowanie tej działalności”.

W praktyce jednak z rzetelnym uzasadnieniem popularnej tezy, że „mowa nienawiści” prowadzi do przemocy i że właściwą metodą zapobiegania owej przemocy jest zakazanie „mowy nienawiści” są poważne problemy. Nie chodzi tu tylko i wyłącznie o to, czy nienawiść – na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość – może prowadzić do złych rzeczy – bo jasne jest, że tak – ale raczej o to, czy źródłem takiej nienawiści i powodowanych przez nią tragedii jest możliwość szerzenia nienawiści w ramach nieograniczonej wolności szerzenia jakichkolwiek poglądów i czy zakazy „mowy nienawiści” mogą przyczyniać się do zapobiegania co najmniej wyobraźalnemu skutkowi takiej „mowy”.

Zauważmy bowiem taką rzecz: takie zjawiska, jak np. masowe pogromy osób należących do takich czy innych grup narodowych, rasowych, czy religijnych oczywiście wielokrotnie w historii świata się zdarzały i trudno byłoby twierdzić, że zdarzenia takie nie miały nic wspólnego z negatywnymi nastawieniami odnośnie takich grup, a te z kolei z takimi czy innymi przekazami na ich temat. Lecz warto zadać pytanie o to, gdzie takie straszne, masowe zbrodnie motywowane nienawiścią przeciwko ludziom takiej, czy innej rasy, narodowości, wyznania itd. miały miejsce? Otóż, na ten temat trzeba powiedzieć jedno: zbrodnie takie bynajmniej nie zdarzały się tam, gdzie występowała jakaś „nadmierna” – obejmująca *także* „mowę nienawiści” – wolność słowa. Trudno chyba byłoby poważnie mówić o jakiejś „wolności słowa” w miotanej pogromami Żydów średniowiecznej Europie. Rajem swobody wypowiedzi na pewno nie były też w praktyce Stany Zjednoczone w XIX wieku i nawet przez znaczną część XX wieku. W Jugosławii w czasach przed rozpadem tego państwa w latach 90 zeszłego wieku można było trafić do więzienia za byle żart na temat którejś z grup narodowościowych zamieszkujących to państwo. Trudno byłoby też mówić o „nadmiernej wolności” słowa – w tym sensie, w jakim można byłoby próbować mówić o niej w odniesieniu do współczesnych Stanów Zjednoczonych – w Rwandzie, w której w 1994 r. doszło do ludobójstwa na grupie etnicznej Tutsi, w wyniku którego w ciągu około 100 dni od 6 kwietnia do lipca 1994 zginęło, według różnych szacunków, od 800 000 do 1 071 000 ludzi – Rwanda była jednopartyjną dyktaturą, ponadto też trwała w niej wojna domowa. W oczywisty sposób „wolności słowa” nie było też w III Rzeszy Niemieckiej – państwie, które zorganizowało Holocaust.

Tego rodzaju – mające taką skalę – zbrodnie nie zdarzają się we współczesnych, zachodnich demokracjach. Znów, oczywiście, w krajach, o które mi chodzi – a więc, przykładowo, w Niemczech, we Francji, w Niderlandach, w Wielkiej Brytanii, w krajach skandynawskich (i w ogóle w państwach europejskich), w Kanadzie czy w USA zdarzają się tzw. przestępstwa z nienawiści, czyli np. fizyczne ataki na osoby, motywowane przynajmniej po części ich przynależnością narodowościową, etniczną, rasową, religijną czy orientacją seksualną – w dużej większości, warto to powiedzieć, nie są to czyny o jakichś bardzo groźnych następstwach.

Mógłby ktoś oczywiście próbować twierdzić, że to, iż we współczesnych zachodnich demokracjach nie zdarzają się masowe pogromy Żydów bądź członków innych grup narodowych, etnicznych, religijnych itd. jest – po części przynajmniej – zasługą zakazów „mowy nienawiści” – które ograniczają przekazy pogardy i wrogości wobec takich grup, jak np. Żydzi i hamują przez to kształtowanie poglądów i pobudzanie emocji, których rezultatem bywa przemoc przeciwko ludziom należącym do mniejszości społecznych. Ja myślę, że to, iż wspomniane zjawiska nie przybierają w dzisiejszych zachodnich demokracjach takiej skali, jaką miały one w przeszłości jest wynikiem tego, że współczesna kultura bardzo silnie wpaja nam szacunek dla takich wartości, jak życie, zdrowie, własność i w ogóle generalny szacunek dla praw innych osób. Wszędzie zdarzają się oczywiście tacy, którzy wartości tych nie respektują, lecz są to względnie nieliczne jednostki.

Rozważając problem tego, czy zakazy „mowy nienawiści” mogą zapobiegać przestępstwom z nienawiści – tego rodzaju, co fizyczne ataki na ludzi, czy przypadki zniszczenia czyjejś własności – warto też zauważyć taką rzecz, że wszystkie kraje europejskie (a także np.

Kanada) mają w swych kodeksach karnych przepisy zabraniające pod groźbą całkiem poważnych sankcji – sięgających w przypadku Wielkiej Brytanii 7 lat więzienia, a w każdym innym przypadku przynajmniej roku odsiadki (chodzi o maksymalne zagrożenie karą) - wypowiedzi podżegających (nawołujących) do nienawiści wobec grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, religijnych, czy też grup osób charakteryzujących się taką cechą, jak orientacja seksualna, lub (albo jednocześnie) znieważania czy zniesławiania takich grup, wyrażania pogardy wobec nich, czy grożenia takim grupom (które nie musi być jednoznaczne z grożeniem przemocą konkretnym osobom). Natomiast w Stanach Zjednoczonych takich zakazów nie ma – czymś mogącym podlegać sankcjom prawnym są przypadki zastraszania innych osób poprzez grożenie im użyciem przemocy – w tym także z powodu ich rasy, narodowości, orientacji seksualnej itp. (tak samo, jak z każdego innego powodu), uporczywe, werbalne dręczenie innych osób, bezpośrednie napaści słowne twarzą w twarz, mogące sprowokować ich adresatów do gwałtownej reakcji, a także z pewnością rzadko zdarzające się w praktyce przypadki wypowiedzi umyślnie podburzających do natychmiastowego przestępczego działania, które w okolicznościach, w jakich mają miejsce, stwarzają bezpośrednie i realne niebezpieczeństwo faktycznego wzniesienia takiego działania (wypowiedzi po prostu nawołujące do łamania prawa czy też pochwalające przypadki jego naruszenia są według Sądu Najwyższego USA chronione przez Pierwszą Poprawkę). Ogólnie rzecz biorąc jest więc tak, że to, co określa się ogólnym mianem „mowy nienawiści” jest w USA czymś prawnie dopuszczalnym w bez porównaniu większym stopniu, niż w pozostałych wspomnianych tu krajach. W Stanach Zjednoczonych zakazane są tylko takie rodzaje „hate speech”, które są bezpośrednio krzywdzące czy niebezpieczne dla innych, niż ich autorzy ludzi – poniekąd zresztą, nawet niechronione przez I Poprawkę wypowiedzi – takie, jak np. napaści słowne („fighting words”), czy groźby nie mogą być karane w jakiś szczególnie surowy sposób z tego powodu, że mają one charakter np. rasistowski, antysemicki czy homofobiczny. W Europie (czy też w Kanadzie) zakazuje się pewnych wypowiedzi nie tylko z tego względu, że są one bezpośrednio krzywdzące (jak np. groźby przemocy) bądź niebezpieczne dla innych (jak pewne – z pewnością rzadko zdarzające się w praktyce, lecz mimo wszystko mogące się czasem zdarzać – przypadki nawoływania do przemocy), ale także z tego powodu, że są one – czy też lepiej powiedziawszy mogą być – czymś potencjalnie i pośrednio niebezpiecznym – w tym sensie, że mogą się one, jak uważają zwolennicy zakazów takich wypowiedzi – przyczyniać się do kształtowania (czy podtrzymywania) przekonań i pobudzania emocji, w następstwie których to przekonań i emocji niektórzy ludzie mogą posunąć się do dokonywania „przestępstw z nienawiści”. Bądź po prostu dlatego, że są one obraźliwe dla niektórych ludzi – takich, jak osoby należące do takich czy innych grup narodowych, rasowych, religijnych itd.

Czy jednak da się w poważny sposób twierdzić, że zakazy „mowy nienawiści” mogą zapobiegać negatywnym skutkom, jakie – jak się tego obawiają zwolennicy takich zakazów – może mieć taka „mowa” (zadając takie pytanie, nie sugeruję twierdzenia, że „mowa nienawiści” po prostu nie może przyczyniać się do takich zjawisk, jak przemoc – bo na zdrowy rozum jest to oczywiście możliwe)? Na to pytanie trudno jest zapewne z całkowitą pewnością odpowiedzieć – zwolennicy zakazów „hate speech” zapewne zawsze (czy przynajmniej długo jeszcze) będą twierdzić, że następstwem – niekoniecznie

natychmiastowym – „mowy nienawiści” jest przemoc i aby przemoc tej zapobiegać należy tępić taką mowę także przy użyciu takich środków, jakie ma do swojej dyspozycji prawo karne – a więc np. nakładania grzywien, skazywania na bezpłatne wykonywanie jakichś prac społecznych, skazywanie ludzi na wyroki „w zawiasach”, czy nawet wsadzania ich do więzień. Wydaje mi się jednak, że najbardziej pewną odpowiedź na takie pytanie daje sprawdzenie tego, czy w takich krajach, które zabraniają „mowy nienawiści” zdarzeń tego rodzaju, jak „przestępstwa z nienawiści” jest – proporcjonalnie do liczby ludności takich krajów – mniej, niż tam, gdzie „hate speech” jest czymś prawnie tolerowanym.

Jak jednak wypada takie porównanie? Aby to stwierdzić, na podstawie dostępnych w Internecie źródeł – w tym przede wszystkim [strony OBWE o przestępstwach z nienawiści](#) – policzyłem, ile przestępstw z nienawiści tego rodzaju, co fizyczne ataki przeciwko ludziom, ataki na cudzą własność oraz przypadki gróźb i groźących zachowań przypadało w 2020 r. – ostatnim, z którego pochodzą dostępne dane – na milion mieszkańców takich krajów, jak Austria, Finlandia, Francja, Holandia, Kanada, Niemcy, Norwegia, Szwecja, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Według tego obliczenia na każdy statystyczny milion ludności tych krajów w 2020 r. przypadały następujące liczby wspomnianych rodzajów „hate crimes”:

Fizyczne ataki na ludzi: Austria (2021 r. – poprawka do tekstu, dane dotyczące 2020 r. były całkowicie błędne) – 88,32, Finlandia - 60,51, Francja – 11,07, Holandia – 40,08, Kanada – 13,52, Niemcy – 13,29, Norwegia – 25,20, Szwecja 29,17, Wielka Brytania (Anglia i Walia) – 713, USA – 10,76

Ataki na własność: Austria (2021 – uwaga j.w) - 140,24, Finlandia – 20, 43, Francja 3,02, Holandia – 22,48, Kanada – 30,91, Niemcy – 13,61, Norwegia – 5,743, Szwecja – 18,07, Wielka Brytania – 93,83, USA – 8,94

Grożby i groźące zachowania: Austria (2021) – 74,14, Finlandia – 35,62, Francja – 27,33, Holandia – 47,74, Kanada – 13,31, Niemcy – 6,73, Norwegia – zakłócenia spokoju – 21,38, Szwecja – 48,99, USA – 11,96

Zrobiłem też analogiczne zestawienie dotyczące przestępstw z nienawiści o takim samym charakterze, skierowanych przeciwko Żydom mieszkającym we wspomnianych powyżej krajach, do których dorzuciłem też Szwajcarię – mającą w swym kodeksie karnym, a konkretnie w jego art. 261 bis zapisany wyjątkowo szeroki zakaz „mowy nienawiści”, za którą grozi tam kara do 3 lat więzienia. Dlaczego akurat kwestia przestępstw antysemickich warta jest szczególnej uwagi? Otóż dlatego, że wszędzie tam, gdzie „mowa nienawiści” jest karalna prawdopodobnie żadne inne „nienawistne” wypowiedzi nie były od momentu wprowadzenia zakazów takiej „mowy” bardziej intensywnie tępione, niż wypowiedzi skierowane przeciwko Żydom. Dodać też można, że występujące w szeregu krajach europejskich zakazy wypowiedzi generalnie rzecz biorąc znanych jako „kłamstwo oświęcimskie” – a więc zakazy wypowiedzi negujących czy (w niektórych krajach, takich, jak Austria i Niemcy choćby tylko „bagatelizujących”) nazistowskie zbrodnie przeciwko Żydom też nieraz bywają postrzegane jako zakazy wypowiedzi, które mogą przyczyniać się do nienawiści – i pośrednio przemocy – przeciwko Żydom – w jednej z rozpatrywanych przez siebie spraw ([Garaudy przeciwko Francji](#)) Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził, że „kwestionowanie zbrodni przeciwko ludzkości jest jedną z najcięższych form rasistowskiego

zniesławienia i nawoływania do nienawiści przeciwko Żydom”. (8) To samo można powiedzieć o ograniczeniach wolności słowa tego typu, co (literalnie zapisane w przepisach prawnych obowiązujących np. w Austrii i w Niemczech) zakazy propagowania nazizmu – systemu politycznego, który powszechnie jest znany z największej w dotychczasowej historii świata zbrodni przeciwko Żydom.

Jak jednak prezentuje się owo zestawienie (podaję w nim liczby poszczególnych rodzajów „przestępstw z nienawiści” przeciwko Żydom na statystyczne 100 tys. Żydów, oraz na milion wszelkich mieszkańców poszczególnych państw)? Otóż tak:

Fizyczne ataki na osoby: Austria (w świetle danych nieoficjalnych – porządne [oficjalne dane](#) na temat liczb przestępstw z nienawiści w Austrii zaczęto publikować dopiero w 2022 r.) – 150 na 100 tys. Żydów i 1,68 na milion wszelkich mieszkańców, Finlandia – 76,92 na 100 tys. Żydów i 0,18 na milion wszelkich mieszkańców, Francja – 11,83 na 100 tys. Żydów i 0,78 na milion wszelkich mieszkańców, Holandia – 137,58 na 100 tys. Żydów i 2,34 na milion wszelkich mieszkańców, Kanada – 2,29 na 100 tys. Żydów i 0,24 na milion wszelkich mieszkańców, Niemcy – 43,22 (w świetle danych nieoficjalnych – 107,63) na 100 tys. Żydów i 0,61 (w świetle danych nieoficjalnych – 1,53) na milion wszelkich mieszkańców, Norwegia (2019) – 307,69 na 100 tys. Żydów i 0,74 na milion wszelkich mieszkańców, Szwajcaria – 16,22 na 100 tys. Żydów i 0,35 na milion wszelkich mieszkańców, Szwecja – 20 na 100 tys. Żydów i 0,29 na milion wszelkich mieszkańców, Wielka Brytania (w świetle raportu Community Security Trust) – 34,25 na 100 tys. Żydów i 1,49 na milion wszelkich mieszkańców, USA – 1,65 (w świetle danych nieoficjalnych – 2,93) na 100 tys. Żydów i 0,29 (w świetle danych nieoficjalnych – 0,51) na milion wszelkich mieszkańców.

Ataki na własność: Austria – 550 na 100 tys. Żydów i 6,28 na milion wszelkich mieszkańców, Finlandia – 538,46 na 100 tys. Żydów i 1,27 na milion wszelkich mieszkańców, Francja – 33,48 na 100 tys. Żydów i 2,22 na milion wszelkich mieszkańców, Holandia – 87,28 na 100 tys. Żydów i 1,48 na milion wszelkich mieszkańców, Kanada – 66,41 na 100 tys. Żydów i 6,86 na milion wszelkich mieszkańców, Niemcy – 190,68 (w świetle danych nieoficjalnych – 334,75) na 100 tys. Żydów i 2,28 (w świetle danych nieoficjalnych – 4,75) na milion wszelkich mieszkańców, Norwegia (2019) – 153,85 na 100 tys. Żydów i 0,37 na milion wszelkich mieszkańców, Szwajcaria – 48,65 na 100 tys. Żydów i 2,08 na milion wszelkich mieszkańców, Szwecja – 126,67 na 100 tys. Żydów i 1,84 na milion wszelkich mieszkańców, Wielka Brytania – 24,66 na 100 tys. Żydów i 1,07 na milion wszelkich mieszkańców, USA – 8,49 na 100 tys. Żydów i 1,47 na milion wszelkich mieszkańców.

Groźby i grożące zachowania: Austria – 240 na 100 tys. Żydów i 2,69 na milion wszelkich mieszkańców, Francja – 33,26 na 100 tys. Żydów i 2,21 na milion wszelkich mieszkańców, Holandia – 211,41 na 100 tys. Żydów i 3,59 na milion wszelkich mieszkańców, Kanada – 8,40 na 100 tys. Żydów i 0,87 na milion wszelkich mieszkańców, Niemcy – 38,14 (w świetle danych nieoficjalnych – 102,54) na 100 tys. Żydów i 0,54 (w świetle danych nieoficjalnych – 1,46) na milion wszelkich mieszkańców, Norwegia (2019) – 76,92 na 100 tys. Żydów i 1,19 na milion wszelkich mieszkańców, Szwajcaria – 10,81 na 100 tys. Żydów i 0,23 na milion wszelkich mieszkańców, Szwecja – 166,66 na 100 tys. Żydów i 2,42 na milion wszelkich mieszkańców, Wielka Brytania – 21,1 na 100 tys. Żydów i 1,27 na milion

wszelkich mieszkańców, USA – 3,66 na 100 tys. Żydów i 0,63 na milion wszelkich mieszkańców.

Co wynika z dokonanych powyżej porównań? Otóż – jak dla mnie – to, że jakkolwiek teza, iż „mowa nienawiści” (nie będąca bezpośrednio niebezpiecznym w konkretnym miejscu i czasie podburzaniem do przemocy) teoretycznie przynajmniej rzecz biorąc może przyczyniać się do popełnienia przez niektórych ludzi, do których oczu lub uszu „mowa” taka trafia przestępstw z nienawiści – w tym także tych skierowanych przeciwko Żydom - nie jest jakimś po prostu jawnym absurdem (nie jest czymś, wydaje mi się, sprzecznym z przysłowiowym zdrowym rozsądkiem obawa do tycząca np. tego, że ktoś, kto naczytał się tekstów mówiących o tym, że Żydzi są podludźmi, albo porównujących ich do szczurów czy karaluchów bądź wprost sugerujących przemoc przeciwko nim może nabrać pewnych poglądów i w następstwie takich poglądów popełnić antysemitowskie przestępstwo – takie, jak np. zbezczeszczenie żydowskiego cmentarza, dokonanie ataku na należącą do Żyda własność, czy też pobicie, albo nawet zabicie Żyda – z większym w każdym razie prawdopodobieństwem od kogoś, kto na teksty propagujące tego rodzaju poglądy nigdy się nie natknął) to za tezę, że zakazy „mowy nienawiści” zapobiegają przestępstwom z nienawiści (czy też, powiedzmy, zmniejszają ryzyko ich występowania) nie dałbym złamanego grosza. (9)

Jak zatem widać, zakazy „mowy nienawiści” mijają się z zakładanym ich celem – po prostu nie ma praktycznie rzecz biorąc żadnych dowodów na to, że zapobiegają one niewątpliwie groźnym i bezpośrednio krzywdzącym dla konkretnych ludzi zjawiskom tego rodzaju, co przestępstwa z nienawiści – inne niż sama „hate speech”. Na to, że zakazy „mowy nienawiści” nie są efektywnym narzędziem walki ze zjawiskami tego rodzaju, co antysemityzm czy też rasizm i zapobiegania niekiedy groźnym efektom takich zjawisk świadczą też inne dane, niż te dotyczące „przestępstw z nienawiści”. Mająca główną siedzibę w USA żydowska organizacja AntiDefamation League od wielu lat prowadzi w różnych krajach badania mające na celu określenie natężenia wstępującego w nich antysemityzmu. W ostatnim badaniu dotyczącym Stanów Zjednoczonych (z 2014 r.) stwierdzone zostało, że antysemita – według kryteriów przyjętych przez tę organizację – stanowią ok. 9% dorosłych mieszkańców tego kraju – w którym antysemita ani żadna inna „mowa nienawiści” nie jest, jak już tu wspomniałem, prawnie zakazana. Natomiast w Kanadzie, gdzie za propagowanie nienawiści wobec np. Żydów można nawet trafić do więzienia antysemitów było w 2014 r. 14%. W Niemczech – gdzie antysemita „mowa nienawiści” jest szczególnie surowo ścigana i karana antysemitów było w 2014 r. 27%. To prawda, że liczba ta zmniejszyła się do 16% w 2015 r. i do 15% w 2019 r. – w dalszym jednak ciągu była ona wyraźnie (choć nie diametralnie, rzecz jasna) wyższa, niż w USA. W Austrii według ADL w 2014 roku było 28% antysemitów, zaś w 2019 r. 20%. We Francji antysemitów ADL naliczyła w 2014 r. imponujące 37% - w kolejnych badaniach z 2015 i 2019 r. liczba ta spadła do 17% - jeśli wierzyć tym danym, był to poważny spadek, lecz w dalszym ciągu antysemitów w zakazującej „mowy nienawiści” Francji było wyraźnie więcej, niż w tolerujących ją Stanach Zjednoczonych. W Szwajcarii – kraju mającym w swym kodeksie karnym zapisany (i o ile wiem, naprawdę egzekwowany) zakaz „mowy nienawiści” (art. 261 bis k.k.) antysemitów według ADL było w 2014 r. 26%. Z kolei w Norwegii antysemitów odnotowano w 2014 r. 15%. Podobnie, 15% antysemitów stwierdziła ADL w 2014 r. w Finlandii. Zgoda, że niektóre

badania ADL dotyczące krajów zachodnioeuropejskich wykazywały, że antysemityzm jest w tych krajach mniej, niż w USA – i tak np. w Szwecji ADL stwierdziła tylko 4% antysemityzmu. Lecz mimo wszystko w krajach Europy Zachodniej, w których antysemicka „mowa nienawiści” jest – inaczej, niż w USA – prawnie zakazana ludzi wyznających antysemickie poglądy było najczęściej więcej, niż w Stanach Zjednoczonych. I tak jeszcze przy okazji – odnośnie Polski ADL w 2019 r. stwierdziła, że 48% jej mieszkańców ma poglądy o charakterze antysemickim (w 2014 r. wyznawców takich poglądów było według ADL w naszym kraju 45%, zaś w 2015 r. 37%). Można na pewno dyskutować na temat tego, dlaczego tak jest – wiemy doskonale o tym, że antysemityzm ma w naszym kraju, niestety, znaczne tradycje. Lecz warto jednak zauważyć, że Polska ma w swym kodeksie karnym zapisane naprawdę szerokie zakazy „mowy nienawiści” zaś autorzy antysemickich wypowiedzi (z których większość nie jest oczywiście w praktyce ścigana – wyobraża sobie ktoś wytaczanie procesu karnego o każdy nienawistny komentarz w Internecie? – zresztą większość takich tekstów nie jest zapewne znana organom ścigania) – nie będących np. bezpośrednio niebezpiecznym podżeganiem do przemocy – niekiedy nawet trafiają do więzienia. Nie zmienia to faktu, że antysemickie – przynajmniej według kryteriów przyjętych przez ADL – poglądy są w naszym kraju czymś powszechnym.

Jak więc widać, zakazy „mowy nienawiści” – pomimo zapewne stojących za nimi dobrych intencji – nie prowadzą w praktyce do niczego dobrego. Nigdzie nie zredukowały one zjawisk tego rodzaju, co np. rasizm, czy antysemityzm, które, jak już wspomniałem, są w zabraniających „hate speech” krajach europejskich zjawiskami o co najmniej większym nasileniu, niż w USA, gdzie za „mowę nienawiści” do więzienia się nie idzie. Stwarzają one natomiast istotne, w moim odczuciu, problemy. Pomińmy już to, że ograniczają one wolność słowa – inaczej może twierdzić tylko ktoś, kto z góry uważa, że zakaz wyrażania pewnych poglądów nie narusza swobody ekspresji – ale dlaczego tylko takich, które są wyrażane poprzez „mowę nienawiści” – a nie wypowiedzi propagujące jakieś zupełnie inne, choć być może też potencjalnie szkodliwe przekonania? Zakazy te zagrażają regułom państwa prawa – jest tak co najmniej z dwóch powodów: po pierwsze, pojęcia zawarte w tych zakazach – takie, jak „nawoływanie do nienawiści” – a więc po prostu pewnej, nie mającej jasnych i bezspornych granic emocji – czy znieważanie są podatne na subiektywne i arbitralne interpretacje, a po drugie, jak też już wspomniałem przestępstw „mowy nienawiści” nie da się ścigać w sposób konsekwentny: niewątpliwie większość takich przestępstw – zwłaszcza popełnionych w Internecie – pozostanie nieznana organom tego rodzaju, co policja, ABW czy prokuratura.

Zakazy „mowy nienawiści” stwarzają też inne niebezpieczeństwo – takie mianowicie, że stawiają one wolność słowa na przysłowiowej równi pochyłej. To, że zakazy „hate speech” stwarzają tego rodzaju zagrożenie dla swobody wypowiedzi łatwo można sobie uświadomić, jeśli zastanowimy się – nawet pokrótce – nad przesłankami istnienia takich zakazów. Jakże to są przesłanki – a raczej jakie, w pierwszym rzędzie – nie są? Otóż, przesłanką zakazów tego rodzaju wypowiedzi, które mogą być karane na podstawie art. 256 czy 257 kodeksu karnego, czy też podobnych przepisów kodeksów karnych krajów innych niż Polska – czyli wypowiedzi obrażających takie czy inne grupy narodowe, etniczne, rasowe, religijne, czy pobudzających – a raczej po prostu usiłujących pobudzić do wrogiego nastawienia wobec

członków takich grup na pewno nie jest to, że są to wypowiedzi bezpośrednio prowadzące, czy z dużym prawdopodobieństwem mogące bezpośrednio prowadzić do przemocy – której, jeśli to jest konieczne, należy starać się zapobiegać, w tym nawet przy użyciu instrumentów prawa karnego – w tym (w ostateczności) nawet ograniczenia wolności słowa. Takie wypowiedzi, jak te, które mogą być traktowane jako przestępstwo określone w art. 256 czy 257 k.k. nie mają jednak – generalnie rzecz biorąc – tego rodzaju efektów – o tym, że tak jest wiemy choćby z tego, że nie spotykamy się z relacjami na temat ludzi, którzy pod wpływem emocji wywołanych u nich przez np. przeczytanie jakiegoś komentarza w nienawistny sposób odnoszącego się do takiej czy innej grupy narodowej, rasowej itp. wybiegli z domu na ulicę i np. pobili osobę należącą do grupy, której tyczyła się przeczytana przez nich wypowiedź. Raczej, obawy dotyczące „mowy nienawiści” są takie, że „mowa” ta może przyczyniać się do kształtowania pewnych przekonań i pobudzania – albo podsycania – pewnych emocji – w ogóle tworzenia pewnego „klimatu” – czego pośrednim następstwem mogą być np. przestępstwa z nienawiści.

Przyjmijmy powyższe rozumowanie za dobrą monetę – jak już wcześniej tutaj wspomniałem, rozumowanie takie nie jest *per se* absurdalne. Lecz czy w oparciu o takie zachowanie można zakazać tylko „mowy nienawiści” (bądź ewentualnie jakichś porównywalnie przynajmniej ograniczonych kategorii wypowiedzi)? Czy do nienawiści – i pośrednio też ewentualnie przemocy – wobec osób należących do takich czy innych grup narodowych, rasowych, religijnych itd. mogą się przyczyniać wyłącznie takie wypowiedzi, o których można byłoby uczciwie powiedzieć „tak, to jest nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych...” lub jeszcze innych, albo np. „tak, to jest znieważenie grupy ludności z powodu jej przynależności (np.) narodowej” bądź ewentualnie „tak, to jest nawoływanie do przemocy” lecz już nie wypowiedzi, których nie sposób byłoby tak scharakteryzować?

To pytanie warto jest zadać w kontekście ostatnich wydarzeń związanych z wojną na Ukrainie. Wszyscy chyba chcemy tego, by Ukraina tę wojnę wygrała, a Roscy maksymalnie DOSTALI W DUPE (a Putina według mnie powinno się zabić). Lecz nie chcemy chyba tego, by obiektem nienawiści, a już tym bardziej przemocy stali się np. zwykli mieszkający w Polsce Rosjanie. Czy jednak publikowanie tekstów mówiących o (np.) o tym, że większość Rosjan marzy o odbudowie dawnej potęgi swego państwa i popiera politykę swego prezydenta nie może przyczyniać się do wywoływania u niektórych ludzi wrogich emocji wobec Rosjan – i pośrednio przemocy przeciwko nim? Podobnie, czy mówienie lub pisanie o terroryzmie uprawianym przez niektórych muzułmanów i fanatyzmie religijnym niektórych wyznawców islamu nie może, zwłaszcza np. w połączeniu z mówieniem lub pisanem o napływie wyznających islam imigrantów do Europy nie może przyczyniać się do wywoływania u niektórych ludzi emocji, których następstwem (w skrajnych przypadkach) może być przemoc wobec muzułmanów? Mówienie i pisanie takich rzeczy nie jest jednak karalne. Powinno być z tego powodu, że może to mieć złe skutki? W ogóle chciałbym zauważyć, że odnośnie wielu rodzajów wypowiedzi – które nie są zakazane i których zdaje się nikt nawet póki co nie proponuje zakazać z powodzeniem można twierdzić to, że wypowiedzi te mogą przyczyniać się do czynów wyrządzających szkody – ba, twierdzić można, że szeregu rodzajów takich czynów nie byłoby bez takich wypowiedzi. Jak pisałem w

jednym ze swych wcześniejszych tekstów „na zdrowy rozum, nie byłoby podpalania klinik aborcyjnych i zabójstw wykonujących zabiegi przerwania ciąży lekarzy, gdyby nikt nie głosił idei świętości życia ludzkiego od chwili poczęcia i nie przedstawiał aborcji jako wołającej o pomstę do nieba zbrodni. Podobnie, przypadki fizycznych ataków na rzeczników zakazu aborcji nie miałyby miejsca, gdyby nikt nie głosił twierdzeń, że zakaz aborcji jest oburzającym moralnie zamachem na podstawowe prawo kobiety do decydowania o swoim ciele i macierzyństwie. Nie byłoby podpalania rzeźni, firm futrzarskich, pojazdów do przewozu zwierząt rzeźnych i laboratoriów, gdzie eksperymentuje się na zwierzętach, gdyby nikt nie mówił i nie pisał o cierpieniach zwierząt zabijanych na żywność i futra lub wykorzystywanych w laboratoryjnych doświadczeniach; czyny te byłyby też mniej prawdopodobne bez przekonania ich sprawców do poglądu, że eksploatacja zwierząt jest moralną zbrodnią. Nie byłoby podpalania laboratoriów prowadzących eksperymenty genetyczne i badania w dziedzinie bio i nanotechnologii, gdyby nikt nie głosił twierdzeń o potencjalnej zgubności manipulacji genetycznych i bio lub nanotechnologii. Członkowie działającej w Meksyku grupy „Individualidades Tendiendo a lo Salvaje” nie mordowałiby naukowców zajmujących się bio i nanotechnologią bez przekonania ich do opinii o niebezpieczeństwie bio i nanotechnologii. Podpalania obwinianych o nadmierną emisję CO₂ i przyczyniających się jakoby w sposób szczególny do efektu cieplarnianego samochodów typu SUV nie byłoby bez szerzenia katastroficznych wizji skutków globalnego ocieplenia. Francisco Lotero i Miriam Coletti z Argentyny nie zamordowałiby swojego dziecka, nie usiłowałiby zabić drugiego i nie popełniliby samobójstwa ze strachu przed skutkami globalnego ocieplenia, gdyby o skutkach tych nikt nie pisał i nie mówił. Ekoterroryzm – stosowanie przemocy w obronie zagrożonego przez ludzką działalność środowiska nie istniałby w świecie, w którym w kwestii zagrożeń środowiska ze strony ludzkiej działalności panowałaby cisza. Zdarzających się pod koniec lat 90 XX w. i w pierwszej dekadzie XXI w. rozruchów podczas obrad WTO, MFW, Banku Światowego i tzw. grupy G8 nie byłoby, gdyby nie obwiniano tych ciał o wyzysk, nędzę i niszczenie środowiska w krajach (głównie) III Świata. Antyrządowe rozruchy nie zdarzałyby się w społeczeństwie, w którym o rządzie mówiono i myślano by wyłącznie dobrze. Kryminalne wyczyny skrajnych grup antyfaszystowskich w rodzaju Antify, takie , jak brutalne pobicia osób składających kwiaty na grobie przywódcy przedwojennej „Zadruży” Jana Stachniuka 11 listopada 2005 r. na warszawskich Powązkach, osób jadących na tzw. marsz niepodległości w 2010 r. w Warszawie, czy też uczestników obchodów Dnia Żołnierzy Wyklętych w 2013 r. w Lublinie nie miałyby miejsca bez przekonania ich sprawców do opinii o narastającym czy odradzającym się faszystowskim zagrożeniu, o tym, że dla osób o „faszystowskich” poglądach (rozumianych przez nich niezmiernie szeroko) nie może być tolerancji, nawet jeśli nie stosują one przemocy i do tego, że państwo jest wobec takich ludzi nadmiernie tolerancyjne lub zwyczajnie bezradne – krótko mówiąc, do poglądów, jakie głoszą antyfaszystowskie i antyrasistowskie organizacje typu „Otwartej Rzeczypospolitej” czy stowarzyszenia „Nigdy Więcej”. Można też do tego dodać, że zdarzających się w szeregu państw Europy podpałów masztów telekomunikacyjnych wykorzystujących czy to faktycznie, czy tylko rzekomo tzw. technologię 5G nie byłoby bez przekonania sprawców takich czynów do opinii o szkodliwości tej technologii dla ludzkiego zdrowia lub nawet życia. Niektórych podpałów kościołów, do jakich doszło w Chile nie byłoby, gdyby ich sprawców nie wzburzyły medialne

doniesienia o seksualnym molestowaniu dzieci przez księży i tuszowaniu tego faktu przez hierarchię kościelną – to samo można powiedzieć o podpaleniach kościołów latem 2021 r. w Kanadzie, które w praktycznie oczywisty sposób miały bezpośredni związek z emocjami, jakie u niektórych osób wywołały medialne doniesienia o odkryciach masowych grobów dzieci na terenie prowadzonych niegdyś przez m.in. Kościół Katolicki szkół dla Indian – związek ten jest na zdrowy rozum ewidentny choćby w świetle faktu, że płonęły kościoły oddalone o setki, czy nawet tysiące kilometrów od miejsc takich odkryć.

W każdym razie, jeśli powodem do zakazania pewnych rodzajów wypowiedzi – takich np. jak wspomniana tu „mowa nienawiści”, względnie np. pornografia (czy powiedzmy pewne, zakazane przez polskie prawo rodzaje pornografii – takie, jak pornografia łącząca seks z udawaną przemocą lub pornografia prezentująca nierzeczywiste – np. narysowane bądź stworzone komputerowo postacie nieletnich w scenach seksu), bądź nawoływanie do popełnienia przestępstwa – nie będące bezpośrednio niebezpiecznym w konkretnej sytuacji podburzaniem do jego dokonania (zgodzimy się chyba, że jest pewna różnica między wyrażeniem w jakimś internetowym komentarzu opinii tego rodzaju, że powinno się zabić wszystkich członków jakiejś grupy narodowościowej, rasowej czy jeszcze innej, a wzywaniem rozwścieczonego tłumu do fizycznego ataku na osobę – należąca do takiej grupy czy też nie – będącą z jakichś powodów obiektem gniewu owego tłumu – choć zarówno jedno, jak i drugie mogłoby stanowić przestępstwo z art. 255 bądź 126a k.k.) to warto uświadomić sobie, że do brutalnych aktów przemocy w sposób pośredni, czy też przypadkowy, niezamierzony w każdym razie przez ich autorów (ten argument warto jest podnieść z tego względu, że na podstawie np. art. 256 i 257 polskiego k.k. mogą być karane wypowiedzi nie wzywające do dokonywania żadnych czynów zakazanych przez obowiązujące prawo, ani też nie pochwalające takich czynów) mogą prowadzić zupełnie niewinne, zdawać by się mogło, akty ekspresji. I tak np. Jezus Chrystus nie głosił nienawiści i nie nawoływał do przemocy przeciwko komukolwiek. Przeciwnie – zachęcał wszystkich, by kochali innych ludzi tak, jak siebie samych, propagował wybaczenie krzywd i nadstawianie drugiego policzka. Nie zachęcał do niczego złego – robił rzecz dokładnie przeciwną. Zapisane w Ewangeliach zdanie Jezusa, że tylko On jest „drogą, prawdą i życiem” i że nikt nie przychodzi do Boga Ojca inaczej, jak tylko przez Niego jest czymś z czym zapewne nie wszyscy się zgadzają (nie zgadzają się z nim na pewno ateści oraz wyznawcy religii innych, niż chrześcijaństwo) ale przecież nikomu zapewne (w krajach zachodnich, pomińmy tu reżimy rządzone przez np. islamskich fanatyków, czy wojujących ateistów) nie przyszłoby do głowy, by publikowania tego zdania – podobnie, jak w ogóle Pisma Świętego – zakazać. Lecz w późnych wiekach Imperium Rzymskiego, kiedy to chrześcijaństwo stało się już legalne, tłumy chrześcijan, motywowane m.in. przekonaniem, że tylko wiara w Chrystusa jest drogą do wiecznego zbawienia burzyły pogańskie świątynie i mordowały pogańskich kapłanów oraz zwykłych wyznawców pogaństwa. Powinno rozpowszechnianie treści zapisanych w Ewangeliach być zakazane z tego powodu, że mogą się one przyczyniać do przemocy? Każdy – lub przynajmniej prawie każdy – powie zapewne, że nie. Lecz w przypadku, o którym była mowa powyżej przekazy, których źródłem jest Biblia prowadziły do przemocy w praktycznie rzecz biorąc taki sam sposób, w jaki (zakładając dla dobra argumentacji słuszność rozumowania zwolenników zakazu hejtspiczu) może do niej prowadzić „mowa nienawiści”. Powie ktoś, że

to historia z dawnej przeszłości. Zgoda co do tego – były to inne, niż dzisiejsze czasy, inna hierarchia wartości – w tym np. brak pojęć tego rodzaju, jak wolność wierzeń i kultów religijnych – to wszystko, oczywiście, na wspomniane zdarzenia miało zasadniczy wpływ. Lecz weźmy sobie historyjkę z przeszłości wcale nie tak dawnej, bo z sprzed zaledwie nieco ponad 50 lat. W 1971 r. księgowy i nauczyciel w szkółce niedzielnej z amerykańskiego stanu New Jersey John List strzałami z pistoletu w głowę zamordował swą żonę, teściową, oraz dwójkę swoich dzieci. Dlaczego to zrobił? Otóż, był on pobożnym luteraninem, który zgodnie z przekazami swego kościoła był głęboko przekonany do tego, że ubóstwo jest grzechem, a stracił pracę w banku i jego po części przynajmniej motywowane przez wyznawaną przez niego religię przekonania sprawiały, że wstydził się on do tego przyznać przed swoją rodziną. Jego żona popadła w alkoholizm i zaczęła zdradzać oznaki choroby psychicznej. I było coś jeszcze: jego bliscy zaczęli – w jego przynajmniej odczuciu – odchodzić od religijnego stylu życia.

A List był głęboko wierzącym chrześcijaninem, absolutnie przekonany do tego, że człowiek ma nieśmiertelną duszę, która po jego śmierci idzie do nieba, albo do piekła – w zależności od tego, jak dany człowiek żył – np. od tego, czy przestrzegał on Dekalogu. I co zrobił List? Otóż, zamordował członków swojej rodziny po to, by zapewnić ich душom miejsce w niebie i uchronić i je przed znalezieniem się w piekle, gdzie w jego odczuciu mogłyby one trafić, gdyby ich „właściciele” pożyli dłużej.

Odnosnie zbrodni dokonanej przez Johna Lista w sposób nie budzący wątpliwości trzeba powiedzieć, że zbrodnia ta miała swoje korzenie w ideach, które do sprawcy tej zbrodni nie mogły dotrzeć inaczej, jak poprzez słowa. List nie mógł inaczej, jak w następstwie pewnych słów zostać przekonany do tego, że istnieje takie miejsce, jak piekło, gdzie na wieczność trafiają i cierpią niewyobrażalne męki dusze grzeszników. Podobnie też nie mógł on inaczej, jak w następstwie pewnych przekazów nabrać przekonania o tym, że istnieje coś takiego, jak niebo, gdzie dusza człowieka po jego śmierci też na szczęście może (ale niestety niekoniecznie musi) się znaleźć. Przekonanie Lista, że ubóstwo, na krawędzi którego się znalazł nie tylko jest czymś nieprzyjemnym (to jest po prostu odczuwalne, albo przynajmniej łatwo wyobrażalne) ale stanowi też grzech również nie mogłoby się zrodzić w jego umyśle inaczej, jak pod wpływem pewnych przekazów ze strony innych.

Lecz idee, które w co najmniej znacznej mierze były podłożem zbrodni dokonanej przez Johna Lista – i bez przekonania do których zbrodni tej zapewne by on nie popełnił – nie są ideami, których propagowania gdziekolwiek zakazuje prawo (pomińmy prawo tego rodzaju, jakie mogło obowiązywać – choć nie wiem, czy faktycznie obowiązywało – w skrajnie ateistycznym reżimie tego rodzaju, co np. komunistyczna Albania). Powinno się zabronić propagowania takich idei z tego powodu, że ich wpływ może u człowieka u takiej osobowości, jaką miał John List (a przecież trudno byłoby powiedzieć, że taką osobowość mógł mieć wyłącznie John List i że tylko on mógł się znaleźć w podobnej sytuacji życiowej) stworzyć jakieś psychologiczne podłoże do dokonania przerażającego czynu? Jak dla mnie, pomysł taki byłby absurdalny – i sędzę, że większość ludzi podziela moje odczucie. Lecz (na szczęście czysto hipotetyczny póki co) pomysł, by zakazać mówienia i pisania np. o piekle czy też niebie przestaje być *aż tak bardzo absurdalny*, jeśli zastanowimy się nad tym, co może stanowić przesłankę zakazów takiego m.in. rodzajów wypowiedzi, jak tzw. „mowa

nienawiści” i szczególnie jeśli przesłankę ową (czyli to, że „mowa nienawiści” może pośrednio przyczyniać się do przemocy) akceptujemy. Oczywiście, od zakazu „mowy nienawiści” do zakazu np. publikowania Biblii jest niezmiernie daleko. Nie mam najmniejszego zamiaru twierdzić, że te pierwsze zakazy wskutek działania jakiegoś „mechanizmu równi pochyłej” doprowadzą za jakiś (nawet bardzo długi) czas do wprowadzenia (np.) tego drugiego – w każdym razie na taki temat można jedynie prowadzić mające jedynie bardzo ogólnikowe podstawy spekulacje. Lecz mimo wszystko odnośnie zakazów (m.in.) „mowy nienawiści” pojawia się pytanie: jeśli można zakazać propagowania pewnych potencjalnie niebezpiecznych poglądów (np. poglądów o charakterze rasistowskim), to dlaczego nie innych? Chciałbym też zauważyć, że pewne fakty całkiem wyraźnie wskazują na to, że myśl o tym, iż zakazy (np.) „hate speech” stawiają wolność słowa na równi pochyłej nie opiera się wyłącznie na rozumowaniu dotyczącym jakichś czysto hipotetycznych przypadków (czyli np. nieproponowanych póki co przez nikogo zakazów wypowiedzi, które można byłoby uzasadnić w oparciu o takie samo rozumowanie, w oparciu o które można co najmniej próbować uzasadnić zakazy „mowy nienawiści”) lecz ma swoje rzetelne podstawy. Weźmy sobie tu np. przedstawiane od długiego już czasu propozycje nowelizacji art. 256 i 257 kodeksu karnego. Lewica, jak wiadomo, chce, by zakazane stało się nie tylko znieważanie czy to konkretnych ludzi, czy całych ich grup oraz nawoływanie do nienawiści nie tylko z takich powodów, jak przynależność narodowa, etniczna, rasowa, wyznaniowa oraz bezwyznaniowość, ale także z takich przyczyn, jak ich wiek, płeć, tożsamość płciowa, niepełnosprawność i orientacja seksualna. Platforma Obywatelska w 2013 r. wniosła do Sejmu projekt ustawy, na mocy którego przestępstwem (zagrożonym karą grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2) miało się stać publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa lub nawoływanie do nienawiści wobec grupy osób lub osoby z powodu jej przynależności narodowościowej, etnicznej, rasowej, politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych lub przekonań, a także znieważenie grupy osób lub osoby z dowolnego ze wspomnianych powodów. Z kolei nader dzielnie walczące z „mową nienawiści” stowarzyszenie „Otwarta Rzeczpospolita” w 2011 r. zaproponowało, by do kodeksu karnego wprowadzić przepis, na mowy którego przestępstwem (karanym w przypadku popełnienia go po raz pierwszy grzywną bądź ograniczeniem wolności, lecz w przypadku recydywy zagrożonym karą do 3 lat więzienia) stałoby się „publiczne rozpowszechnianie informacji, które mogą doprowadzić do propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, albo szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną”. Odnośnie przynajmniej drugiej i – zwłaszcza już – trzeciej z tych propozycji (z których żadna na szczęście nie stała się obowiązującym prawem) wypada powiedzieć, że w miejsce względnie ograniczonych zakazów publicznego wyrażania pewnych poglądów wprowadzały one ograniczenia wolności słowa o charakterze niemal totalnym. Co mogłoby zostać uznane za przestępstwo, gdyby – jak swego czasu chciała tego PO – do kodeksu karnego wprowadzony został przepis kryminalizujący publiczne nawoływanie do nienawiści wobec grupy osób lub osoby z powodu jej przynależności narodowościowej, etnicznej, rasowej, politycznej, społecznej, naturalnych lub nabytych cech osobistych lub przekonań, a także znieważanie czy to konkretnej (nawet przy

tym nie określonej w sposób wyraźny) osoby, bądź całej grupy osób? Otóż, spokojnie można byłoby za coś takiego uznać takie hasło, jak „jebać PiS” – dałoby się je, jak sądzę, zakwalifikować jako nawoływanie do nienawiści wobec grupy osób z powodu ich przynależności politycznej, a także jako znieważenie grupy osób z takiego powodu. Co ciekawe, przestępstwem – teoretycznie przynajmniej rzecz biorąc – mogłoby być werbalne atakowanie jakichś ludzi z powodu wyznawanych przez nich poglądów, w tym także tych, których publicznego wyrażania miałyby zabraniać przepis zaproponowany przez PO. Wyobrażalne też – choć również pewnie w jakiś w praktyce tylko teoretyczny sposób (zapewne nigdy się nie dowiemy, jak mogłoby być naprawdę – chyba, że taki, jak wspomniany tu przepis zostałby wprowadzony do kodeksu karnego, czego nikt jednak obecnie nie proponuje) – mogłoby być uznanie za przestępstwo nienawistnego, czy obraźliwego (poprzez np. nazywanie ich „zbożnikami”) wyrażania się o takiej grupie osób, jak pedofile. Nie są przypadkiem skłonności pedofilskie naturalną, względnie nabytą cechą osobistą, z powodu której to cechy nie wolno byłoby, w myśl przepisu zaproponowanego przez PO, znieważać grupy osób mających tę cechę, bądź nawoływać do nienawiści przeciwko niej? (10) A jakie wypowiedzi mogłyby być karalne pod ewentualnymi rządami przepisu lansowanego swego czasu przez „Otwartą Rzeczpospolitą”? Wypowiedzi te w żadnym wypadku nie musiałyby mieć charakteru ani „nawoływania do nienawiści” przeciwko jakiejś grupie – czy też „szerzenia nienawiści lub pogardy wobec niej” (w projektach zmiany art. 256 k.k. dotyczących objęcia ochroną przed „mową nienawiści” takich grup, jak m.in. osoby LGBT zawarte były propozycje zmiany zapisanego w art. 256 § 1 k.k. zwrotu „nawołuje do nienawiści” na „wywołuje albo szerzy nienawiść lub pogardę”), ani też oczywiście „propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” – wystarczające byłoby to, że sędzia uznałby, że dana wypowiedź mogłaby skłonić kogoś do „propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” względnie do „szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną”. Nie byłoby konieczne uznanie przez sąd, że ktoś publicznie rozpowszechniał jakieś informacje w zamiarze nakłonienia kogoś – np. jakiegoś nieokreślonego odbiorcy danej wypowiedzi – do propagowania totalitarnego ustroju bądź szerzenia pewnych rodzajów nienawiści lub pogardy – co ewentualnie mogłoby być potrzebne do skazania to stwierdzenie, że oskarżony powinien zdawać sobie sprawę z możliwości takiego właśnie skutku swojej wypowiedzi, który bynajmniej nie musiałby nastąpić (nastąpienie takiego skutku nie było znamieniem proponowanego przez „O.Rz” przestępstwa). I oczywiście informacje mogłyby być zupełnie prawdziwe (a także dostępne również z innego źródła, niż wypowiedź oskarżonego).

Lecz niestety mnóstwo informacji – których rozpowszechniania nikt raczej nie proponuje zakazać – może skłaniać niektóre osoby do wypowiedzi, które można byłoby określić mianem „szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną” względnie „propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa”. Taki efekt kilka lat temu miały np. publikacje „Gazety Wyborczej” na temat uchodźców przyplływających do Europy z Afryki czy też z Azji –

publikacje te rzecz jasna nie zawierały żadnych nienawistnych czy pogardliwych stwierdzeń na temat uchodźców, lecz na stronie internetowej „Gazety Wyborczej” pod testami o uchodźcach pojawiła się taka liczba nienawistnych komentarzy, że redakcja tej strony postanowiła uniemożliwić komentowanie tych tekstów. Czy gdyby w czasie, w którym wspomniane teksty pojawiały się na stronie „G.W.” obowiązywał przepis zaproponowany przez „O.Rz.” redaktorów „Gazety Wyborczej” można byłoby oskarżyć i skazać za „publiczne rozpowszechnianie informacji, mogących doprowadzić do propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, albo szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną”? Bardzo możliwe, że tak – fakt pojawiania się pod teksami na temat uchodźców nienawistnych i pełnych pogardy komentarzy na ich temat wyraźnie wskazywał na to, że teksty te zawierały informacje mogące doprowadzić do szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic wskazanych w proponowanym przez „O.Rz.” przepisie. Czy przed skazaniem mogłoby ich uchronić to, że – widząc nienawistne komentarze pod publikowanymi przez siebie tekstami – wyłączyli oni możliwość komentowania tych tekstów i tym samym możliwość bezpośredniego – przynajmniej na kontrolowanej przez nich stronie internetowej - szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic np. narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych? Też niekoniecznie – przecież ludzie, u których publikacje „Gazety Wyborczej” o uchodźcach pobudziły jakieś wrogie emocje wobec nich mogliby wyrażać te emocje na jakimś innym forum (zwróćmy też przy okazji na to, że o ile samo „rozpowszechnianie informacji które mogą doprowadzić do propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, albo szerzenia nienawiści lub pogardy na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, płeć, tożsamość płciową, wiek, niepełnosprawność bądź orientację seksualną” musiałoby w myśl propozycji „O.Rz.” mieć charakter publiczny, by mogło zostać ono uznane za przestępstwo, to będące potencjalnie możliwym efektem rozpowszechniania takich informacji propagowanie totalitaryzmu bądź szerzenie pewnych rodzajów nienawiści lub pogardy nie musiałoby być publiczne, lecz w grę wchodziłoby także czysto choćby potencjalne szerzenie takich treści nawet wobec jakiegoś ograniczonego grona osób – np. czyichś bezpośrednich znajomych). Tak właściwie, to – jak trafnie, wydaje mi się w swym dość dawnym już w tej chwili tekście na temat niegdysiejszej propozycji „O.Rz.” (z której organizacja ta cichcem się wycofała – na jej stronie internetowej nie da się znaleźć żadnej wzmianki na jej temat) [napisał Jacek Sierpiński](#) karalne, tak właściwie, byłoby informowanie o wszelkich negatywnych zjawiskach. Bo, jak Sierpiński zauważył „wielu ludzi tak ma, że za negatywne zjawiska obwinia różne kozły ofiarne – czy to Żydów, czy imigrantów, czy homoseksualistów, czy też Kościół i katolików. A sporo ludzi ma też tak, że upatrują receptę na te zjawiska w „rządach silnej ręki”, nierzadko w stylu faszystowskim czy komunistycznym”.

Wspomniane powyżej propozycje zmiany artykułu 256 kodeksu karnego, wprowadzające horrendalnie wręcz daleko posunięte ograniczenia wolności słowa według wszelkiego prawdopodobieństwa nie pojawiłyby się, gdyby w kodeksie karnym nie było przepisów przewidujących kary za „publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego

ustroju państwa lub nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość”, a także za „publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególniej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości” – proponowany przez partie lewicowe zakaz „mowy nienawiści” przeciwko grupom osób, które charakteryzują się takimi cechami, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa lub orientacja seksualna – który też przecież zapewne nie zostałby sformułowany, gdyby w kodeksie karnym już wcześniej nie były przewidziane zakazy nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, oraz znieważania konkretnych ludzi bądź całych grup ludności z takich powodów – był w tym względzie swego rodzaju etapem pośrednim.

Pomysły Platformy Obywatelskiej i „Otwartej Rzeczypospolitej” (która na szczęście nie jest partią polityczną) nie stały się, jak było tu już powiedziane (i o czym chyba wiadomo każdemu, kto zna treść art. 256 i 257 k.k.) obowiązującym prawem. Nikt też, o ile się w tym orientuję, nie proponuje powrotu do nich. Jeśli chodzi o pomysł, by zabronić „mowy nienawiści” skierowanej przeciwko ludziom wyróżniającym się z ogół społeczeństwa takimi cechami, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa i orientacja seksualna to myślę, że może on mieć realne szanse na uchwalenie go we względnie bliskiej przyszłości. Lewica chce zakazania także takiego rodzaju „hate speech”, Koalicja Obywatelska również, jak przypuszczam, byłby za nim (przeciwko, jak sądzę, byłby PiS – swoją drogą, lansujący inne, nie lepsze bynajmniej, pomysły ograniczenia swobody wypowiedzi). (11) Lecz na temat tego, czy taki zakaz zostanie do kodeksu karnego wprowadzony – i co z wprowadzenia takiego zakazu bezpośrednio czy też pośrednio mogłoby wynikać, nie chce mi się w tym momencie snuć spekulacji.

Jeśli jednak mówimy o tym, jak ograniczenia wolności słowa tego rodzaju, co zakazy „mowy nienawiści” stawiają swobodę wypowiedzi na równi pochyłej – a w każdym razie potencjalnie grożą czymś takim – to warto jest też wskazać na inne, niż wspomniane powyżej propozycje kryminalizacji pewnych typów wypowiedzi, które nie są oczywiście obowiązującym obecnie prawem, lecz w odniesieniu do których nie można ze stuprocentową pewnością powiedzieć, że za jakiś czas nie mogą się nim stać. Weźmy tu np. propozycję zawartą w opracowanym w 2017 r. przez Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Ratujmy Kobiety 2017” (którego twarzą była obecna posłanka Koalicji Obywatelskiej Barbara Nowacka) tzw. [społecznym projekcie Ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie](#). Odnośnie tego dość swego czasu głośnego projektu zastanawiałem się kiedyś, czy nie podpisać się pod nim - jak najbardziej jestem za liberalizacją – i to daleką idącą – obowiązującego obecnie w Polsce prawa dotyczącego przerywania ciąży (czemu dałem wyraz w niektórych swoich tekstach) (12). Lecz wstrzymałem się przed podjęciem tego kroku po odkryciu, jakie przepisy na mocy proponowanej przez wspomniany Komitet ustawy miałyby się znaleźć w kodeksie karnym. Według propozycji lansowanej przez p. Barbarę Nowacką miały to być art. 269 d o proponowanym brzmieniu: „Kto rozpowszechnia, również w Internecie, twierdzenia, nieznajdujące oparcia w aktualnym stanie wiedzy ani badaniach naukowych, o przebiegu lub konsekwencjach medycznych stosowania antykoncepcji lub zabiegów przerywania ciąży, mające na celu odwiecdzenie od jej stosowania lub od wykonania

lub poddania się zabiegowi, bądź też napiętnowanie osób, które go wykonały lub się mu poddały, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności lub karze pozbawienia wolności do lat 2”, a także art. 269 e przewidujący, że „Tej samej karze podlega, kto dopuszcza się aktu przemocy fizycznej bądź wandalizmu lub kto pomawia, zniesławia i znieważa, także w Internecie, osoby, organizacje lub instytucje działające na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie”.

Według wspomnianej powyżej propozycji – która oczywiście mogłaby się stać obowiązującym prawem wyłącznie razem ze (słuszną moim zdaniem) liberalizacją obowiązującego w Polsce prawa aborcyjnego - krytyka aborcji – a także antykoncepcji – w znacznej mierze stałaby się przestępstwem. Twierdzić oczywiście można, że nie byłaby nim po prostu jakakolwiek krytyka tych zjawisk – zgodnie z literą proponowanego art. 269 d dopuszczalne byłoby rozpowszechnianie „również w Internecie” takich twierdzeń o przebiegu lub konsekwencjach medycznych stosowania antykoncepcji lub zabiegów przerywania ciąży, które miałyby oparcie w aktualnym stanie wiedzy lub w badaniach naukowych, nawet, jeśli miałyby to na celu odwiedzenie od stosowania antykoncepcji lub wykonania bądź poddania się aborcji, względnie napiętnowanie osób wykonujących zabiegi aborcji lub poddające się im, nie byłoby też – teoretycznie rzecz biorąc – karalne rozpowszechnianie nawet takich twierdzeń o przebiegu lub konsekwencjach medycznych stosowania antykoncepcji lub zabiegów przerywania ciąży, które nie miałyby oparcia w aktualnym stanie wiedzy ani w badaniach naukowych, które nie miałyby na celu odwiedzenie kogoś od stosowania antykoncepcji lub wykonania bądź poddanie się zabiegowi aborcji, ani też napiętnowania osób wykonujących lub poddających się zabiegom aborcji. Nie byłoby również przestępstwem takie wypowiadanie się o osobach, organizacjach lub instytucjach działających na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie, które nie byłoby ich pomawianiem, zniesławianiem lub znieważaniem. Innymi słowy mówiąc, według wspomnianego projektu nie byłaby przestępstwem taka krytyka aborcji lub antykoncepcji, która miałaby oparcie w aktualnym stanie wiedzy lub w badaniach naukowych, nie byłaby również zakazana taka krytyka osób, organizacji lub instytucji działających na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie, która nie byłaby zniesławiająca bądź obraźliwa.

Lecz choć proponowane przez Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Ratujmy Kobiety 2017” artykuły 269d i 269e kodeksu karnego nie zakazywałyby - to można byłoby twierdzić - literalnie rzecz biorąc jakiegokolwiek krytyki antykoncepcji czy też aborcji (przestępstwem określonym w tych przepisach nie byłoby, jak sądzę, rozpowszechnianie prostych haseł typu „chrońmy życie poczęte” „stop aborcji” czy „nie dla aborcji” – choć można zadać pytanie, czy ktoś takich haseł nie chciałby uznać za np. publiczne nawoływanie do popełnienia określonych w tych przepisach przestępstw – łatwo można byłoby sobie przecież wyobrazić, że mogłyby one pobudzać niektórych ludzi do ich popełniania) to mimo wszystko swoboda wypowiedzania się na temat aborcji, czy też antykoncepcji pod rządami takich przepisów zostałaby ograniczona w drastyczny sposób. Co mogłoby „podpadać” pod wspomniane przepisy? Otóż, jeśli chodzi o art. 269 d to za określone w nim przestępstwo mogłoby zostać uznane wypowiadanie twierdzeń tego np. rodzaju, że istnieje coś takiego, jak tzw. syndrom poaborcyjny. A także twierdzeń o szkodliwości stosowania np. antykoncepcji hormonalnej. Z

kolei na podstawie art. 269 e można byłoby karać ludzi, którzy nazywają lekarzy dokonujących zabiegów aborcji mordercami – nawet, gdyby było jasne, że jest to opinia na ich temat, związana z niezaprzeczalnym faktem, że wykonują oni zabiegi przerwania ciąży, a nie pomawianie ich o czyny w rzeczywistości przez nich niedokonane. Przystępstwem mogłoby też się okazać nazywanie szpitali, czy gabinetów ginekologicznych w których wykonuje się zabiegi przerwania ciąży miejscami zbrodni, czy miejscami, gdzie zabija się dzieci, zarówno wówczas, gdyby chodziło o jakieś konkretne takie miejsca, jak też takie miejsca w ogóle (zauważmy, że w proponowanym art. 269 e k.k. była mowa o pomawianiu, zniesławianiu i znieważaniu osób, organizacji lub instytucji działających na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie – nie tylko osoby, organizacji czy też instytucji działającej na rzecz realizowania przepisów zawartych we wspomnianej ustawie). Możliwe, że za przestępstwo mogłoby zostać uznane głoszenie haseł typu „aborcja jest morderstwem” – nie można byłoby takiego hasła uznać za pomówienie, zniesławienie czy też znieważenie osób, organizacji lub instytucji działających na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie? – jak już zwróciłem uwagę, pomówienie, zniesławienie bądź poniżenie nie musiałyby się odnosić do jakiejś konkretnej osoby, organizacji lub instytucji działającej na rzecz realizowania przepisów rzeczonyj ustawy, lecz mogłoby się tyczyć tych osób, organizacji czy też instytucji jako takich w ogóle (pod warunkiem, że byłyby to osoby, organizacje lub instytucje działające w Polsce – nie byłoby więc, jak mi się wydaje, przestępstwem określonym w art. 269 k.k. wypowiedzianie twierdzeń tego rodzaju, że np. w klinikach ginekologicznych we Francji morduje się dzieci – francuskie kliniki ginekologiczne nie byłyby bowiem instytucjami działającymi na rzecz realizowania przepisów polskiej ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie). Tak czy owak, to co zostało zaproponowane w projekcie Komitetu Inicjatywy Ustawodawczej „Ratujmy Kobiety 2017” było pomysłem nader daleko posuniętego ograniczenia wolności słowa – w tym przypadku mającym charakter wybiórczy, zmierzający do ograniczenia szerzenia pewnego rodzaju twierdzeń, lecz nie innych, w zupełnie wyobrażalny sposób podobnie niebezpiecznych, szkodliwych lub krzywdzących dla niektórych osób. Zauważmy bowiem, że pod rządami art. 269 d k.k. przestępstwem byłoby rozpowszechnianie twierdzeń nieznajdujących oparcia w aktualnym stanie wiedzy ani badaniach naukowych, o przebiegu lub konsekwencjach medycznych stosowania antykoncepcji lub zabiegów przerywania ciąży, mające na celu odwieśdzenie od jej stosowania lub od wykonania lub poddania się zabiegowi, bądź też napiętnowanie osób, które go wykonały lub się mu poddały – krótko mówiąc, karalne miałyby być rozpowszechnianie takich nie mających oparcia w aktualnym stanie wiedzy ani w badaniach naukowych twierdzeń o antykoncepcji bądź aborcji, które miałyby na celu zniechęcenie do jej stosowania, czy też wykonywania albo poddawania się jej. Lecz całkowicie dopuszczalne byłoby rozpowszechnianie takich twierdzeń o aborcji czy antykoncepcji, w tym również nieznajdujących oparcia w aktualnym stanie wiedzy ani w badaniach naukowych bądź ewidentnie fałszywych, które miałyby na celu *zachęcanie* do stosowania antykoncepcji lub wykonywania aborcji, bądź gloryfikowania wykonujących ją lekarzy i ułatwiających ją organizacji czy też instytucji. Tak więc, pod rządami art. 269 d k.k. ze sporym prawdopodobieństwem można byłoby nawet trafić do więzienia za rozpowszechnianie twierdzeń tego rodzaju, że rezultatem aborcji może być tzw. syndrom poaborcyjny

(przepraszam, ale nie będę się wypowiadał na jego temat – aczkolwiek czytałem o tym, że w wysokiej klasy publikacjach na temat efektów aborcji twierdzenia na temat tego syndromu są bardziej krytykowane, niż w pracach o jakości pozostawiającej więcej do życzenia), lecz absolutnie dozwolone byłoby wyrażanie poglądów tego rodzaju, że przerwanie ciąży jest czymś zdrowym i że kobieta dla – nie wiem, zachowania młodego wyglądu, szczupłości, sprawności fizycznej i umysłowej – powinna mieć w swoim życiu jak najwięcej aborcji, nawet, gdyby takie twierdzenia były wierutną bzdurą. Podobnie, karalne byłoby poniżanie, zniesławianie i znieważanie osób, organizacji czy instytucji, których działalność ma coś (pozytywnie) wspólnego z aborcją i antykoncepcją – poniżanie osób, organizacji czy instytucji robiących cokolwiek innego byłoby całkowicie dozwolone.

Co jednak ten cały ten potworek prawny (były w nim jeszcze inne „ciekawe” pomysły, aczkolwiek przewidywały one już tylko karę grzywny bądź aresztu do co najwyżej 1 miesiąca – zgodnie z art. 12 wspomnianego projektu zakazane miało być umieszczania treści i organizowania zgromadzeń przeciwnych przepisom niniejszej ustawy w odległości mniejszej niż 100 m od podmiotów leczniczych, w szczególności szpitali ginekologicznych i położniczych, a także placówek edukacyjnych, takich jak szkoły i przedszkola – z przepisu tego wynika, że jakkolwiek prezentowanie haseł typu „nie dla aborcji” czy „stop aborcji” pod rządami lansowanej kilka lat temu przez p. Barbarę Nowacką ustawy nie byłoby zakazane w jakichkolwiek okolicznościach, to byłoby jednak zakazane w miejscach odległych mniej, niż 100 m od szpitali ginekologicznych i położniczych – pytanie, czy tylko takich, czy w grę wchodziłyby także np. osiedlowe przychodnie, nawet, gdyby nie pracował w nich ginekolog, a także placówek edukacyjnych, takich jak szkoły i przedszkola – ciekawe, czy za takie placówki w rozumieniu art. 12 tego projektu można byłoby uznać wyższe uczelnie, szkoły muzyczne, albo żłobki – w końcu chodzące tam dzieci też się czegoś w tych miejscach uczą...) miał wspólnego z zakazami „mowy nienawiści”? Żeby było jasne, w uzasadnieniu wspomnianego projektu o proponowanych w nim artykułach 269 d i 269 e kodeksu karnego nie było w ogóle mowy, zaś o pomysłе zakazu umieszczania treści i organizowania zgromadzeń przeciwnych tej ustawie znalazła się zaledwie wzmianka. Aby do tego dojść (jeśli nie jest to dla kogoś widoczne na pierwszy rzut oka) zastanówmy się nad tym, jak można byłoby próbować jakoś uzasadnić pomysł wprowadzenia do kodeksu karnego, a także do kodeksu wykroczeń takich, jak wspomniane powyżej przepisów. Powiedzmy sobie przede wszystkim, co można byłoby powiedzieć o zachowaniach zabronionych przez te przepisy – a czego o zachowaniach tych (czy raczej wypowiedziach – ale wypowiedzi też są w końcu jakimiś zachowaniami) powiedzieć by się nie dało? Lepiej jest chyba, tak mi się wydaje, zacząć od tego drugiego. Otóż, jeśli chodzi o to, to zachowania zakazane przez proponowane art. 269 d i 269 e (oprócz wspomnianych w drugim z tych przepisów aktów przemocy i wandalizmu – przy okazji, zakaz wandalizmu wspomniany w art. 269 e miał być bardzo szeroki – jako przestępstwo zagrożone karą do 2 lat więzienia mógłby w przypadku jeśli zostałyby popełnione na szkodę osoby, organizacji czy instytucji zajmującej się antykoncepcją bądź aborcją zostać potraktowany taki akt wandalizmu, który w innym przypadku mógłby stanowić co najwyżej wykroczenie) nie były – czy też nie miały być – takimi zachowaniami, które są bezpośrednio krzywdzące, szkodliwe czy niebezpieczne dla osób, które wykonują aborcję albo poddają się jej, czy też dla osób stosujących środki antykoncepcyjnych – bądź

też produkujących czy sprzedających takie środki – czy też organizacji bądź instytucji ułatwiających dostęp do aborcji czy antykoncepcji – w każdym razie, nie w jakiś oczywisty sposób. Przepisy te nie przewidywały zakazu zachowań polegających na np. zastraszaniu, czy werbalnym prześladowaniu i dręczeniu osób wykonujących aborcję, czy też poddających się jej, sprzedających środki antykoncepcyjne itd. – to wszystko z powodzeniem mogłoby być karane na podstawie istniejących już wcześniej przepisów kodeksu karnego – takich np. jak art. 190 § 1 zgodnie z którym przestępstwem jest grożenie innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub szkodę osoby najbliższej, jeżeli groźba wzbudza w zagrożonym uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, art. 191 § 1 według którego przestępstwo zagrożone karą do 3 lat więzienia popełnia ten, kto „stosuje przemoc wobec osoby lub groźbę bezprawną w celu zmuszenia innej osoby do określonego działania, zaniechania lub znoszenia” względnie art. 190a § 1, na podstawie którego od 6 miesięcy do 8 lat odsiadki grozi temu, kto „przez uporczywe nękanie innej osoby lub osoby jej najbliższej wzbudza u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia, poniżenia lub udręczenia lub istotnie narusza jej prywatność”. Nie przewidywały one również zakazu publicznego nawoływania do takich zachowań, jak np. podpalanie czy fizyczne atakowanie w inny sposób klinik aborcyjnych lub ich personelu – to oczywiście z powodzeniem mogłoby być karane na podstawie przepisu zabraniającego publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa, czyli art. 255 k.k. (aczkolwiek ja uważam, że wyrażanie nawet takiej opinii, że powinno się podpalać kliniki aborcyjne, czy strzelać do lekarzy wykonujących zabiegi aborcji powinno być prawnie dozwolone – w odróżnieniu od np. bezpośredniego zachęcania jakiejś grupy niebezpiecznych – zwłaszcza znanych już ze stosowania przemocy – antyaborcyjnych fanatyków do zaatakowania konkretnej kliniki aborcyjnej czy też konkretnego lekarza wykonującego aborcję). Na podstawie przewidzianego w projekcie wspomnianej tu ustawy przepisu, zgodnie z którym w miejscach odległych o mniej niż 100 metrów od placówek leczniczych i edukacyjnych nie wolno byłoby prezentować treści ani organizować zgromadzeń przeciwnych przepisom tej ustawy można byłoby karać za takie czyny, jak np. blokowanie wejść do klinik aborcyjnych, lecz można byłoby na jego podstawie karać także za takie zachowania, które z bezpośrednim utrudnianiem wykonywania aborcji czy też dostępu do niej nie miałyby nic wspólnego.

Jeśli więc o zachowaniach, które miałyby zostać zakazane na podstawie proponowanej kilka lat temu ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie nie dałoby się w sposób uczciwy powiedzieć tego, że są to zachowania bezpośrednio krzywdzące, szkodliwe czy niebezpieczne dla osób wykonujących zabiegi aborcji, czy też poddających się takim zabiegom, czy też dla organizacji bądź instytucji ułatwiających dostęp do aborcji i antykoncepcji to co można byłoby powiedzieć o tych zachowaniach z punktu widzenia ich szkodliwości bądź powodowanego przez nie (lub może lepiej powiedziawszy – upatrywanego w nich) niebezpieczeństwa? – mniemam bowiem, że nikt nie chce karać za takie zachowania, które nie są szkodliwe w jakikolwiek sposób i które absolutnie do niczego złego nie mogą się przyczynić.

Popatrzmy się więc na wspomniane tu wcześniej przepisy pod tym właśnie kątem. Pierwszy z tych przepisów, art. 269 d k.k. miałby zabraniać rozpowszechniania pewnych nieprawdziwych („nie znajdujących oparcia w aktualnym stanie wiedzy, ani w badaniach

naukowych”) twierdzeń na temat aborcji lub antykoncepcji, które miałyby na celu albo odpowiedzenie od jej stosowania, wykonywania lub poddawania się jej, albo napiętnowanie osób wykonujących zabiegi aborcji, bądź poddające się im. Zgodnie z drugim z nich – art. 269 e k.k. – zakazane miało być pomawianie, zniesławianie i znieważanie, „także w Internecie”, osób, organizacji lub instytucji działających na rzecz realizowania przepisów zawartych w ustawie o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie”.

Ogólnie zatem rzecz biorąc na podstawie proponowanych przez Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Ratujmy Kobiety 2017” przepisów zabronione miały zostać pewne wypowiedzi, o których dałoby się powiedzieć to, że mogą być one obraźliwe czy też po prostu niemiłe dla osób wykonujących zabiegi aborcji bądź poddające się takim zabiegom, jak również to, że mają one na celu kształtowanie złych opinii i pobudzanie negatywnych emocji wobec osób, organizacji bądź instytucji, zajmujących się sprawami tego rodzaju, co aborcja czy antykoncepcja.

O ile o wielu zapewne wypowiedziach, które mogłyby być ścigane w oparciu o art. 269 d czy 269 e k.k. dałoby się powiedzieć, że wypowiedzi te mogłyby „obrażać uczucia” czy to kobiet, które poddały się zabiegowi aborcji, czy też wykonujących takie zabiegi lekarzy, to trudno byłoby na temat tych wypowiedzi twierdzić to, że są one czymś bezpośrednio niebezpiecznym – w sensie możliwości przyczyniania się przez te wypowiedzi do przemocy skierowanej przeciwko osobom wykonującym czy poddającym się zabiegom aborcji, czy też instytucjom tego np. rodzaju, co kliniki ginekologiczne. Oczywiście, jest prawdą – wiemy to z doświadczeń szeregu innych, niż Polska krajów – chociażby Stanów Zjednoczonych (choć także innych – np. Francji, Wielkiej Brytanii czy krajów skandynawskich), że niektórzy ludzie przekonani do opinii tego np. rodzaju, że aborcjoniści są mordercami niewinnych dzieci posuwają się do dokonywania takich czynów, jak podpalenia klinik aborcyjnych, zabójstwa wykonujących zabiegi aborcji lekarzy czy też drobniejszych przestępstw tego choćby rodzaju, co blokowanie wejść do klinik, w których wykonuje się zabiegi przerwania ciąży. Jest chyba jasne, że nie jest rzeczą w praktyce prawdopodobną to, by takie przestępstwo, jak dokonanie fizycznego ataku na klinikę aborcyjną czy też lekarza wykonującego zabiegi aborcji (w każdym razie z powodu wrogości wobec zjawiska aborcji) mógł popełnić ktoś, kto na temat aborcji ma zdanie pozytywne czy choćby neutralne – w oczywisty sposób nie mógłby go popełnić również ktoś taki, kto nigdy w życiu nie słyszał o czymś takim jak aborcja i w ogóle nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. Lecz fakt, że niektórym ludziom przekonanych do poglądów tego rodzaju, jak pogląd, że aborcja jest zbrodnią na niewinnym dziecku, czy też że kliniki aborcyjne są dokładnie tym samym, co hitlerowskie obozy zagłady zdarza się dokonywanie pewnych przestępstw – takich, jak podpalanie klinik, gdzie wykonuje się zabiegi aborcji, czy mordowanie lekarzy – aborcjonistów – i że przestępstwa te mają podłoże w wyznawanych przez takich ludzi opiniach – nie może przesłonić faktu, że takich czynów - podobnie, jak innych przestępczych czynów motywowanych takimi lub innymi ideami – dokonują jedynie nieliczni wyznawcy takich poglądów. Oczywiście jest, że wyznawanie jakiegś najbardziej nawet skrajnej opinii na jakiś temat (na temat np. wykonawców zabiegów aborcji) nie zmusza wyznawców takiej opinii do podejmowania jakichś działań, w tym także np. do popełniania przestępstw – biorąc pod uwagę to, że są to działania ryzykowne także dla takich osób (w razie popełnienia lub

usiłowania popełnienia takiego przestępstwa, jak np. podpalenie kliniki aborcyjnej mogłyby one zostać ujęte przez policję i trafić za kratki). Ja np. absolutnie uważam, że powinno się zabić Władimira Putina... a czy to znaczy, że podejmę jakieś działania w celu realizacji tego poglądu? Jasne jest chyba również to, że nie jest tak, że jak ktoś naczyta się o tym, że aborcja jest morderstwem – bądź naogląda się filmów typu „Niemy Krzyk” – to automatycznie zostanie do takich poglądów przekonany. Propaganda – jak twierdzą specjaliści w tej dziedzinie – jest mało skutecznym (co nie znaczy, że absolutnie nieskutecznym, tzn. nigdy nie mogącym wywierać efektu) sposobem zmieniania ludzkich przekonań – czymś, do czego może być ona ewentualnie zdolna, jest podtrzymywanie ludzi w przekonaniach, które i tak już u nich występują – propagowanie poglądów przeciwnych wobec tych, którzy ludzie do których propaganda dociera już wyznają przynosi efekt odwrotny od zamierzonego (pewne badania dotyczące wpływu radiowej propagandy o charakterze antysemickim w hitlerowskich Niemczech na jej odbiorców wykazały, że propaganda ta podsycala wrogość wobec Żydów na tych terenach, na których poziom antysemityzmu był tradycyjnie wysoki, lecz zmniejszała poziom antysemityzmu i motywowała do pomagania prześladowanym przez nazistowski reżim Żydom tam, gdzie poziom antysemityzmu był historycznie niski). (13) Treściom mówiącym o tym, że aborcja jest czymś zbrodniczym lub prezentującym kłamliwe informacje na jej temat w oczywisty sposób można byłoby przeciwstawiać treści mówiące o tym, że każdy powinien mieć swobodę wyboru nawet w takiej sprawie, jak przerwanie ciąży i prostujące nieprawdę. Innymi słowy mówiąc, jakkolwiek nie dałoby się powiedzieć, że rozpowszechnianie takich treści, o jakich była mowa w proponowanych przez Komitet Inicjatywy Ustawodawczej „Ratujmy Kobiety” art. 269 d i 269 e (bądź w przepisie kodeksu wykroczeń, według którego zakazane byłoby prezentowanie jakichkolwiek treści przeciwnych przepisom ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie w miejscach odległych mniej niż 100 m od placówek edukacyjnych i leczniczych) nie mogłoby do niczego złego prowadzić to niebezpieczeństwo powodowane przez szerzenie takich treści byłoby mimo wszystko co najwyżej potencjalnie możliwe. Nie byłoby ono bezpośrednie i wyraźne.

Lecz to samo można powiedzieć wypowiedziach np. rasistowskich czy antysemickich, które mogą być karane jako przestępstwo określone w art. 256 bądź 257 k.k. Weźmy przykład takiej wypowiedzi, przytoczonej na prowadzonym przez „Otwartą Rzeczpospolitą” portalu internetowym „Zgłoś nienawiść”. Jest to przykład w tym względzie – jak mi się wydaje – dobry, gdyż – co tu dużo mówić, jest mocno jaskrawy. Wspomniana wypowiedź, umieszczona przez kogoś na Twitterze, brzmi następująco:

„Najbardziej wstrętny- dwulicowy- bezczelny naród jaki może być to jebane Żydy. Kurwy nawet mają więcej honoru, niż Oni. Już Ruskie Karaluchy lepiej wyglądają na ich tle! Izrael już dawno dokonał wyboru Panie Zelensky! Won z takimi Psamy z Europy i Ukrainy! Rauss!”.

O wypowiedzi tej bez wątpienia – w moim przynajmniej odczuciu – można powiedzieć to, że wypowiedź ta wręcz zionie nienawiścią – jak również to, że jest ona obraźliwa dla ludzi, do których się ona odnosi (czyli dla Żydów, choć także Rosjan – określonych w tej wypowiedzi mianem „Ruskich Karaluchów”). Ale czy jest ona niebezpieczna? Albo czy niebezpieczne – w jakimś łącznym powiązaniu są takie, jak ona, czy podobne do niej wypowiedzi w ogóle? To – gdyby się nad tym dobrze zastanowić – nie jest oczywiste. O ile o przytoczonej wypowiedzi

da się w sposób uczciwy (w moim przynajmniej odczuciu) powiedzieć to, że wypowiedź ta wyraża nienawiść wobec Żydów i nawet to, że zachęca (według sformułowania użytego w art. 256 § 1 k.k. „nawołuje”) do niej, to wcale nie jest oczywiste, że u swych odbiorców wywołuje ona taką emocję – u mnie w każdym razie tego rodzaju stwierdzenia uczuć nienawiści wobec grup, których stwierdzenia te się tyczą nie pobudzają. Nie jestem oczywiście w stanie wykluczyć tego, że u niektórych ludzi stykających się z takimi wypowiedziami wypowiedzi te mogą pobudzać tego rodzaju emocje. Lecz jest to tylko potencjalna możliwość – i czy zresztą takich emocji nie mogą u niektórych ludzi pobudzać wypowiedzi, które wcale nie mają jakiegoś jawnie nienawistnego czy obraźliwego charakteru – weźmy tu, jako możliwy przykład, teksty mówiące o sile wpływów żydowskich w takich czy innych państwach, o tym, jak Żydzi witali wkraczającą we wrześniu 1939 r. na wschodnie tereny II RP Armię Czerwoną (weźmy tu [przykład takiego tekstu](#)), o Żydach sadystach i oprawcach w UB, itp.? Podstawowym źródłem szeroko rozpowszechnionego w chrześcijańskiej Europie antysemityzmu były teksty Pisma Świętego, w których mowa jest o tym, że Żydzi doprowadzili do zamordowania Jezusa Chrystusa – Syna Bożego... czy za przeproszeniem ktoś chciałby zakazać publikowania Biblii? Oczywiście, w czasach dzisiejszych wpływ treści zapisanych w Ewangelii czy Listach bądź w Dziejach Apostolskich na występowanie postaw wrogości wobec Żydów jest z pewnością bez porównania mniejszy, niż w dawnych wiekach. Ale do postaw takich mogą prowadzić też np. przekazy mówiące o tym, że Żydzi są bogaci. Przekazy takie – wpływając na przekonania niektórych ludzi – mogą też prowadzić do poważnych antysemickich przestępstw. Wskazuje na to chociażby casus przedstawiony w wydanej pod auspicjami OBWE [publikacji o takich przestępstwach](#):

„10 grudnia 2014 roku na przedmieściach miasta stołecznego z dużą społecznością żydowską, trzech zamaskowanych mężczyzn włamało się do mieszkania młodej żydowskiej rodziny. Młody mężczyzna został związany, młoda kobieta została zgwałcona, a mieszkanie zostało okradzione. Napastnicy żądali pieniędzy, kart kredytowych i klejnotów, cały czas wypowiadając takie uwagi, jak: „wy, Żydzi, macie pieniądze” i „wy, Żydzi, trzymacie pieniądze w domu, a nie w banku.”

Opisane w powyższym casusie brutalne czyny w ewidentny sposób były wynikiem (nie koniecznym oczywiście – żadne przekonania, w tym najbardziej skrajne, nie prowadzą w sposób automatyczny do przestępczych zachowań, które mogą mieć jakieś źródło w tych przekonaniach) pewnych przekonań: takich mianowicie, że Żydzi mają pieniądze – czyli, że są oni bogaci – a także, że Żydzi trzymają pieniądze w domu, a nie w banku. Przekonań tych, które w omawianym tu przypadku stały się motywacyjnym podłożem brutalnego przestępstwa sprawcy wspomnianych tu czynów nie mieli realnej szansy nabrać inaczej, jak pod wpływem pewnych wypowiedzi: przekonania o tym, że „Żydzi mają pieniądze” i że „trzymają je w domu, a nie w banku” nie są przekonaniem, które ludzie mogą nabrać bez usłyszenia bądź przeczytania czegokolwiek – takimi, jak np. jak przekonanie, że kiedy na ziemi leży duża ilość białej substancji zwanej śniegiem, to znaczy, że na dworze jest zimno i nie należy wychodzić z domu w krótkich spodenkach i cienkiej bluzeczce – które to przekonanie teoretycznie przynajmniej może być wynikiem wyłącznie osobistego doświadczenia – a nie wpływu takich czy innych wypowiedzi. Lecz choć przekonania tego np. rodzaju, że Żydzi są bogaci i że trzymają pieniądze w domach mogą, jak wspomniany

powyżej przykład pokazuje, motywować niektórych ludzi do dokonywania przestępstw przeciwko Żydom to przytomnie chciałbym zauważyć, że rozpowszechnianie takich przekonań (przynajmniej, jeśli nie towarzyszą temu jakieś np. antysemickie obelgi czy zachęty do dokonywania przestępstw) nigdzie w Europie – czy w ogóle tam, gdzie „mowa nienawiści” jest prawnie zakazana - nie jest karalne – wypowiedzi mówiące o tym, że Żydzi są bogaci i trzymają pieniądze po domach nie są znieważaniem Żydów, zniesławianiem ich, wyrażaniem wobec nich pogardy, grożeniem im, czy też nawoływaniem do nienawiści przeciwko nim. Jak wynika z przytoczonej powyżej publikacji również inne, niekaralne i w ogóle nie antysemickie w najszerszym choćby tego słowa znaczeniu wypowiedzi przyczyniają się do antysemickich przestępstw. Jak jest w nim mowa „wiele antysemickich przestępstw z nienawiści popełnianych jest w dni pamięci ofiar Holocaustu, takie jak 27 stycznia” (rocznica wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz – Birkenau). Związek wspomnianych tu przestępstw przeciwko Żydom z pewnymi, odnoszącymi się w pewien sposób do nich, ale nie znieważającymi ich ani nie nawołującymi do nienawiści przeciwko nim wypowiedziami jest ewidentny. Przecież nikt nie mógłby wiedzieć o tym, że 27 stycznia jest dzień pamięci ofiar Holocaustu, gdyby nie usłyszał on lub nie przeczytał gdzieś o tym. Czy w związku z tym należałoby zabronić publikowania tekstów mówiących o tym, że 27 stycznia jest, czy też będzie obchodzony dzień pamięci ofiar Holocaustu (albo że tego dnia w 1945 r. został wyzwolony obóz koncentracyjny w Oświęcimiu) z tego powodu, że wypowiedzi te zwiększają prawdopodobieństwo dokonania takich czy innych przestępstw przeciwko Żydom? Pomysł taki wydawać się może absurdalny. Lecz może się on przestać wydawać kompletnie absurdalny, jeśli uświadomimy sobie co jest przesłanką zakazów „mowy nienawiści” – i w szczególności, jeśli akceptujemy ową przesłankę jako możliwe uzasadnienie ograniczeń wolności słowa. Zakazów „mowy nienawiści” jak było tu już powiedziane, nie da się sensowny sposób uzasadniać przy użyciu argumentu, że „mowa” taka bezpośrednio prowadzi do przemocy – nie spotykamy się przecież z doniesieniami o osobach, które bezpośrednio pod wpływem przeczytania na ekranie komputera jakiegoś tekstu odnoszącego się z nienawiścią czy pogardą do członków jakiejś grupy narodowej, etnicznej, rasowej, religijnej popełniły jakieś konkretne przestępstwo z nienawiści – takie np., jak pobicie osoby należącej do opisaney w tym tekście grupy narodowej, rasowej itp. Raczej, jeśli uzasadnieniem tych zakazów może być to, że wypowiedzi, które mogą być karalne na ich podstawie mogą przyczyniać się do popełniania przez niektóre osoby, do których uszu bądź oczu wypowiedzi takie trafiają przestępstw z nienawiści, to chodzi o jakieś cokolwiek bardziej odległe i subtelne związki między pewnymi słowami, a pewnymi czynami – takie mianowicie, że pewnego rodzaju stwierdzenia (takie, jak stwierdzenia znieważające pewne grupy i nawołujące do nienawiści wobec tych grup) mogą przyczyniać się do kształtowania (czy też podtrzymywania) poglądów i wywoływania (bądź podsycania) emocji, które mogą niekiedy stać się podłożem przestępstw z nienawiści. Lecz przecież o wypowiedziach o których była tu wcześniej mowa można byłoby powiedzieć dokładnie to samo! Jeśli więc zakazy „mowy nienawiści” miałyby być metodą zapobiegania popełnianiu przestępstw z nienawiści, to trzeba wyraźnie powiedzieć, że jest to metoda co najmniej mało konsekwentna – jako że do przestępstw z nienawiści mogą przyczyniać się wypowiedzi nie będące „mową nienawiści”. Coś takiego dobrze, tak przy okazji, wykazuje też brytyjski autor Kenan Malik, który w swym artykule [„Am I wrong about hate speech bans?”](#) zwrócił uwagę m.in. na to, że

norweski masowy morderca Anders Breivik cytował takich pisarzy jak Melanie Phillips i Bruce Bawer jako „centralnych w kształtowaniu swojej morderczej nienawiści do muzułmanów i „kulturowych marksistów”. Sprawdziłem w internecie, co autorzy ci pisali. Jeśli chodzi o to, to Melanie Philips opublikowała (w piśmie „The Jewish Chronicle”) artykuł, w którym sugerowała, że zarzut islamofobii służy do uciszenia wszelkiej krytyki świata islamskiego, w tym islamskiego ekstremizmu” i „ułatwia” antysemityzm. W zagorzały sposób krytykowała Iran i często mówiła i pisała o zagrożeniu, jakie postrzega w tym kraju, zwłaszcza w kontekście chęci zdobycia przez irański reżim broni jądrowej. Na początku prezydentury Baracka Obamy oskarżyła go o „przyjęcie programu islamistów” i „bycie mocno w ich obozie”. Ponadto sprzeciwiała się wprowadzeniu związków partnerskich dla par homoseksualnych w Wielkiej Brytanii i powiedziała, że to, co nazywa „tradycyjną rodziną [...] było nieustannie atakowane przez sojusz feministek, działaczy na rzecz praw gejów, prawników rozwodowych i „kulturowych marksistów”. którzy pojęli, że jest to najpewniejszy sposób na zniszczenie zachodniego społeczeństwa”. Z kolei Bruce Bawer w swej książce „While Europe Slept: How Radical Islam is Destroying the West From Inside” (2006) pisał o tym, że osiedlający się w krajach Europy Zachodniej muzułmanie unikają integracji i kierują się wyłącznie prawem Szariatu, ignorując systemy prawne państw, w których mieszkają i dopuszczając molestowanie kobiet i gejów, a także Żydów i innych niemuzułmanów. Stwierdził on tam również, że rosnąca liczba urodzeń wśród muzułmanów i ich „odmowa” integracji pozwolą im zdominować europejskie społeczeństwa w ciągu 30 lat, a jedynym sposobem uniknięcia takiej katastrofy jest zniesienie politycznie poprawnych i wielokulturowych doktryn, które według niego są rozpowszechnione na naszym kontynencie. Z kolei w „Surrender: Appeasing Islam, Sacrificing Freedom” (2009) Bawer przekonywał, że „ludzie w całym świecie zachodnim – w reakcji na takie wydarzenia, jak zamieszki do których doszło w następstwie opublikowanych w Danii karykatur Mahometa i morderstwo holenderskiego filmowca Theo van Gogha – poddają się strachowi” i w następstwie tego cenzurują siebie oraz innych, „odmawiając krytyki nawet najbardziej nieliberalnych aspektów kultury islamskiej”, tym samym „podważając wartości indywidualnej wolności i równości, na których powstał nasz naród”.

Publikacje Melanie Philips i Bruce’a Bawera – żeby to było jasne – budziły kontrowersje. Lecz jakby się na nie nie patrzeć, nie były one – w sensie prawnym przynajmniej – „mową nienawiści”. Muzułmanie, do których autorzy ci się odnosili nie byli przez nich lżeni, znieważani, zniesławiani (w sensie przypisywania im jakichś nieprawdziwych cech lub zachowań – takich np. jak powszechne popieranie przez nich terroryzmu) czy poniżani, trudno byłoby powiedzieć, że autorzy ci mieli zamiar pobudzać do nienawiści przeciwko nim. Lecz choć treści publikowane przez wspomnianych autorów nawoływania do nienawiści (względnie np. znieważania jakiejś grupy) w sobie nie zawierały to czytanie tych treści przez Breivika przyczyniło się do wywołania u niego nienawiści o zabójczych w swym ostatecznym rezultacie skutkach. Czy publikowanie takich, jak wspomniane tu treści powinno być zakazane z tego powodu, że mogą się one przyczyniać do przemocy? To jest pytanie, które należy zadać zwolennikom zakazów „hate speech”. Lecz zostawmy chwilowo w spokoju niespójności takich zakazów i niespójności w mogącej uzasadniać takie zakazy argumentacji. Powiedzmy sobie bowiem taką rzecz, że jeśli można uzasadniać zakazy „mowy nienawiści”

w sposób mający jakieś przysłowiowe ręce i nogi, to można to robić przy użyciu argumentu, że „mowa nienawiści” może przyczyniać się do przemocy. Argument ten nie jest w jakiś oczywisty sposób sprzeczny z logiką czy życiowym doświadczeniem – trudno byłoby zaprzeczyć temu, że nienawiść staje się czasami podłożem przemocy – nikt też chyba nie uważa, że w państwie, gdzie wolność słowa jest choćby minimalnie respektowana władze mogą zakazać jakichś wypowiedzi po prostu dlatego, że tak się im akurat podoba (tyczy się to zresztą nie tylko zakazów wypowiedzi, ale w gruncie rzeczy zakazów – bądź nakazów – jakichkolwiek zachowań: wszystkie one muszą mieć jakieś – odwołujące się czy to do ich szkodliwości, czy powodowanego przez nie zagrożenia czy choćby jakiegoś ogólnego dobra społecznego – uzasadnienie). Lecz możliwe uzasadnienie wprowadzenia do kodeksu karnego (a także kodeksu wykroczeń) takich zakazów wypowiedzi, jakie przewidywał lansowany przez p. Barbarę Nowacką projekt ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie jeśli jakieś mogłoby być, to toczka w toczkę takie samo, jak możliwe do jakiegoś teoretycznego przyjęcia uzasadnienie zakazów „mowy nienawiści”. Znow, jest prawdą, że w uzasadnieniu wspomnianego projektu nie było odwołania się do takich zakazów: proponowane w nim art. 269 d i 269 e k.k. w ogóle nie były w jakikolwiek sposób uzasadniane. Lecz mimo wszystko czymś rozsądnym wydaje się przypuszczenie, że gdyby w Polsce – tak jak obecnie w USA – istniał system prawny, w którym propagowanie żadnych poglądów nie jest zabronione, zaproponowanie czegoś takiego, jak to, o czym była mowa w projekcie ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie byłoby mniej prawdopodobne – byłaby to zbyt duża anomalia w stosunku do istniejącej prawnej rzeczywistości. (14) I jeszcze jedno: projekt ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie w swym uzasadnieniu nie odwoływał się, jak już wspomniałem, do zapisanych w kodeksie karnym zakazów „mowy nienawiści” – przewidziane w tym projekcie ograniczenia wolności słowa w ogóle w żaden sposób nie zostały uzasadnione. Do zakazu „nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” i propagowania ustrojów totalitarnych w całkiem wyraźny sposób odwołali się natomiast autorzy innego poronionego... w tym przypadku to chyba dobre określenie ze względu na to, o co w tym pomyśle chodzi, a chodzi w nim (też) o aborcję - pomysłu jakim jest przedstawiony ostatnio przez fundację „Życie i rodzina” Kai Godek [projekt ustawy o zmianie ustawy z dnia 7 stycznia 1993 r. o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży oraz innych ustaw](#). Jeśli ten projekt przeszedł by przez Sejm, oraz Senat i zostałby podpisany przez Prezydenta to w kodeksie karnym po art. 256 (o propagowaniu totalitaryzmu i nawoływaniu do nienawiści) znalazłby się art. 256a o następującej treści:

„Art.

256a

§ 1. Kto publicznie propaguje jakiegokolwiek działania dotyczące możliwości przerywania ciąży na terenie kraju i poza jego granicami lub nawołuje do przerywania ciąży na terenie kraju i poza jego granicami lub w przypadkach innych niż wymienione w ustawie informuje o możliwości przerywania ciąży na terenie kraju i poza jego granicami, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

§ 2 Tej samej karze podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utrwala lub sprowadza, nabywa, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie

lub inny przedmiot lub nośnik danych, zawierające treść określoną w § 1. § 3 W razie skazania za przestępstwo określone w § 2 sąd orzeka przepadek przedmiotów, o których mowa w § 2, chociażby nie stanowiły własności sprawcy.” § 4. W razie skazania za przestępstwo określone w § 1 lub w § 2, Sąd orzeka podanie wyroku do publicznej wiadomości.

Gdyby propozycja p. Godek (czy kogoś z jej fundacji – nie wiem, czy oficjalnie lansowane przez jej organizację przepisy prawne wymyśla ona, czy może jakiś prawnik pracujący dla tej fundacji) stała się obowiązującym prawem to do więzienia można byłoby trafić za pochlebne wyrażenie się – w najbardziej nawet ogólnikowy sposób – o działalności organizacji typu „Kobiety na fali” „Aborcyjne dream team” „Aborcja bez granic” czy „Ciocia Basia”. Możliwe jest nawet, że jako przestępstwo mogłoby być traktowane po prostu propagowanie legalizacji aborcji – bez nawoływania do jej dokonywania (co według propozycji p. Godek też byłoby przestępstwem – i prawdopodobnie mogłoby nim być również wówczas, gdyby chodziło o aborcję niezakazaną przez polskie prawo, jako że nawoływanie do dokonania aborcji prawnie zakazanej z powodzeniem mogłoby być ścigane na podstawie przepisu zakazującego publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa) – czyli propagowanie zmiany obowiązującego prawa – rzecz wydawałoby się zwyczajna w demokracji. Zwróćmy bowiem uwagę na zawarty w projekcie art. 256a § 1 zwrot „publicznie propaguje jakiegokolwiek działania dotyczące możliwości przerwania ciąży na terenie kraju i poza jego granicami”. „Jakiegokolwiek działania dotyczące możliwości przerwania ciąży” to – logicznie, jak mi się wydaje, rozumując – jakiegokolwiek działania związane z taką możliwością, mające czy mogące ułatwić taką możliwość bądź prowadzić do jej stworzenia. Nie chodzi tu (w jakiś konieczny sposób) o działania niezgodne z obowiązującym w Polsce prawem – propagowanie takich działań mogłoby być ścigane jako nawoływanie do popełnienia przestępstwa bądź pochwalanie jego popełnienia – jak już zresztą wspomniałem, według proponowanego przez fundację p. Godek przepisu karalne miałyby być publiczne nawoływanie do przerwania ciąży, podobnie jak – nawet prywatne – nakłanianie kobiety do jej przerwania – i zapisy te trudno byłoby interpretować w taki sposób, że chodzi w nich wyłącznie o nielegalną, a nie również prawnie dozwoloną aborcję. Zakazane miałyby też być publiczne informowanie o możliwości przerwania ciąży czy to w kraju, czy poza jego granicami, chyba, że stanowiłoby ono wyłącznie informowanie o możliwości dokonania takiej aborcji, która jest w Polsce legalna. Swoją drogą, można się zastanawiać nad zakresem takiego zakazu – czy tyczyłby się on publicznego prezentowania jakichś bardzo konkretnych informacji na temat możliwości dokonania aborcji (np. że aborcji można dokonać w jakimś ściśle określonym miejscu) czy może też można byłoby pod niego podciągnąć informowanie o możliwości przerwania ciąży w jakimś szerszym znaczeniu tego pojęcia – czyli pisanie np. o tym, że w Czechach czy jeszcze innym europejskim kraju można dokonać aborcji również w tych przypadkach, w których jej dokonanie jest zabronione przez obowiązujące w Polsce prawo? Przypuszczać można, że komuś, kto wymyślił taki zakaz chodziło przede wszystkim o publikowanie informacji typu „ginekolog, przywracanie miesiączki, tel.” ale nie wykluczone jest to, że zakaz taki mógłby zostać zinterpretowany w sposób szerszy.

Jak przewidziane w lansowanym przez p. Godek projekcie ustawy zakazy wypowiedzi zostały uzasadnione? Otóż, jak powiedziane zostało w uzasadnieniu tego projektu „kodeks

karny penalizuje choćby propagowanie ustrojów totalitarnych oraz nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych etc (art. 256 KK). Dostrzec należy lukę prawną polegającą na braku penalizacji „zachęcania” i „promowania” zbrodniczych i prawem zakazanych działań a mianowicie dokonywania aborcji, gdyż obecny stan prawny problemu tego nie udźwignął. Mamy więc z jednej strony karanie za zachętę tudzież pomoc np. w kradzieży (należy zwrócić uwagę na wagę gatunkową i skutki społeczne choćby tego przestępstwa), z drugiej strony karanie za propagowanie ustroju totalitarnego (ponownie – jak wyżej) i zupełną bezkarność za propagowanie i udzielanie realnej pomocy w mordowaniu nienarodzonych dzieci. Stan ten należy bezsprzecznie zmienić”. Nie ma co już polemizować z powyższą argumentacją. Powiedzieć należy natomiast jedno: istnienie systemie prawnym przepisów, jak art. 256 i 257 polskiego kodeksu karnego, zabraniających „publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” oraz „publicznego nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo bezwyznaniowości” i „publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej albo ze względu na jej bezwyznaniowość” (przewidziany w art. 257 k.k. zakaz naruszania nietykalności cielesnej ze wspomnianych w nim powodów zostawmy w spokoju: choć zakaz ten nie jest bezproblematyczny – dlaczego w jakiś szczególny sposób karać takie naruszenia nietykalności cielesnej, które motywowane są czyjąś narodowością, przynależnością etniczną, rasą, wyznaniem bądź bezwyznaniowością, lecz już nie przynależnością do jakiejś innej, niż wspomniana w nim grupy społecznej – np. rolników, robotników, bezrobotnych, bezdomnych, albo gejów – to oczywiste jest, że naruszenia nietykalności cielesnej – inaczej, jak obraźliwe wypowiedzi, w odniesieniu do których takiej oczywistości nie ma – nie powinny być prawnie dozwolone) zwiększa prawdopodobieństwo wprowadzania do prawa karnego takich (np.) zakazów wypowiedzi, jak te proponowane czy to w projekcie lansowanym przez p. Barbarę Nowacką, czy też w projekcie lansowanym przez p. Kaję Godek. Argumenty przy użyciu których proponowane w tych projektach ograniczenia wolności słowa byłyby uzasadniane albo wprost i w jawny sposób odwołują się do zakazów „mowy nienawiści” (i propagowania totalitaryzmu) – jak ma to miejsce w projekcie p. Godek, albo – jeśli miałyby one zostać sformułowane – i mieć przy tym przysłowiowe ręce i nogi, jak było to w przypadku przepisów proponowanych w projekcie ustawy o ochronie praw kobiet i świadomym rodzicielstwie – to musiałyby się one opierać na praktycznie rzecz biorąc takich samych argumentach, na jakich mogą się opierać zakazy „mowy nienawiści”. Tyle tylko, że – jak zostało to już tutaj powiedziane – na podstawie tego rodzaju argumentów można byłoby uzasadnić mnóstwo zakazów wypowiedzi – w tym także tych, których wprowadzenia nikt (jak na razie przynajmniej) nie proponuje. Jak zauważył bowiem sędzia Holmes – odnosząc się do problemu tego, czy wypowiedzi propagujące potencjalnie niebezpieczne, w wyobraźalny sposób mogące zaowocować przemocą poglądy (choć w przypadku, do którego się on odnosił, nie chodziło o „mowę nienawiści” w sensie wypowiedzi negatywnie odnoszących się do grup tego rodzaju, co grupy rasowe, narodowe itd. lecz raczej o propagowanie rewolucji komunistycznej, obalenia – w drodze masowych strajków – parlamentarnej demokracji i wprowadzenia „dyktatury proletariatu”) powinny być traktowane jako przestępstwo – „każda idea jest podżeganiem”. (15) Chcemy tego, by szerzenie wszelkich idei było zakazane z tego powodu, że niektórzy

ludzie, którzy nabrali przekonania o słuszności pewnych idei w następstwie dojścia do takiego przekonania mogą coś złego zrobić – niezależnie od tego, czy to będzie pobicie osoby należącej do mniejszości rasowej dokonane w następstwie przekonania, że pewne grupy rasowe są mniej wartościowe od innych, czy podpalenie rzeźni wskutek przekonania do poglądu, że zabijanie krów i świń jest moralnym złem tego kalibru, co Holocaust, czy zniszczenie budynku wznoszonego w sąsiedztwie lasu w rezultacie przekonania do opinii, że dzicz ma prawo istnieć dla samej siebie, zaś wszelkie formy życia mają identyczne prawo do istnienia, a ludzie nie mają moralnego prawa szkodzić innemu życiu, chyba, że jest to konieczne dla zaspokojenia ich podstawowych życiowych potrzeb, czy niszczenie urzędów skarbowych w efekcie przekonania do opinii, że podatki są kradzieżą, czy podpalenie kliniki aborcyjnej w następstwie przekonania do poglądu, że aborcja jest morderstwem, czy pobicie działacza antyaborcyjnego w następstwie przekonania do poglądu, że możliwość dokonania aborcji jest niezwykle ważnym prawem kobiety, czy pobicie neonazisty w wyniku oburzenia będącego następstwem naczytania się o nazistowskich zbrodniach i przekonania do opinii, że neonazizm nie jest jakimś politycznym folklorem, lecz autentycznym zagrożeniem dla społeczeństwa, czy podpalanie budynków na obrzeżach wielkich miast w następstwie przekonania do opinii, że rozlewanie się miast na otaczające je tereny („urban sprawl”) jest moralnym złem, czy wysyłanie domowej roboty bomb do naukowców zajmujących się nanotechnologią w następstwie przekonania do poglądu, że nanotechnologia doprowadzi do upadku ludzkości i zdominowania świata przez samoświadomą technologię sztucznej inteligencji, czy podpalenie laboratorium zajmującego się genetyką w efekcie przekonania do opinii o zgubności manipulacji genetycznych, czy podpalanie (np.) samochodów typu SUV w efekcie przejęcia się globalnym ociepleniem – jak swego czasu zrobił to m.in. niejaki Jeff Luers, czy wreszcie np. dokonanie zamachu na życie przywódcy politycznego w następstwie przekonania, że jego działalność jest szkodliwa dla kraju? Sądzę, że nie – świat, w którym nie wolno byłoby wyrażać żadnych mogących czasem motywować niektórych ludzi do robienia złych rzeczy poglądów byłby światem, w którym wolno byłoby wyrażać bardzo niewiele poglądów (można byłoby wyrażać poglądy tego rodzaju, jak pogląd, że niebo jest niebieskie, a trawa jest zielona – wydaje się, że przekonania o czymś takim nie są w stanie zmotywować kogokolwiek do dokonania jakiegoś aktu przemocy). Lecz jeśli można zakazać wyrażania pewnych potencjalnie niebezpiecznych poglądów – np. tych, których wyrazem jest „mowa nienawiści” – lecz nie innych (np. koncepcji biocentryzmu, opinii o zgubności inżynierii genetycznej czy nanotechnologii itd.) to powstaje pytanie, dlaczego tępić szerzenie pewnych mogących motywować kryminalne działania idei, lecz tolerować szerzenie innych, które mogą mieć podobne skutki? (16)

Nie było jeszcze w tym tekście praktycznie rzecz biorąc mowy o tej części art. 256 § 1 k.k. według której przestępstwem jest „publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa”? Jest jakiś powód do istnienia w prawie karnym takiego zakazu?

Oczywiście, można twierdzić, że powód do tego istnieje. Totalitaryzm – czy to w wersji faszystowskiej, czy komunistycznej, czy jeszcze innej (np. takiej, której podłożem jest fundamentalizm islamski) jest rzeczą niewątpliwie złą. W swych skrajnych wersjach – takich, jak te istniejące np. w nazistowskich Niemczech czy w stalinowskim Związku Sowieckim

prowadził on do masowego terroru i ludobójstwa i nawet tam, gdzie był on łagodniejszy (zakładając, że wciąż był to ustrój totalitarny), jak np. w państwach Europy Środkowo – Wschodniej, czy w ZSRR po 1956 r. prowadził do oczywistych szkód – ludność krajów, o których tu jest mowa, choć nie traktowana tak brutalnie, jak np. ludność ZSRR w 1937 – nie mówiąc już o traktowaniu Żydów w Niemczech za Hitlera – była pozbawiona możliwości korzystania z praw, które (mimo zdarzających się czasem ich ograniczeń, takich, jak np. zakaz działania organizacji nawiązujących do nazizmu w Niemczech, zakazy „mowy nienawiści” czy innych uznawanych za szczególnie obraźliwe i niebezpieczne wypowiedzi – negowania zbrodni hitlerowskich, pochwalania zachowań przestępczych itd.) dla ludzi mieszkających w krajach zachodnich są czymś całkowicie normalnym, jeśli nie wręcz naturalnym – w krajach tych nie istniała więc wolna, w poważnym sensie tego słowa, prasa, nie mogły działać niezależne od władzy organizacje, przy czym szczególnie niedopuszczalne było istnienie partii politycznych opozycyjnych wobec partii rządzącej, nie było (przy zachowaniu możliwości podróżowania po kraju) swobody wyjazdów za granicę, nie było swobody prowadzenia działalności gospodarczej – i oczywiście nie było wolnych wyborów – te, które były w tych krajach przeprowadzane, były niczym innym, jak tylko fikcją i farsą. Ktoś, kto propaguje totalitarny ustrój państwa zmierza więc – można byłoby twierdzić – do pozbawienia ludzi ich podstawowych praw – w większym w każdym razie stopniu, niż ograniczenie możliwości korzystania z takich praw jest uważane za coś dopuszczalnego w demokracji – zaś co najmniej pośrednio (znając doświadczenia historyczne można tak argumentować) do dokonania nawet takich czynów, jak zbrodnie przeciwko ludzkości.

Art. 17 Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności z 1950 r. – ulubiony przepis zwolenników zakazów „mowy nienawiści” „kłamstwa oświęcimskiego” i propagowania totalitaryzmu – czy to w każdej jego postaci, czy też tylko pewnych jego odmian, takich jak faszyzm i nazizm – stwierdza, że „żadne postanowienie niniejszej Konwencji nie może być interpretowane jako przyznanie jakiegokolwiek państwu, grupie lub osobie prawa do podjęcia działań lub dokonania aktu zmierzającego do zniweczenia praw i wolności wymienionych w niniejszej Konwencji albo ich ograniczenia w większym stopniu, niż to przewiduje Konwencja”. To oczywiście jest przepis cokolwiek problematyczny z takiego chociażby względu, że nie jest całkiem jasne, co jest podjęciem działań bądź aktem zmierzającym do zniweczenia praw i wolności wymienionych w (EKPC) albo do ich ograniczenia w większym stopniu, niż przewiduje to (EKPC). Czy takim działaniem – względnie czynem – mogłoby być np. krzykzenie „precz z Europejską Konwencją Praw Człowieka”? Mogłoby nim być wypowiedzenie stwierdzenia, że należy przywrócić [karę śmierci](#)? – w kontekście tego drugiego pytania warto zauważyć, że obowiązywanie kary śmierci w krajach będących stronami EKPC jest obecnie wykluczone przez tę Konwencję (a konkretnie [13 protokół dodatkowy do niej](#)). Tak jeszcze przy okazji spostrzec można, że wspomniane powyżej typy wypowiedzi – które Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu w zupełnie wyobraźalny mógłby uznać za niechronione przez EKPC właśnie na podstawie art. 17 w przypadku, gdyby w jakimś kraju ktoś został za takie wypowiedzi skazany (problem możliwości skazania kogoś za wypowiadanie tego rodzaju stwierdzeń jest oczywiście czysto abstrakcyjny – nie zetknąłem się z informacją o istnieniu w jakimkolwiek kraju prawa zabraniającego propagowania kary śmierci, ani też prawa

zabraniającego krytykowania czy atakowania w jakikolwiek sposób Europejskiej Konwencji Praw Człowieka) trudno byłoby uznać za „propagowanie totalitarnego ustroju państwa”. Ja absolutnie nie jestem za karą śmierci (i jestem przeciwko bezwzględnemu dożywociu, zaś nad po prostu dożywociem, z potencjalną możliwością zwolnienia po iluś tam latach odsiadki, która wobec żadnego skazanego na taką karę nie musi zastać faktycznie zastosowana bym się zastanawiał – może maksymalna kara więzienia powinna wynosić jakąś określoną liczbę lat – nie wiem... np. 30, 35, 40, albo 50?), ale nikt przecież nie powie, że jakiś kraj automatycznie jest krajem totalitarnym z tego powodu, że obowiązuje w nim i jest stosowana taka kara – nikt chyba nie nazywa krajami totalitarnymi np. Stanów Zjednoczonych czy Japonii, ani też nie określa tym mianem krajów (zachodnio) europejskich z czasów, kiedy jeszcze istniała w nich taka kara. Podobnie też, nie byłoby jednoznacznym propagowaniem totalitarnego ustroju państwa – bo w ogóle trudno byłoby w takim przypadku mówić o propagowaniu jakiegokolwiek minimalnie choćby określonego ustroju państwowego – krzykzenie „precz z EKPC!”. Ale tak czy owak propagowanie wprowadzenia takiego ustroju państwa, w którym prawa i wolności jego mieszkańców niewątpliwie byłyby ograniczone w stopniu większym, niż dopuszcza to EKPC – a już tym bardziej takiego, w którym prawa takie po prostu by nie istniały, czym niewątpliwie byłoby propagowanie wprowadzenia ustroju totalitarnego – mieściłoby się – można się co do tego zgodzić – w ramach art. 17 EKPC i w związku z tym nie podlegałoby ochronie na podstawie art. 10 ust. 1 tej Konwencji, który mieszkańcom państw – stron tej Konwencji zapewnia prawo do wolności słowa.

Lecz przyznając, że z powodzeniem można argumentować, iż „propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” jest „działaniem zmierzającym do zniweczenia praw i wolności wymienionych w (EKPC) albo ich ograniczenia w większym stopniu, niż przewiduje to (EKPC) – i czymś w związku z tym przez EKPC niechronionym należy też zauważyć, że zupełnie czymś innym jest zmierzanie do czegoś (szczególnie, jeśli chodzi o taki cel, jak zmiana ustroju państwa na ustrój totalitarny), a czym innym realna możliwość doprowadzenia do osiągnięcia takiego celu. Odnosnie zawartego w art. 256 § 1 k.k. zapisu, w myśl którego przestępstwem jest publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa: zapis ten można oczywiście krytykować wskazując na jego nieostrość – zdarzało mi się to wcześniej robić. Nie jest bowiem oczywiste ani to, jaki ustrój państwowy jest już ustrojem totalitarnym, a jaki jeszcze nie (czy PRL w czasach po 1956 r. była państwem totalitarnym czy też nie?), ani co może stanowić „propagowanie” takiego ustroju (polskie sądy uznawały, że propagowaniem faszystowskiego ustroju państwa może być „hajlowanie” nawet jeśli nie towarzyszy mu wypowiedanie żadnych słów, albo wówczas, gdy wspomnianemu gestowi towarzyszą słowa inne, niż np. „sieg heil” albo „heil Hitler” – takie np. jak „chwała bohaterom” czy „chwała wielkiej Polsce” – czy w związku z tym o przestępstwie propagowania faszyzmu można byłoby mówić np. wówczas, gdyby ktoś wykonując jakiś gest w związku z wyznawaniem przez siebie jakiejś idei – bo żadne gesty, ani też symbole, nawet takie, jak np. swastyka nie są przez polskie prawo zakazane *per se* – trzymałby jedną ze swych górnych kończyn w sposób zauważalnie podobny do tego, jak robili to naziści krzycząc „heil Hitler!” – lecz nie identyczny z nim, przy jakim podobieństwie wykonywanego przez kogoś gestu do gestu „hajlowania” można byłoby mówić o popełnieniu przestępstwa propagowania ustroju faszystowskiego, a w jakim przypadku różnica między

takimi gestami byłyby już zbyt duże?). Lecz myślę, że może lepiej zabrać się za ten problem wprost „za bary” odnosząc się do wypowiedzi, którą z praktycznie stuprocentową pewnością należałoby uznać za „propagowanie totalitarnego ustroju państwa” – a więc, zgodnie z art. 256 § 1 k.k. przestępstwo zagrożone karą nawet 2 lat więzienia.

Wyobraźmy sobie zatem, że ktoś publicznie wygłasza poglądy tego np. rodzaju, że w Polsce powinien zostać wprowadzony taki sam ustrój, jak ten, który istnieje w Korei Północnej – lub, jeszcze lepiej – ustrój jeszcze bardziej totalitarny. A więc taki ustrój, w którym ludzie nie mieliby żadnej wolności słowa, żadnej prywatności, żadnej swobody zrzeszania się, wyboru pracy, partnera życiowego czy poruszania się, natomiast byłiby poddani ciągłemu nadzorowi, nieustannemu praniu mózgów i brutalnym represjom.

Wypowiedź taka, jak ta o której powyżej wspomniałem z pewnością w istocie stuprocentową wyczerpywałaby znamiona przestępstwa „publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” zaś jej autor – pod warunkiem, że byłby osobą mogącą pokierować swoim postępowaniem i wiedzącą, co robi – mógłby, zgodnie z art. 256 § 1 k.k. zostać potraktowany solidną grzywną, zostać skazany na karę nawet 2 lat ograniczenia wolności – polegające np. na obowiązku bezpłatnego wykonywania iluś tam – np. 20 czy 30 godzin takich czy innych prac w całym okresie trwania kary, dostać wyrok pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary, bądź nawet zwyczajnie trafić do kryminału, na niekrótki bynajmniej okres czasu, jakim są dwa lata.

Lecz odnośnie takiej wypowiedzi zadajmy sobie pytanie: czy autor takiej wypowiedzi, bądź ktoś systematycznie propagujący tego rodzaju poglądy porwałby za sobą tłumy – co potencjalnie mogłoby – choć trudno jest powiedzieć, z jakim prawdopodobieństwem – prowadzić do stworzenia ustroju o charakterze totalitarnym – czy raczej powszechnie zostałyby uznany za pomyłkę, a prawdopodobieństwo, by wygłaszane przez niego opinie trafiły wielu ludziom – czy już tym bardziej większości społeczeństwa – do przekonania byłoby praktycznie rzecz biorąc żadne?

Pytanie to dla każdego racjonalnie myślącego człowieka jest, wydaje mi się (piszę tak, bo przecież nie zadawałem takiego pytania każdemu racjonalnie, przynajmniej według mnie, myślącemu człowiekowi) pytaniem retorycznym. Jakie jest więc uzasadnienie zakazu publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, skoro publiczne propagowanie takiego ustroju realnie rzecz biorąc nie może stworzyć jakiegokolwiek faktycznego prawdopodobieństwa jego wprowadzenia?

Na to pytanie powinni odpowiedzieć zwolennicy zakazu propagowania takiego ustroju. Trochę się oczywiście domyślam, co mogliby oni na to pytanie odpowiedzieć – mogliby oni stwierdzić np. to, że totalitaryzm jest tak olbrzymim złem, że w tym przypadku trzeba „dmuchać na zimne” i w związku z tym karać za wypowiedzi, które choćby tylko teoretycznie mogą przekonać takich czy innych ludzi do słuszności idei wprowadzenia totalitarnego ustroju, albo np. że na swoje prawo do głoszenia własnych poglądów nie może się powoływać ktoś, kto chce innych pozbawić możliwości korzystania z tego samego prawa.

Jeśli chodzi o drugą z tych rzeczy, to jest to, można bez trudu powiedzieć, pewna kwestia moralna. Nie jest czymś *per se* nielogicznym twierdzenie, że ktoś usiłujący pozbawić innych ich praw nie ma moralnego prawa do tego, by domagać się możliwości korzystania z nich

przez siebie – przeciwnie - twierdzenie to – na pierwszy przynajmniej rzut oka – wydaje się całkiem logiczne. Lecz jeśli zastanowimy się nad tym twierdzeniem nieco dłużej, to dojdziemy do wniosku, że opieranie się na tym twierdzeniu w kwestiach prawnych prowadziłoby do absurdu. Opierając się na tym twierdzeniu, należałoby dojść do wniosku, że w prawie karnym powinna obowiązywać zasada „lex talionis” – przynajmniej wówczas, gdy ktoś komuś wyrządza taką czy inną szkodę w zamierzony przez siebie sposób. I tak np. o kimś, kto – dajmy na to – silnym ciosem pięścią w szczękę (nie będącym elementem jakiejś bijatyki, która jest sytuacją dynamiczną i rozwijającą się) wybił komuś zęby należałoby powiedzieć, że ten ktoś nie ma prawa domagać się nienaruszalności swoich własnych zębów - i w związku z tym należy mu zęby wybić w sposób taki sam, jak wybił on je swojej ofierze. Nie chcę już bliżej zagłębiać się w przypadek np. wybicia czyjegoś oka... W każdym razie, rozumowanie oparte na takiej zasadzie nie jest przyjęte jako podstawa przepisów obowiązujących we współczesnym prawie karnym – przeciwnie, jest obecnie odrzucane (przynajmniej w świecie zachodnim, gdyż faktycznie inaczej wygląda to w niektórych przynajmniej państwach muzułmańskich). Tak swoją drogą, jeśli nawet stosowanie takiej zasady – odrzuconej, jak już wspomniałem, w praktycznie całym współczesnym cywilizowanym świecie, z wyjątkiem niektórych państw, których system prawny opiera się na Szariacie (w których zresztą kary tego rodzaju, co ucięcie ręki, czy już tym bardziej wydłubanie komuś oka są w praktyce bardzo rzadko stosowane) – byłoby, teoretycznie rzecz biorąc możliwe (jakby się na to nie patrzyć, w dawnych wiekach kary cielesne były nader popularne) to w odniesieniu do niektórych przypadków przestępczych zachowań pomysł stosowania wspomnianej zasady byłby problematyczny nie tylko z takiego powodu, jak ten, że prowadziłyby on do istnienia w prawie karnym i stosowania takich sankcji, jakie nie są obecnie akceptowane – a więc np. wybijania zębów lub oczu, łamania kości, bicia za bicie itp. ale z takiego również powodu, że – gdyby ją naprawdę konsekwentnie stosować – prowadziłyby do wniosków sprzecznych z ogólnie też chyba uznaną zasadą, że osoba oskarżona o popełnienie przestępstwa powinna mieć sprawiedliwy proces – którego elementami są m.in. domniemanie niewinności, prawo do obrony, rozstrzyganie niedających się rozwiązać wątpliwości zgodnie z zasadą *in dubio pro reo* i wreszcie wydanie wyroku w oparciu o udowodnione przed sądem fakty. Wyobraźmy sobie w tym kontekście sprawę np. sędziego z czasów komunistycznych, który w prowadzonych przez siebie sprawach nie przestrzegał wspomnianych zasad i w związku z tym świadomie skazywał niewinnych ludzi na więzienie, bądź nawet na śmierć. Czy odnośnie takiego sędziego – w przypadku oskarżenia go o np. tzw. Justitzmord – należałoby powiedzieć, że skoro łamał on prawo oskarżonych do sprawiedliwego procesu, to nie ma on prawa do tego, by domagać się przestrzegania takiego prawa w odniesieniu do siebie? Konsekwentne zastosowanie zasady, że człowiek nie może domagać się od innych respektowania tych swoich praw, których on sam w odniesieniu do innych nie szanuje prowadziłoby do wniosku, że dokładnie tak powinno być, lecz zauważmy, że w tym przypadku wniosek taki byłby sprzeczny nie tylko – jak było to we wspomnianym wcześniej przypadku umyślnego uszkodzenia czyjegoś ciała – z ideą, że ludzie nie powinni być karani w pewne sposoby (a więc np. wybijaniem zębów czy wykłuwaniem oczu) – lecz także z zasadą, że człowiek oskarżony o cokolwiek, co tylko uznawane jest za przestępstwo – powinien mieć prawo do sprawiedliwego procesu sądowego - prowadziłyby to więc do

podważenia jednej z podstawowych zasad prawa karnego – bez respektowania której prawo to w istocie rzeczy po prostu przestałoby być prawem.

Zasady, że człowiek nie ma prawa domagać się respektowania takich swoich praw, jakich chciałby pozbawić on innych nie da się więc traktować w sposób konsekwentny – i nikt oczywiście czegoś takiego nie proponuje. Lecz jeśli nawet można było uznać tę zasadę w odniesieniu do np. propagatorów nazizmu czy innego ustroju totalitarnego, w którym ludzie byliby pozbawieni m.in. wolności słowa (choć także np. prawa do sprawiedliwego procesu sądowego) to w odniesieniu do takich ludzi pojawia się jednak pewna szczególna wątpliwość, związana z tym, że tym, co ludzie tacy robią, jest nic innego, jak wygłaszanie pewnych opinii – i usiłowanie przekonania innych ludzi do nich. Wątpliwość ta związana jest z pytaniem, czego w ogóle dotyczy prawo do swobody wypowiedzania się: czy jest to wyłącznie prawo autorów wypowiedzi czy też – również – prawo odbiorców (rzeczywistych bądź potencjalnych) takich lub innych wypowiedzi? Gdyby właściwą odpowiedzią na to pytanie była odpowiedź pierwsza, to można byłoby powiedzieć, że skoro propagator totalitarnego ustroju państwa zmierza do pozbawienia innych ludzi ich podstawowych praw, w tym m.in. prawa do swobodnego wyrażania swoich poglądów, to nie ma powodu do tego, by jego prawo do szerzenia swoich poglądów było respektowane. Lecz oczywiste chyba jest to, że prawo do wolności słowa jest prawem nie tylko do wypowiadania się, ale także do odbioru – a więc słuchania, czytania, bądź oglądania - czyichś wypowiedzi. Nie ma chyba wątpliwości co do tego, że tak samo, jak ja miałem prawo napisać ten tekst, tak samo każdy inny ma prawo przeczytać ten tekst, skoro został on umieszczony na ogólnie dostępnej stronie internetowej. Podobnie, jeśli ktoś inny opublikował np. jakąś książkę, to oczywiście jest, że inni mają prawo kupić i przeczytać ową książkę (nie zagłębiajmy się w pewne problemy na marginesie tego prawa – takie np. jak to, czy małoletni powinni mieć prawo do nabywania publikacji o charakterze pornograficznym). Więc jeśli nawet w odniesieniu do kogoś propagującego nazizm, faszyzm, komunizm – bądź, dajmy na to, ustrój oparty na skrajnie interpretowanym islamie – można byłoby powiedzieć, że ten ktoś zmierza do pozbawienia innych ludzi ich praw i wolności i z tego powodu nie powinien móc bezkarnie szerzyć swoich przekonań, to wciąż należałoby zadać pytanie, dlaczego inni powinni być pozbawieni prawa do zapoznania się z tym, co ktoś taki ma do powiedzenia? Oczywiście, prawo faktycznych, czy też ewentualnych odbiorców wypowiedzi propagujących np. nazizm lub komunizm (bądź cokolwiek innego) nie mogłoby – w praktyce rzecz biorąc – zostać zanegowane w sposób bezpośredni. Nikt chyba nie wyobraża sobie, by można było zatkać ludziom uszy w momencie, gdy ktoś, przemawiając do nich, zaczyna propagować np. faszyzm, nikt też chyba nie proponuje tego, by czymś prawnie zabronionym było np. samo tylko czytanie propagujących totalitaryzm tekstów. Zakaz publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa – lub mówienia, pisanie czy publikowania czegokolwiek innego – nie godzi oczywiście w prawo ludzi do zapoznania się z tym, co niektórzy chcieliby do nich powiedzieć w taki sam sposób, w jaki prawo to godziłoby zatykanie ludziom uszu, bądź zaklejanie im oczu w przypadkach, gdyby możliwość słuchania bądź czytania czegoś bezpośrednio narażałaby ich na kontakt z nazistowską lub inną totalitarną propagandą (coś takiego w oczywisty sposób nie byłoby możliwe), ani nawet nie godzi w to ich prawo w taki sam sposób, w jaki godziłaby w nie bezpośrednia kryminalizacja świadomego zapoznawania

się z treściami propagującymi ustrój totalitarny – która, oczywiście, byłaby czymś wysoce problematycznym, ale nie byłaby czymś po prostu nie możliwym – jako pewne precedensy w kierunku wciąż tylko teoretycznie wyobrażalnej kryminalizacji zachowań polegających na samodzielnym zapoznawaniu się z wypowiedziami propagującymi totalitaryzm można byłoby potraktować przewidziane przez kodeks karny zakazy przechowywania i posiadania (a więc *implicite* także oglądania) treści pornograficznych przedstawiających wytworzony albo przetworzony wizerunek małoletniego uczestniczącego w czynności seksualnej (czyli tzw. wirtualnej pornografii dziecięcej) zaś w przypadku treści pornograficznych z udziałem rzeczywistych osób małoletnich także samego tylko uzyskania dostępu do takich treści (art. 202 §§ 4a i 4b k.k.) a także samodzielnego zapoznawania się z treściami mogącymi ułatwić popełnienie przestępstwa o charakterze terrorystycznym w celu popełnienia takiego przestępstwa (art. 255a § 2 k.k.). Lecz wciąż jednak zakaz, o którym jest tu generalnie rzecz biorąc mowa, stanowi ingerencję we wspomniane prawo: oczywiste jest, że jeśli zabrania się mówienia, pisania czy publikowania pewnych rzeczy, to co najmniej usiłuje się zmniejszyć prawdopodobieństwo tego, by rzeczy te trafiły do uszu bądź oczu innych. I jeśli ludzie mają generalne prawo do zapoznawania się z poglądami, które ktoś szerzy w ich kraju, czy też w ogóle gdzieś na świecie, to zakaz publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa ponad wszelką wątpliwość godzi w takie ich prawo.

Zakazu publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa nie można więc uzasadnić wyłącznie w oparciu o argument, że ponieważ propagatorzy totalitaryzmu zmierzają do pozbawiania innych ich praw i wolności – w tym prawa do swobodnego wypowiedzania się – to nie mogą domagać się tego, by to ostatnie prawo było respektowane w stosunku do nich. Próba uzasadnienia zakazu takich wypowiedzi musi się odwoływać do ich przynajmniej hipotetycznej, czy potencjalnej szkodliwości.

O jakiej jednak szkodliwości może być tu mowa? Pierwszym łatwo wyobrażalnym rodzajem szkodliwości publicznych wypowiedzi propagujących faszyzm, nazizm, komunizm lub jeszcze inny totalitaryzm może być obraźliwość takich wypowiedzi. To prawda, że wypowiedzi propagujące ustrój o charakterze np. nazistowskim czy innym totalitarnym mogą nie obrażać bezpośrednio jakichś grup, czy tym bardziej konkretnych osób – w sensie ich lżenia, wyszydzania, poniżania, czy znieważania – przeciwko takim wypowiedziom skierowane są inne zapisy w kodeksie karnym – np. ten występujący w art. 257 k.k. zgodnie z którym przestępstwem jest publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości. Lecz jeśli nawet wypowiedzi propagujące totalitaryzm nie obrażają jakichś konkretnych ludzi czy też grup ludzi w taki sam sposób jak wypowiedzi bezpośrednio odnoszące się do określonych ludzi bądź ich grup, to nie ulega wątpliwości, że wypowiedzi takie mogą być odbierane przez niektóre osoby, czy grupy osób jako obraźliwe dla nich. I zdarzało się, że wypowiedzi takie – szczególnie w krajach, które nie mają w swych systemach prawnych wyraźnie zapisanych zakazów czy to propagowania pewnych ustrojów państwowych, czy propagowania pewnych ideologii, bądź prezentowania pewnych symboli – takich jak swastyka – bywały karane na podstawie przepisów zakazujących np. znieważania ludzi z powodu ich przynależności narodowej bądź religijnej. Czytałem kiedyś o tego rodzaju przypadku, który zdarzył się w Holandii i który - o ile sobie dobrze przypominam – polegał

na tym, że ktoś publicznie wywiesił flagę ze swastyką. W holenderskim kodeksie karnym nie ma – tak jak w kodeksie karnym Niemiec – zapisanego zakazu prezentowania określonych symboli (takich, jak swastyka) lub wykonywania pewnych gestów (np. heil Hitler!). Nie ma w nim również zapisanego zakazu propagowania jakiegokolwiek ustroju państwowego, pod co w Polsce podciąga się np. „hajlowanie”. Są w nim natomiast zapisy dotyczące znieważania grup ludzi z takich powodów, jak m.in. przynależność rasowa i religijna, a także nawoływania do nienawiści z takich powodów. Innymi słowy mówiąc, w Holandii nie można zostać skazanym po prostu za propagowanie faszyzmu, czy za prezentowanie swastyki – bo prawo tego kraju nie przewiduje takich przestępstw. Lecz można tam zostać skazanym za publiczne znieważanie (np.) Żydów, albo za publiczne nawoływanie do nienawiści, względnie dyskryminacji bądź przemocy przeciwko Żydom. Jak do tego wszystkiego miał się wspomniany powyżej przypadek publicznego prezentowania swastyki? Swastyka, chciałbym zauważyć, nie mówi nic – wprost przynajmniej - o Żydach. Nie mówi o tym, że Żydzi są tacy czy owacy, nie zawiera jakichś obelżywych słów na ich temat. Lecz fakt był taki, że ktoś, kto wystawił w Holandii flagę ze swastyką został skazany za publiczne znieważenie Żydów.

Jak widać, można argumentować, że wypowiedzi propagujące totalitarny ustrój państwa – czy uznawane za propagowanie totalitarnego ustroju państwa, tak jak ma to miejsce w Polsce w przypadku pewnych wypowiedzi symbolicznych, takich, jak publiczne prezentowanie swastyk czy „hajlowanie” powinny być karalne z tego powodu, że są one obraźliwe dla niektórych osób. Trudno przecież byłoby powiedzieć, że wypowiedzi wyrażające pogląd, że nazizm był wspaniałym ustrojem, bądź prezentujące symbole związane z nazizmem nikogo nie mogą obrażać.

Lecz z takim argumentem znów – podobnie, jak w przypadku „mowy nienawiści”, obrażania uczuć religijnych czy cokolwiek innego – lepiej być ostrożnym. Prawda jest bowiem taka, że mnóstwo rzeczy może obrażać różnych ludzi z różnych powodów. Propagowanie w jakiegokolwiek formie nazizmu, faszyzmu czy komunizmu może obrażać niektórych ludzi – np. tych, których bliscy zginęli z rąk tych reżimów. Ale niektórych ludzi, jak wiemy, mogą obrażać np. parady gejów. Z dość już w tej chwili dawnych czasów pamiętam człowieka, pobożnego katolika, który czuł się do głębi dotknięty tym, że jego ojciec – facet zdaje się w wieku koło siedemdziesiątki – żyje w pozamałżeńskim związku ze znacznie młodszą od siebie kobietą. Znana mi jest również (naprawdę dawna już) opowieść o dziewczynie z (istniejącego jeszcze wówczas) ZSRR, która poczuła się tak osobiście dotknięta powiedzeniem jej czegoś sprzecznego z jej wcześniejszymi przekonaniami o Leninie (czyli w sumie powiedzeniem po prostu prawdy), że się zwyczajnie popłakała. To swoją drogą, są niezłe argumenty odnośnie „hate speech” czy wszelkich innych obraźliwych – dla takich czy innych osób – wypowiedzi. W literaturze na temat „mowy nienawiści” spotkać się można z twierdzeniami, że „hate speech” o osób do których się odnosi wywołuje strach, koszmary senne, objawy zespołu stresu pourazowego, psychozy i czasem wręcz prowadzi do samobójstw. Przyjmijmy – dla dobra argumentacji – że „mowa nienawiści” czy też gloryfikacja np. nazizmu czasami rzeczywiście miewa takie skutki (choć trzeba wyraźnie powiedzieć, że jakiś w miarę udowodniony sposób tyczy się to takich nienawistnych wypowiedzi, które są bezpośrednio, personalnie i w dodatku w sposób uporczywy kierowane do konkretnych osób – np. członków pewnych grup etnicznych, religijnych itd. – a nie mowy

nienawiści prezentowanej np. na ogólnie dostępnych stronach internetowych i bezpośrednio nie odnoszącej się do kogokolwiek).

Lecz odnośnie takiego *dictum* chciałbym zwrócić uwagę np. na to, że są obecnie na świecie ludzie – i nie są to bynajmniej żadne pojedyncze przypadki, tylko jest to całkiem szeroko obserwowane zjawisko – którzy są dosłownie chorzy ze strachu przed globalnym ociepleniem. Jak można przeczytać w [tym tekście](#) „psychologowie alarmują, że silne emocje związane ze zmianami klimatu coraz częściej wymykają się spod kontroli. Przedstawiciele The Climate Psychology Alliance (CPA) powiedzieli „[The Daily Telegraph](#)”, że dzieci skarżące się na lęk ekologiczny otrzymują nawet leki psychiatryczne”. Jest tam też powiedziane, że „Kierownik CPA (i nauczycielka zarazem) Caroline Hickman opowiadała, że jej podopieczni mają wątpliwości, czy opłaca się uczyć do egzaminów i iść na studia”. Zastanówmy się pokrótce nad tym, skąd te negatywne i wręcz destrukcyjne emocje się biorą. Niewątpliwie *per se* jest to, że pewne zjawiska pogodowe mogą powodować u ludzi negatywne stany psychiczne – takie, jak uczucia strachu, lęku, czy przygnębienia. Wielu ludzi – wiadomo – boi się (w mniejszym lub większym stopniu) burzy – taki lęk mamy zakodowany ewolucyjnie. Rolnik, któremu jakaś klęska żywiołowa – czy to powódź, czy gradobicie, czy huragan, czy susza – zniszczyła plony będzie odczuwał strach o swoją przyszłość. W dobry nastrój nie wpędza nikogo – a chyba zwłaszcza już dzieci – zimne i deszczowe lato. Lecz we wspomnianych tu wcześniej przypadkach to chyba nie tego rodzaju negatywne doświadczenia związane pogodą były powodem występowania u niektórych ludzi poważnie niszczących ich psychikę emocji. Co więc było powodem takich emocji? Otóż ponad wszelką wątpliwość w generowaniu tych emocji odegrało straszenie ludzi globalnym ociepleniem – jest bowiem rzeczą oczywistą, że ludzie na podstawie wyłącznie własnych, bezpośrednich doświadczeń z pogodą nie mogą dojść do wniosku, że na naszej planecie zachodzą, wskutek ludzkiej działalności, zmiany klimatyczne, które w krótkim czasie mogą doprowadzić do tego, że na Ziemi – lub przynajmniej jakiejś jej dużej (znacznie większej, niż ma to miejsce obecnie) części, praktycznie rzecz biorąc nie będzie się dało żyć. Wiedzieć takie rzeczy – i w następstwie tej wiedzy odczuwać strach, lęk, gniew, wściekłość, przygnębienie, poczucie beznadziei – że to już koniec, życie nie ma sensu, bo wszyscy niedługo umrzemy – można wyłącznie na skutek nasłuchania bądź nacytania się takich czy innych wypowiedzi. Czy w związku z tym należy zakazać straszenia globalnym ociepleniem z tego powodu, że wypowiedzi wieszczące spowodowaną przez człowieka katastrofę klimatyczną mogą wywoływać u niektórych ludzi negatywne emocje tego z grubsza rzecz biorąc rodzaju, jakie może powodować u nich np. „mowa nienawiści” – albo np. prezentowanie swastyki, które w wyobraźalny sposób może u niektórych osób – np. żydowskiego pochodzenia – pobudzać uczucia strachu przed możliwym, w ich subiektywnym odczuciu, powrotem prześladowań? Chciałbym zauważyć, że jakoś nie zetknąłem się – jak dotąd – z tego rodzaju propozycją. A przecież jeżeli właściwym powodem do zakazywania pewnych publicznych wypowiedzi miałyby być to, że wypowiedzi te mogą przyczyniać się do generowania negatywnych uczuć – w rodzaju lęku, strachu, czy stanów depresyjnych – u niektórych ludzi – to propozycja zakazania wspomnianych w tym akapicie wypowiedzi wcale nie byłaby absurdalna. Podobnie, jak nie byłby absurdalny zakaz publikowania jakichś twierdzeń, które mogą podważać przekonania wyznawane przez innych. Nie każde,

oczywiście, podważenie czyichś przekonań musi prowadzić do poważnie negatywnych skutków psychicznych – w rodzaju podkopania poczucia własnej wartości. Lecz czasem jednak ma ono taki skutek, zwłaszcza wówczas, gdy chodzi o jakieś przekonania głęboko wyznawane przez pewne osoby i będące swego rodzaju częścią ich osobistej tożsamości. Przykładem tego może być historia amerykańskiego naukowca George Price’a. Price głęboko wierzył w to, że ludzie (ogólnie rzecz biorąc) są z natury altruistami, gotowymi bezinteresownie pomagać innym. Lecz... pewnego dnia Price przeczytał artykuł opublikowany w piśmie naukowym, z którego wynikało, że to niestety nie jest tak. Lektura artykułu podważającego jego przekonania mocno podkopła jego self-image. Price próbował jeszcze udowodnić, że to nie autor przeczytanego przez niego tekstu, ale on ma rację. Niestety wychodziło na to, że nie. Ostateczny rezultat całej historii był więc taki, że Price popadł w taką depresję, że popełnił samobójstwo – przecinając nożyczkami swoją tętnicę szyjną (brrrr...). Rzecz jasna, przypadek Price’a z całą pewnością był skrajny i może nawet dość wyjątkowy, lecz niewątpliwie pokazuje on to, że wypowiedzi skutecznie podważające przekonania głęboko wyznawane przez inne osoby mogą mieć poważnie negatywne skutki psychologiczne dla tych osób. Czy w związku z tym wypowiedzi, o których w rozsądny sposób dałoby się powiedzieć to, że mogą one podważać przekonania wyznawane przez inne osoby i powodować przez to negatywne stany psychiczne u tych osób powinny być prawnie zakazane? Jeśli tak naprawdę – i w sposób konsekwentny - miałyby być, to przypuszczam że spokojnie mógłbym „beknąć” za chociażby ten tekst. Przecież może on (w wyobraźni jak dla mnie sposób) podważać u niektórych ludzi poczucie sensu tego, co ludzie ci robią i co uważają oni za absolutnie słuszne (np. zwalczania „mowy nienawiści” poprzez tropienie takiej „mowy” w Internecie i składania donosów do prokuratury). Lecz niewątpliwie istotą prawa ludzi do wolności słowa jest ich prawo do tego, by podważać – nawet bardzo głęboko żywione – przekonania innych; prawo do swobody wypowiedzania się bez prawa do robienia czegoś takiego byłoby zwykłą farsą.

Jak zatem widać, choć „propagowanie faszyzmu” – bądź innego totalitaryzmu może u niektórych ludzi wywoływać negatywne – nawet poważnie – uczucia to sam fakt wywoływania (a już tym bardziej samej tylko możliwości wywoływania) takich uczuć nie może stanowić usprawiedliwienia dla prawnego zakazu takich wypowiedzi. W czym ewentualnie można takiego usprawiedliwienia szukać? Oczywiście można go szukać w możliwych – choćby wyłącznie potencjalnie i czysto teoretycznie – skutkach propagowania takiego ustroju, wykraczających poza wpływem pewnych wypowiedzi na same tylko wewnętrzne stany psychiczne niektórych ich odbiorców.

Lecz z argumentacją, że propagowanie totalitarnego ustroju państwa powinno być zakazane z takiego powodu, że może ono doprowadzić do czegoś obiektywnie rzecz biorąc złego też są, jak wspomniałem tu już wcześniej, co najmniej spore problemy. Jak już tu wcześniej pisałem, trudno byłoby w sposób poważny obawiać się tego, że np. jacyś propagatorzy ustroju totalitarnego w stylu Korei Północnej mogliby zrobić dużej części Polaków przysłowiową wodę z móżgu i przekonać ich do wprowadzenia takiego ustroju - i to samo można byłoby oczywiście powiedzieć o ewentualnych propagandzistach nazizmu, komunizmu, czy totalitaryzmu opartego na religii. W każdym razie, jeśli w propagandzie totalitarnego ustroju państwa można byłoby się dopatrywać zagrożeń dla takich wartości jak demokracja oraz

prawa i wolności obywatelskie to wyraźnie trzeba powiedzieć, że zagrożenie to w istniejących obecnie w Polsce warunkach może być wyłącznie teoretyczne – jest to zagrożenie, któremu (czysto hipotetycznemu) urzeczywistnieniu się można przeciwdziałać poprzez np. ośmieszanie wypowiedzi propagujących taki czy inny totalitaryzm, a także autorów tych wypowiedzi, przypominanie, czym był faszyzm, nazizm czy też komunizm i jakie te ustroje miały w praktyce skutki – krótko mówiąc, przez „pomnożenie wypowiedzi” a nie zmuszanie potencjalnych autorów pewnych wypowiedzi do milczenia pod groźbą wsadzenia ich za kratki.

Warto też zwrócić uwagę na niekonsekwencję zakazów „propagowania ustrojów totalitarnych” jako metody zapobiegania – czysto hipotetycznej, wszyscy zgodzimy się chyba co do tego – możliwości doprowadzenia do jakichś konkretnie negatywnych skutków społecznych – takich, jak likwidacja demokracji i ograniczenie - w stopniu na pewno większym, niż bywa to akceptowane w państwach uznawanych za demokratyczne - obywatelskich praw i wolności, czy też prostu oczywistych już zbrodni – np. mordowania przeciwników politycznych reżimu, stosowania tortur, czy ludobójstwa – do których może prowadzić totalitaryzm. Zakaz „publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” niewątpliwie pojawił się w kodeksie karnym z tego powodu, że totalitaryzm – w wersji czy to nazistowskiej czy faszystowskiej czy komunistycznej (prawdopodobnie tylko te wersje totalitaryzmu były autorom k.k. znane) – prowadził to strasznych rzeczy. Stalinowski „Wielki Terror” czy (spowodowany również przez Stalina) Wielki Głód na początku lat 30 XX wieku na Ukrainie, popełnione przez III Rzeszę niemiecką zbrodnie na (m.in.) Żydach i wywołana przez to państwo II wojna światowa, ubeckie tortury i egzekucje (oraz masowe więzienie) przeciwników reżimu komunistycznego w Polsce w drugiej połowie lat 40 i pierwszej połowie lat 50 XX wieku w Polsce – te wszystkie rzeczy zdarzyły się dlatego, że w krajach takich, jak Związek Radziecki, Niemcy i Polska istniały ustroje totalitarne. Lecz nie zaprzeczając temu (bo nie da się temu przecież zaprzeczyć) że totalitaryzm prowadził do strasznych zdarzeń – w rodzaju „wielkiej czystki” w latach 30. w ZSRR czy Holocaustu warto też zauważyć, że porównywalnie straszne rzeczy potrafiły się dziać w państwach nie będących reżimami totalitarnymi. Weźmy tu np. reżim panujący w Chile pod rządami gen. Augusto Pinocheta. Wszyscy chyba wiemy, że była to brutalna, wojskowa dyktatura, w której nie było wolności wypowiedzi, czy zrzeszania się, zaś wobec przeciwników reżimu stosowano tortury i egzekucje – w tym również pozasądowe. Praktyki stosowane przez władze tego państwa miały więc z pewnością bardzo wiele wspólnego z praktykami reżimów panujących w takich państwach, jak hitlerowska III Rzesza (oczywiście, trudno jest porównywać reżim Pinocheta i reżim Hitlera, gdy chodzi o np. Holocaust, lecz nie jest już czymś absurdalnym porównywanie rządów Pinocheta i rządów Hitlera w czasie przed II wojną światową). Czy Chile pod rządami Pinocheta było jednak państwem totalitarnym? Otóż – w tym znaczeniu, w jakim pojęcia „państwo totalitarne” używa się w odniesieniu do takich państw, jak np. hitlerowska III Rzesza, stalinowski Związek Sowiecki, czy Korea Północna przez cały okres istnienia tego państwa – raczej nie. Z jakiego powodu? Otóż takiego, że cechą specyficznie przypisywaną państwom totalitarnym – lecz nie wszelkim państwom niedemokratycznym – jest funkcjonująca w tych państwach i mająca w nich oficjalny, podniesiony do rangi można by rzec państwowej religii ideologia. Władze

państw totalitarnych, takich, jak np. Związek Sowiecki (zwłaszcza w czasach Stalina) dążyły nie tylko do tego, by obywatele tych państw nie krytykowali władzy i nie robili różnych zakazanych przez nie rzeczy (np. nie zrzeszali się w niezależne i szczególnie już opozycyjne organizacje), ale także do tego, by wyznawali oni tę ideologię. Reżim chilijski do czegoś takiego, na ile się w tym orientuję, nie zmierzał. Zauważmy też jeszcze jedno: charakterystyczną cechą reżimów totalitarnych tego rodzaju, co III Rzesza Niemiecka czy wszystkie państwa komunistyczne było istnienie masowej partii politycznej, będącej „siłą przewodnią” narodu (choć w tym względzie istniały pewne istotne różnice między choćby hitlerowskimi Niemcami i stalinowskim Związkiem Radzieckim: w czasach, gdy między tymi krajami panowały pozornie przynajmniej dobre stosunki sowieccy komuniści dziwili się ponoć temu, że nie istnieje coś takiego, jak Biuro Polityczne oraz Komitet Centralny NSDAP) a także masowych organizacji, których działalność skierowana była do pewnych grup ludzi w tych państwach, np. młodzieży – taką organizacją był chociażby radziecki Komsomoł – była nią także działająca w III Rzeszy Hitlerjugend (opozycyjne organizacje były oczywiście zakazane – formalnie rzecz biorąc zakazane było też istnienie frakcji w ramach partii komunistycznej). W Chile Pinocheta żadnej partii typu NSDAP, KPZR, czy PZPR nie było – w latach 1973 – 1980 działalność jakichkolwiek partii politycznych była zakazana (w 1980 roku, wraz z ogłoszeniem nowej konstytucji, zezwolono w Chile na organizowanie ugrupowań politycznych, w tym niektórych ugrupowań opozycyjnych, z wyjątkiem komunistycznych). A jednak w niebędącym krajem totalitarnym Chile (brak masowej partii politycznej, brak narzucanej ludziom przy użyciu propagandy czy szkolnictwa konkretnej ideologii) według raportu stworzonej przez chilijski parlament Narodowej Komisji Prawdy i Pojednania w okresie rządów Pinocheta zginęło 2095 osób (choć niektóre z nich poniosły śmierć w wyniku walk zbrojnych i zamachów terrorystycznych urządzanych przez uzbrojone organizacje opozycyjne), zaś 1102 osoby zaginęły bez wieści. Tysiące ludzi było torturowanych i więzionych bez wyroków sądowych. Bilans rządów Pinocheta (pod wspomnianym powyżej względem) trudno jest więc porównać z bilansem rządów Hitlera, czy Stalina – albo Lenina – w ZSRR, lecz z bilansem rządów komunistycznych w latach 1944 – 1956 w Polsce, odnośnie której z reguły uważa się, że była ona w tym czasie (choć powiedzmy, że przede wszystkim w latach 1949 – 1954) państwem totalitarnym – jak najbardziej. Były rządy Pinocheta – przynajmniej z punktu widzenia ich wpływu na przestrzeganie praw człowieka w Chile (nie wypowiadam się tu o sprawach w rodzaju słynnego „cudu gospodarczego” w Chile) czymś lepszym od rządów polskich stalinowców? Dyktatura wojskowa w latach 1976 – 1983 w Argentynie była jeszcze bardziej okrutna od dyktatury chilijskiej. W ciągu pięciu lat rządów generała Jorge Rafaela Videli kierowana przez niego junta wojskowa zamordowała – według oficjalnych danych – 9 tys. przeciwników politycznych reżimu, według danych nieoficjalnych mogło być ich nawet 30 tys. Lecz odnośnie junty argentyńskiej nie zetknąłem się z informacją o tym, że stworzyła ona system totalitarny – nawiasem mówiąc, gen. Videla stwierdził swego czasu, że „jedyną jego zbrodnią była obrona narodu przed wywrotową agresją i uniemożliwienie ustanowienie reżimu totalitarnego” – tak swoją drogą, czy czegoś takiego – choć nie przy użyciu tak skrajnie brutalnych środków, jak te, którymi posługiwał się w okresie swych rządów gen. Videla – nie mieli na celu twórcy art. 256 polskiego k.k. którzy przewidzieli w nim karanie nawet więzieniem za „publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju

państwa”? Nie słyszałem też nigdy o tym, by państwem totalitarnym była Uganda pod rządami Idi Amina Dady. Jednak rządy te doprowadziły do wymordowania w tym kraju (liczącym obecnie ponad 43 mln osób, wówczas zapewne dużo mniej) od 300 do 400 tys. ludzi. Trudno też państwem totalitarnym – w tym znaczeniu, w jakim tego pojęcia używa się w odniesieniu do np. hitlerowskich Niemiec czy Związku Sowieckiego – byłoby nazwać tzw. Wolne Państwo Kongo, będące prywatną własnością króla Belgów Leopolda II Koburga. Państwo to nie narzucało swoim mieszkańcom jakiegś konkretnej ideologii, tak, jak robił to np. ZSRR, czy nawet komunistyczna Polska. To, co było robione w tym kraju, to prowadzenie – przez zależne od króla spółki handlowe – rabunkowej gospodarki, której podstawowym celem było pozyskiwanie kauczuku i kości słoniowej, a co opierało się na pracy przymusowej i terrorze wobec tubylców. W rezultacie porządków, jakie zapanowały w Kongo pod rządami Leopolda II zginęło co najmniej kilka, a zdaniem niektórych historyków być może nawet znacznie ponad 10 mln ludzi. Reżim panujący w Wolnym Państwie Kongo swym bestialstwem co najmniej dorównywał więc najgorszym reżimom totalitarnym i z całą pewnością przewyższał wiele z nich. Lecz ustrój panujący w tym kraju nie był „totalitarnym ustrojem państwa” w tym sensie, w jakim o „totalitarny ustrój państwa” chodzi w art. 256 § 1 polskiego k.k.

I weźmy też przykład z historii (niestety) zupełnie najnowszej i póki co (też niestety) jeszcze niezakończonej. To, co wojska rosyjskie – posłane tam przez prezydenta Rosji Władimira Władimirowicza Putina – robią na Ukrainie, jest rzeczą bez jakiegokolwiek wątpliwości zbrodniczą. Nie pamiętam już w tej chwili kto, ale ktoś (znany) stwierdził, że porównania kogoś do Hitlera były jak dotąd co prawda częste, ale praktycznie zawsze były one przesadzone. Tym razem – w odniesieniu do Putina – nie są. (17)

Działania Rosji na Ukrainie mają oczywisty związek z tym, jaki ustrój polityczny panuje w tym państwie; związek z tym niewątpliwie miały też takie sprawy, jak tocząca się od 2014 r. niby to domowa wojna w Donbasie, rosyjska agresja przeciwko Gruzji w 2008 r. czy zabójstwa bądź próby zabójstw niewygodnych dla Putina ludzi – np. byłych szpiegów Aleksandra Litwinienki (2006) i Siergieja Skripala (2018) czy pisarki Anny Politkowskiej (2006) oraz opozycyjnych polityków Borysa Niemcowa (2014) i Aleksandra Nawalnego (2020), wsadzanie ludzi do więzień pod fałszywymi zarzutami itd. Związek ten nie był oczywiście związkiem koniecznym w tym sensie, że ustrój polityczny Rosji musiał do takich – jak wspomniane powyżej – rzeczy doprowadzić. Żaden „ustrój państwa” – w tym także np. ustrój niedemokratyczny, odrzucający kontrolę społeczną nad działalnością władz, niezależne media, niezawisłość sądów – nie musi w jakiś absolutnie konieczny sposób – prowadzić do dokonywania w tym państwie (przez jego władze, z inspiracji tych władz bądź za ich zgodą) jakichś czynów powszechnie uznawanych za zbrodnicze – takich, jak np. mordowanie ludzi. To, o czym można z powodzeniem powiedzieć, to to, że pewne ustroje państwowe sprzyjają dokonywaniu takich czynów i zwiększają ich prawdopodobieństwo w stosunku do tego, jakie może ono być w państwach, nie mających tego typu ustrojów – a więc takich, w których władza pochodzi z wolnych i uczciwie przeprowadzonych wyborów, istnieją niezależne od władzy media, są niezawisłe sądy, instytucje kontrolne typu np. polskiej NIK itp.

Pytanie, jakie powstaje w związku z Rosją i jej najazdem na Ukrainę (i towarzyszącym jemu zbrodniami wojennymi) – i które pośrednio odnosi się do art. 256 § 1 k.k. i zapisanego w nim

zakazu „publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa” jest takie, czy o Rosji pod rządami Putina da się powiedzieć to, że jest ona – albo, że była (przed najazdem na Ukrainę) państwem totalitarnym? Pewnie można byłoby o czymś takim dyskutować. Nikt – kto wie coś o Rosji – nie ma wątpliwości co do tego, że ustrój istniejący w tym kraju da się określić kolokwialnym, lecz z pewnością nienaukowym mianem zamordyzmu. W Rosji, jak wiadomo, od dawna nie istnieją niezależne od władz stacje radiowe i telewizyjne i prawie że (jak się zdaje) nie ma tam niezależnej zwykłej prasy. W rosyjskim parlamencie nie ma czegoś, co poważnie można byłoby nazwać mianem opozycji, krytykowanie władz jest rzeczą ryzykowną, a czasami może **naprawdę źle** się skończyć. Czy w dzisiejszej Rosji panuje jednak totalitaryzm? Ewentualne twierdzenie, że tak jest, wydawałoby się cokolwiek wątpliwe. Jakkolwiek wolność mieszkańców Rosji nie byłaby ograniczana, Rosjanom władze nie próbują – o ile mi wiadomo – narzucać jakiejś teleologicznej – tworzącej pewną wizję przyszłości – ideologii, której funkcjonowanie i państwowy charakter było konstytutywną, jak mi się wydaje, cechą tych państw, które określa się mianem państw totalitarnych. Nie zetknąłem się też z informacją o tym, by władze Rosji wtrącały się w prywatne wybory życiowe jej obywateli – dotyczące np. tego, na jakie pójść studia, jaki wybrać zawód, z kim (bądź czy w ogóle) się związać itd. – co może również nie miało miejsca we wszystkich krajach, które bywają uważane za kraje totalitarne, lecz co jednak miało miejsce w tych krajach, odnośnie których istnieją najmniejsze, jak sądzę, wątpliwości odnośnie tego, czy były to – lub są – kraje totalitarne. Wypowiedź Putina o „zdrajcach narodowych” którzy co prawda zarabiają w Rosji, ale mieszkają na Zachodzie, ale wcale nie fizycznie, lecz „zgodnie ze swymi myślami, zgodnie ze swoim niewolniczym umysłem” i które to „szumowiny i zdrajców” naród rosyjski jest w stanie „wypluć jak muszkę wypluć na chodnik” zapachniała mi trochę [tym](#), ale powiedzmy, że tylko zapachniała – bo roku 1937 ani dosłownie (to oczywiście niemożliwe) ani nawet tylko w przenośni w Rosji, jakkolwiek niesympatycznym krajem by ona obecnie nie była, jednak mimo wszystko nie ma.

Jak zatem widać, rzeczy nie mniej straszne, niż te, które działy się w państwach totalitarnych – lub nawet gorsze od takich, które miały miejsce w większości z nich, działy się w państwach o których co najmniej trudno byłoby powiedzieć, że były one państwami totalitarnymi. Lecz propagowanie takich ustrojów, jakie istniały w tych państwach – i które niewątpliwie były pewnym podłożem popełnianych w tych państwach zbrodni (masowe mordowanie przeciwników politycznych władzy raczej nie zdarza się, jak chyba to wiemy, w krajach powszechnie uznawanych za demokratyczne) nie jest czymś zakazanym przez art. 256 § 1 k.k. Kara na podstawie tego przepisu grozi za publiczne propagowanie ustroju faszystowskiego lub innego totalitarnego. Nie grozi jednak już ona za propagowanie ustroju po prostu autorytarnego (choć tu akurat zgodzić by się było co do tego, że nie ma jakiejś oczywistej granicy pomiędzy totalitaryzmem i autorytaryzmem i że w odniesieniu do szeregu państw, które bywają określane mianem państw totalitarnych można byłoby zadać pytanie, czy nie były to przypadkiem państwa tylko autorytarne? – weźmy tu choćby Polskę w okresie rządów komunistycznych po 1956 r.). Nie grozi ona za samo po prostu propagowanie dyktatury – która może być oczywiście dyktaturą totalitarną, ale nie musi w jakiś konieczny sposób być taką – nie grozi też ona za propagowanie np. monarchii absolutnej, czy nawet zrobienia z całego kraju osobistej własności jednego człowieka – jak było to w przypadku

Konga pod rządami Leopolda II – co z dużym zapewne prawdopodobieństwem mogłoby prowadzić do stworzenia totalitaryzmu, lecz samo przez się nie byłoby równoznaczne z nim. Jak zatem widać, zapisany w art. 256 k.k. zakaz „publicznego propagowania totalitarnego ustroju państwa” jest – jako metoda zapobiegania okropieństwom, do których mogą doprowadzić pewne ustroje państwowe, w tym na pewno także ustroje o charakterze totalitarnym – cokolwiek niekonsekwentny. Oczywiście – jak również to wspomniałem – zakaz ten ma charakter skrajnie prewencyjny; jak już bowiem wspomniałem, na zdrowy rozum nie wydaje się prawdopodobne, by ludzie propagujący wprowadzenie w Polsce takich porządków, jak w ZSRR za Stalina, w Niemczech za Hitlera, czy takich jak od 1945 r. panują w Korei Północnej mogli znaleźć w naszym kraju poklask wśród społeczeństwa. A jeśli już ktoś tak się boi ewentualnych skutków pewnego rodzaju ustrojów państwowych, że chciałby zapobiegać tym – tylko przecież wyobraźalnym na podstawie doświadczeń różnych krajów – skutkom przy użyciu zakazów wypowiedzi, to chciałbym zauważyć, że o ile z praktyczną pewnością nie znalazłby w Polsce dużego grona zwolenników ktoś głoszący poglądy tego rodzaju, że pojechanie do cioci w sąsiedniej miejscowości powinno być zakazane bez zezwolenia, że powinien zostać – jako siedlisko szkodliwych myśli – zostać zlikwidowany Internet, że za oglądanie zagranicznych filmów powinna być kara śmierci, że wszystko powinno zostać upaństwowione i że wszyscy powinni być zmuszeni do udziału w codziennych, wielogodzinnych ideologicznych szkoleniach i mieć w swoim domu ołtarzyk Wodza – co odpowiada ustrojowi istniejącemu w Korei Północnej – o tyle, w pewnych przynajmniej sytuacjach (np. kryzys gospodarczy, zamieszki itd.) mógłby pewną popularność zdobyć ktoś nawołujący do wprowadzenia „rządów silnej ręki”. Warto jest zauważyć, że „rządy silnej ręki” – których istnienie związane było z brakiem realnej kontroli społecznej nad władzą – były podłożem wszystkich wspomnianych tu wcześniej zbrodni, niezależnie od tego, czy chodziło o reżimy uznawane powszechnie za totalitarne (np. ZSRR i III Rzesza) czy też nie (np. Chile, Argentyna lub obecna Rosja). Jednak o ile propagowanie ustroju, w którym – dajmy na to – nie wolno byłoby przejść na drugą stronę ulicy bez pieczętka (jak było to w którejś z ksiąg „Tytusa, Romka i A’Tomka”) i którego z praktyczną pewnością prawie nikt by nie zaakceptował najprawdopodobniej mogłoby być karane jako przestępstwo z art. 256 k.k. – zauważmy taką rzecz, że np. kwestia jakiegoś prawdopodobieństwa przyczynienia się do faktycznego ustanowienia ustroju totalitarnego nie jest elementem przestępstwa publicznego propagowania takiego ustroju – to propagowanie „rządów silnej ręki” potencjalnie mogące przyczynić się do takich nieszczęść, jak te, które zostały tu wcześniej przez mnie wspomniane najprawdopodobniej nie podpadałoby pod ten przepis.

Lecz przypuśćmy – dla dobra argumentacji – że propagowanie (np.) rządów dyktatorskich dałoby się potraktować jako karalne na podstawie art. 256 k.k. „publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa”. Lecz za żadną, za przeproszeniem, cholerę za propagowanie ustroju totalitarnego nie dałoby się – jak sądzę – uznać propagowanie takiego ustroju państwowego, jak anarchizm. O ile w tym przypadku można byłoby jeszcze mówić o propagowaniu jakiegoś ustroju państwa, jako że założeniem anarchizmu jest likwidacja państwa jako struktury opartej na przymusie i zniesienie jeśli nie po prostu wszelkiej władzy, to na pewno władzy monopolistycznej i scentralizowanej.

Propagowanie anarchizmu byłoby – można tak rzecz ująć – czymś dokładnie odwrotnym od propagowania ustroju o charakterze totalitarnym. Ale czy przypadkiem nie mogłoby ono być czymś porównywalnie przynajmniej niebezpiecznym? Oczywiście, zarówno w przypadku propagowania ustroju faszystowskiego lub innego totalitarnego jak w przypadku propagowania ustroju anarchistycznego można byłoby mieć do czynienia co najwyżej z zagrożeniem hipotetycznym i odległym, którego realizacji można byłoby przeciwdziałać na inne sposoby, niż poprzez ograniczenie wolności słowa. Lecz zwolennicy takich zakazów, jak zakazy propagowania totalitaryzmu i „mowy nienawiści” nie kłopotują się specjalnie brakiem „clear and present danger” w wypowiedziach, za które ich zdaniem ludzi powinni być sądzeni i karani. Przyjmijmy więc dla dobra argumentacji, że zakaz propagowania totalitaryzmu jest uzasadniony z tego powodu, że totalitaryzm prowadził do zbrodni – a jeśli nawet nie do zbrodni – to do niedopuszczalnego, z demokratycznego punktu widzenia, ograniczenia swobód ludności państw, w których panował – i że kwestii czysto choćby wyobraźnego powrotu zła tego kalibru, co totalitaryzm, trzeba „dmuchać na zimne”.

Jednak ten sam argument, jaki może zostać użyty w obronie istnienia w kodeksie karnym zakazu publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa mógłby zostać użyty jako uzasadnienie zakazu propagowania anarchizmu, czy w ogóle jakiegoś ustroju, w którym nie istnieje w miarę przynajmniej silna władza ogólnopaństwowa. W tym oczywiście np. takiego ustroju państwa, w którym nie byłoby np. wojska i policji, czy też takiego, gdzie wszystko, łącznie z takimi instytucjami byłoby sprywatyzowane.

Dlaczego propagowanie takiego ustroju mogłoby być niebezpieczne w taki sam, czy też w absolutnie porównywalny sposób, jak np. propagowanie faszyzmu? Otóż dobrze pokazuje to np. książka Steven Pinkera „Zmierzch przemocy” w której mowa jest m.in. o tym, że w społeczeństwach przed państwowymi istniał bardzo zdecydowanie wyższy (a z reguły szokująco wręcz wyższy) poziom przemocy międzyludzkiej, niż nawet w starożytnych despotiach. Jest tam też mowa o tym, że poziom przemocy w krajach europejskich – w postaci np. różnych zamieszek czy wojen – bardzo znacząco zmniejszył się wtedy, gdy miejsce różnych małych księstw (istniejących przez wieki np. na terenie Niemiec) zajęły duże, silne, scentralizowane państwa.

Jeśli propagowanie totalitaryzmu powinno być zakazane z tego powodu, że może ono w sposób chociażby czysto hipotetyczny przyczynić się do stworzenia takiego systemu politycznego, którego rezultatem będą takie czy inne nieszczęścia (mordowanie przeciwników władzy, łagry itd.) to z porównywalnego co najmniej powodu byłoby uzasadnione zakazanie propagowania (np.) anarchizmu. Lecz, jak już wspomniałem, to akurat pod art. 256 k.k. nie podpada.

Pod artykuł 256 – ani też żaden inny przepis kodeksu karnego – nie podpada też propagowanie takiej ideologii (trudno tu chyba byłoby mówić o „ustroju państwa” z tego prostego względu, że ideologia ta postuluje likwidację takich m.in. rzeczy, jak państwo) jak anarchoprymitywizm. Czym jest ta ideologia? Otóż, najogólniej rzecz biorąc, jest to pogląd, że świat powinien wrócić do czasów sprzed rozwoju cywilizacji. Powinna nastąpić deindustrializacja, wycofanie się z używania wysokich technologii mających negatywny

wpływ na naturę, zaś ludzie powinni żyć w harmonii z przyrodą, tak jak – powiedzmy – 10 000 lat temu.

Propagowanie ideologii, o której tu jest mowa, nie jest – jak wspomniałem – karalne. Nie jest żadnym przestępstwem wyrażanie opinii, że życie takie, jak wiele tysięcy lat temu, kiedy to nie było fabryk, dróg, budynków, samochodów, samolotów, statków, komputerów, książek, szkół i struktur władzy – byłoby czymś wspaniałym (lub przynajmniej o wiele lepszym od życia, jakie ludzie z reguły obecnie prowadzą). Nie jest nim również krytykowanie tworów cywilizacji, takich np. jak fabryki, maszyny, przemysłowe hodowle zwierząt, pojazdy itp. czy nawet „nawoływanie do nienawiści” przeciwko tym twórcom – według k.k. karalne jest wyłącznie „nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, rasowych, etnicznych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” – niektórzy, jak była tu już mowa, proponowali rozszerzenie tego zakazu – np. na nawoływanie do nienawiści z takich powodów, jak wiek, płeć, tożsamość płciowa, niepełnosprawność i orientacja seksualna (pomysł partii lewicowych) czy też na nawoływanie do nienawiści z takich przyczyn, jak przynależność polityczna, pochodzenie społeczne, wrodzone lub nabyte cechy osobiste oraz poglądy (projekt PO z 2013 r.) – ale nikt nie proponował zakazu „nawoływania do nienawiści” przeciwko takim, jak wspomniane tu wcześniej rzeczom, bądź też – powiedzmy – zakazu nawoływania do nienawiści wobec cywilizacji, czy w ogóle wobec ludzkości.

Nie ma więc nic, generalnie rzecz biorąc, przestępczego w propagowaniu ideologii anarchoprymitywistycznej. Lecz zauważmy teraz rzecz, która dla każdego w miarę myślącego człowieka, który spotyka się z jakąś wiedzą na temat tej ideologii, powinna być oczywista. Urzeczywistnienie postulatów anarchoprymitywistów – choć może miałoby jakieś dobre strony – najogólniej rzecz biorąc byłoby czymś strasznym. I jeszcze jedno: postulatów tych nie dałoby się zrealizować inaczej, niż przy użyciu terroru i to na olbrzymią skalę. O tym, do czego poważna próba realizacji takiego rodzaju postulatów, jakie propagują anarchoprymitywiści z wielkim prawdopodobieństwem by doprowadziła świadczyć mogą rezultaty rządów tzw. Czerwonych Khmerów w latach 1975 – 1979 w Kambodży. Czerwoni Khmerzy nie byli, rzecz jasna, anarchoprymitywistami – raczej, ich ideologię można opisać jako połączenie idei komunistycznych, szczególnie w ich wersji maoistowskiej z khmerskim nacjonalizmem. Niemniej jednak, to co Czerwoni Khmerzy zrobili w największym chyba stopniu odpowiada tym wizjom, których urzeczywistnienie (przy czy nie wszystkich, bynajmniej – anarchoprymitywiści nie opowiadają się, o ile mi wiadomo, za terrorem czy ludobójstwem) marzy się anarchoprymitywistom.

W Kambodży pod rządami Czerwonych Khmerów i ich przywódcy Pol Pota zamknięto fabryki, szkoły i szpitale, zlikwidowano banki i w ogóle pieniądze, zniesiono własność prywatną, zaś ludność miast wyrzucono siłą na tereny wiejskie do tzw. kolektywnych gospodarstw rolnych, będących czymś w rodzaju obozów pracy przymusowej. Polityka ta doprowadziła do śmierci olbrzymiej liczby ludzi. Ilu dokładnie, nie wiadomo, ale najniższe szacunki mówią o 10% ludności kraju liczącego przed 1975 r. około 7 milionów ludzi, częściej jednak twierdzi się pod rządami Czerwonych Khmerów wskutek głodu, chorób oraz egzekucji zginęło od 20% do 25% mieszkańców Kambodży. Żadna władza w jakimkolwiek

kraju nie doprowadziła w sposób celowy, bądź co najmniej świadomy do zagłady takiej części jego obywateli.

Głosiciele idei anarchoprymitywistycznych niemal na pewno nie chcą doprowadzić do czegoś takiego, jak to, co działo się w Kambodży w latach 1975 – 1979. Lecz poważna próba urzeczywistnienia propagowanych przez nich poglądów z dużym prawdopodobieństwem mogłaby do czegoś takiego prowadzić. I nawet jeśli anarchoprymitywiści nie propagują przemocy jako metody osiągnięcia wymarzonych przez siebie celów – takich, jak np. deindustrializacja, zniesienie pieniądza, itd. - to urzeczywistnienie tych celów nie mogłoby nastąpić inaczej, jak w wyniku przemocy i to na olbrzymią skalę. Przepraszam bardzo, ale świata do stanu takiego, jak sprzed – powiedzmy – 10 tys. lat metodami pokojowymi i opartymi wyłącznie na perswazji przywrócić by się nie dało.

Odnosnie ideologii anarchoprymitywistycznej można oczywiście powiedzieć, że jest to ideologia obłądna i w związku z tym trafiająca w jakiś poważny sposób do naprawdę niewielu ludzi. Z pewnością – na świecie jest znacznie mniej anarchoprymitywistów, niż np. nazistów, faszystów, komunistów czy fundamentalistów islamskich. Niemniej jednak zdarzają się tacy, którym ideologia ta trafia do przekonania i niektórzy z ludzi przekonanych do tej ideologii nie poprzestają na byciu przekonanymi do niej, lecz posuwają się do dokonywania czynów, takich, jak np. podkładanie bomb. Weźmy tu np. słynnego ponad 25 lat temu amerykańskiego terrorystę Ted'a Kaczynskiego „Unabombera”, który w 1978 – 1995 w imię wyznawanego przez siebie przekonania, że technologia jest czymś szkodliwym dla ludzkości wysyłał ze swej ukrytej w lasach amerykańskiego stanu Montana chaty domowej roboty bomby do naukowców, wskutek czego 3 osoby zginęły, a 23 zostały ranne. Bardzo istotnym źródłem przekonań Kaczynskiego były dzieła francuskiego autora Jacques'a Ellula w których ten pisał o tym, że technika jest czymś zniewalającym ludzi, narzucającym im własne normy i wartości postępu, które odsuwają na boczny tor człowieka, jego potrzeby, kulturę oraz naturę. Niezależnie od tego, czy to co pisał Ellul jest słuszne czy niesłuszne, mądre czy głupie, nie ma w tym nic z punktu widzenia polskiego, francuskiego i zapewne jakiegokolwiek innego prawa zakazanego – nie przypuszczam, by publikowania takich treści ktoś chciał zakazać, gdyż na pozór przynajmniej nie ma w nich nic groźnego – nie ma w nich żadnej aprobaty dla przemocy czy w ogóle przestępstw, nie ma obrażania kogokolwiek czy „nawoływania do nienawiści” przeciwko komuś (czy to osobie, czy jakiegokolwiek grupie). Lecz wpływ tego, co Ellul pisał o technologii na przekonania Teda Kaczynskiego był taki, że pośrednio przyczynił się on do dokonania popełnionych przez niego brutalnych i tragicznych w skutkach przestępstw. Nie był to oczywiście wpływ jedyny (Kaczynski był w ogóle bardzo dziwnym, osobliwym człowiekiem) ani natychmiastowy: Kaczynski, o ile wiem, nie wpadł na pomysł wysyłania bomb do naukowców bezpośrednio pod wpływem emocji wywołanych u niego przez lekturę np. „Społeczeństwa technologicznego”. Niemniej jednak, to właśnie lektura książek Ellula – i innych rzeczy, odośnie których nikt raczej nie uważa, że ich publikowanie powinno być karalne – przyczyniała się do zrodzenia się w jego umyśle przekonań, które stały się podłożem strasznych czynów. Związek między słowami Ellula, a czynami Kaczynskiego był praktycznie rzecz biorąc taki, jak ewentualny związek słów i czynów w przypadku czy to „propagowania faszyzmu” (zakładając, że może ono, również w przypadkach, gdy nie polega ono na „nawoływaniu do nienawiści” – są to odrębne, aczkolwiek zgoda, że wykazujące

związek ze sobą przestępstwa – prowadzić do przekonań czy pobudzać emocje, których efektem może być przemoc przeciwko np. Żydom lub działaczom organizacji antyfaszystowskich) czy klasycznej „mowy nienawiści” – nie będącej bezpośrednio niebezpiecznym w konkretnym miejscu i czasie podburzaniem do przestępczego zachowania – np. fizycznego ataku na jakichś ludzi. Podobnie, nie sądzę, by dało się znaleźć wielu zwolenników zakazu propagowania takiego np. poglądu, że wszelkie żywe istoty – bądź nawet nieożywione obiekty – mają identyczną, immanentną wartość i jednakowe prawo do istnienia, i że dobro natury, której ludzie są co najwyżej nie ważniejszą od innych organizmów częścią jest przeważającą nad wszystkimi innymi wartością. Lecz tego rodzaju przekonania są podłożem ekoterroryzmu, który bynajmniej nie polega np. na blokowaniu dróg mających przeciąć jakieś cenne przyrodniczo tereny (tak, jak było to w Polsce w 2007 r. w sprawie budowy drogi przez Dolinę Rospudy), lecz na podkładaniu bomb i podpaleniach w imię ochrony przyrody i środowiska. Można oczywiście twierdzić, że widoczna w filozofii „głębokiej ekologii” podstawa szacunku wobec wszelkiego życia powinna powstrzymywać ludzi będących pod wpływem tej filozofii przynajmniej przed zabijaniem innych ludzi – skoro życie także ludzi jest święte. Lecz jeśli naprawdę poważnie uważa się, jak głoszą to rzecznicy idei głębokiej ekologii, że ludzie nie są ważniejsi od np. wilków, łosi, szczurów, czy bakterii i że ludzka działalność w generalny sposób zagraża stanowiącej najwyższą wartość naturze to nie trudno jest (w przypadku przynajmniej niektórych osób o takich przekonaniach) dojść do wniosku, że życie ludzi nie jest czymś aż tak cennym, by nie można go było poświęcić w imię ochrony przyrody. To wcale nie jest zresztą jakaś kompletna abstrakcja: Elżbieta Połusznik w swym artykule [„A Prognostic View on the Ideological Determinants of Violence in the Radical Ecological Movement”](#) wspomina o grupie R.I.S.E. która w 1972 r. w Chicago rozpyliła w tamtejszych supermarketach i w dużych budynkach zarazki m.in. zapalenia opon mózgowo – rdzeniowych, salmonelli i błonicy, a także przy użyciu tych patogenów zatrula wodę w wodociągach. Grupa ta chciała wymordować całą ludzkość jako zagrażającą całości ziemskiego ekosystemu. Przekonanie, że ludzie zagrażają całości ziemskiej natury jako gatunek nie mogło się w głowach członków wspomnianej tu grupy wziąć z przysłowiowego powietrza (ani zostać wyssane z mlekiem matki – jak antysemityzm Polaków według nieżyjącego już byłego premiera Izraela Icchaka Szamira), ani też wyłącznie pod wpływem jakichś osobistych doświadczeń – takich np. jak zobaczenie wycinania czy niszczenia w inny sposób ukochanego lasu. Po prostu, jeśli nawet prawdą jest to (a z tym akurat wcale nie chcę się spierać), że ludzie wycinając lasy tropikalne (czy jakiegokolwiek inne), wprowadzając do wody i do powietrza szkodliwe substancje, rozbudowując miasta, zasiedlając coraz większe tereny, niszcząc naturalne środowiska takich czy innych zwierząt zagrażają całości ziemskiej natury to nikt tych zagrożeń (czy dokonanych już zniszczeń) nie jest w stanie zauważyć bezpośrednio, z tego powodu, że nikt nie może być wszędzie i nikt też na własne oczy nie może zobaczyć czegoś, czego gołymi oczami nie widać i co po prostu nie jest na gołe oko widoczne – np. tego, że emitowanie do atmosfery CO₂ wskutek spalania paliw kopalnych przyczynia się do potęgowania (naturalnego poniekąd, i zresztą na szczęście) ziemskiego efektu cieplarnianego, co może mieć niebezpieczne lub wręcz katastrofalne skutki dla życia na naszej planecie. Członkowie R.I.S.E. nie mogli więc nabyć przekonania o tym, że ludzie zagrażają całości ziemskiej natury (ani też oczywiście przekonania, że natura jest czymś ważniejszym, lub przynajmniej nie mniej ważnym od ludzi) bez nasłuchania, nacytania, bądź

naoglądania się czegoś. Lecz przytomnie chciałbym zauważyć, że mówienie o tym, iż ludzie zagrażają ziemskiej przyrodzie jako takiej nie jest – czy to w USA (gdzie oczywiście granice wolności słowa są znacznie szersze, niż np. w krajach europejskich) czy w Polsce karalne. Nie jest też żadnym przestępstwem wygłaszanie twierdzeń tego np. rodzaju, że „Ziemia ma raka, tym rakiem jest człowiek” mimo, że implikacje takiego twierdzenia są już nie tyle genocydalne (ludobójcze) ile raczej omnicydalne – prowadzące (logicznie rzecz biorąc) do wniosku o konieczności zabicia wszystkich, zaś poważne wyznawanie przekonań wyrażanych w tego rodzaju stwierdzeniach może tak samo generować przemoc, jak wyznawanie przekonań, że członkowie takich czy innych grup rasowych, narodowościowych, religijnych itd. są gorsi od pozostałych ludzi.

Jak zatem widać, poglądy, który publicznego propagowania zabraniają przepisy tego rodzaju, co art. 256 i 257 polskiego k.k. nie są w jakiś konieczny sposób bardziej niebezpieczne niż szereg takich poglądów, których głoszenie nie jest karalne i zakazu szerzenia których nikt, o ile mi wiadomo, się nie domaga. Nie są więc zakazy wyrażania tych akurat poglądów dyskryminacją ludzi z powodu ich przekonań, która to dyskryminacja jest zabroniona przez konstytucję? Czy strach przed propagowaniem np. faszyzmu, nazizmu bądź komunizmu jest uzasadniony do tego stopnia, by zwalczać propagowanie tych ideologii przy użyciu środków właściwych prawu karnemu, z groźbą więzienia włącznie?

Przyjmijmy jednak, że nie boimy się propagandy np. idei głębokiej ekologii, straszenia globalnym ociepleniem, możliwymi skutkami inżynierii genetycznej czy nanotechnologii, lecz bardzo boimy się możliwych skutków propagowania np. faszyzmu, nazizmu bądź komunizmu przynajmniej w jego twardej wersji (odnośnie której byłaby najmniejsza wątpliwość, że jest to ustrój totalitarny, o którym jest mowa w art. 256 § 1 k.k.). Lecz jeśli czegoś takiego się obawiamy, to zachodzi pytanie, czy dzięki przepisom tego rodzaju, co wspomniany tu art. 256 k.k. możemy spowodować przynajmniej to, że w społeczeństwie będzie mniej ludzi o niepożądanych, czy nawet niebezpiecznych poglądach (zgodzimy się chyba do tego, że lepiej by było, gdyby ludzi przekonanych np. do ideologii neonazistowskiej było w Polsce możliwie mało, niż żeby było ich dużo), niż byłoby ich wówczas, gdyby szerzenie pewnych idei nie było prawnie zakazane?

Na pytanie to warto odpowiedzieć w oparciu o pewne fakty. W Austrii od 1945 r. obowiązuje prawo zwane Verbotsgesetz – czyli po polsku „Ustawa o zakazie”. Ustawa ta (uchwalona 8 maja 1945 r. i szereg razy później zmieniana) pod groźbą wieloletnich kar więzienia zabrania podejmowania wszelkich prób odbudowania NSDAP i innych organizacji nazistowskich, gloryfikowania nazizmu i w ogóle wszelkiego działania „w sensie nazistowskim”. Pod to ostatnie, według austriackich sądów, podpada – jak można przeczytać w artykule Katarzyny Banasik „Rozrachunek z nazizmem i zwalczenie neonazizmu w Austrii” (plik word) „każde nierzeczowe, jednostronne, jak i propagandowe korzystne przedstawianie narodowo-socjalistycznych środków i celów” – przy czym dla zaistnienia przestępstwa nie jest konieczne bezpośrednio ich pochwalanie. Austriacki Sąd Najwyższy uznał za przestępstwo m.in. gloryfikację osoby Adolfa Hitlera i pochwalenie jego zadania życiowego; żądanie jedności i wolności całego niemieckiego narodu włącznie z obszarami będącymi aktualnie obcym posiadaniem, odrzucenie samodzielności państwowej Austrii, propagandowe używanie typowo nazistowskich zwrotów, słów i symboli, jak na przykład „Heil Hitler”, „Sieg Heil”,

czy swastyka (*Hakenkreuz*), a także samo zbieranie nazistowskich materiałów propagandowych. Za działalność w sensie nazistowskim uznano również: rozdawanie zniczy, na których były nazistowskie hasła i swastyka; rozdawanie plakatów z napisem *Kauft nicht bei Juden* (Nie kupujcie u Żydów), lub *Jetzt zur NSDAP* („Teraz do NSDAP”), jak również rozpowszechnianie pism, w których masowe zbrodnie nazistów były upiększane i chwalone.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że prawo antynazistowskie w Austrii jest prawem skierowanym przeciwko opiniom: chodzi w nim o to, by pewne opinie nie były szerzone i zostały wyeliminowane ze społeczeństwa. Czy jednak doprowadziło ono do osiągnięcia takiego celu? Jeśli chodzi o tę kwestię, to warto zauważyć, że w przeprowadzonym w 2013 r. sondażu 42% Austriaków stwierdziło, że za Hitlera wcale nie było źle, zaś 54% badanych wyraziło opinię, że gdyby NSDPA nie była w Austrii zakazana, to wygrałaby tam ona wybory. Jeśli chodzi o te – ujawnione w sondażach – opinie Austriaków to można twierdzić, że nie są to (w konieczny sposób) takie opinie, jakich wyrażania zabrania w Austrii prawo. Austriacki Sąd Najwyższy nie uznał np. za przestępstwo stwierdzenia, że „Hitler nie był taki zły i stworzył pracę dla wielu”, nie jest też w Austrii zabronione propagowanie polityki zbieżnej z pewnymi punktami programu NSDAP – np. pełnego zatrudnienia. Lecz mimo wszystko dla każdego znającego trochę historię i nieco myślącego człowieka rządy nazistowskie powinny – jak mi się zdaje – wydawać się pełną całością, nawet jeśli całość ta składała się zarówno ze strasznych (np. wojna i holocaust), jak i nie tak strasznych – a może całkiem po ludzku przyjemnych (np. pełne zatrudnienie) elementów. Stwierdzenie przez 42% Austriaków, że w czasach hitlerowskich nie było wcale źle nie dowodzi jeszcze tego, że owe 42% Austriaków w jakimkolwiek sensie tego słowa można byłoby uznać za nazistów – podobnie, jak wypowiedzianie przez niektórych ludzi w Polsce stwierdzeń tego rodzaju, że „za komuny było lepiej” nie dowodzi tego, że ludzie wypowiadający takie stwierdzenia są, czy też byli, komunistami. Lecz mimo wszystko fakt, że tak znaczny, jak było to wspomniane powyżej, odsetek Austriaków stwierdził w oficjalnym badaniu opinii publicznej, że w czasach hitlerowskich nie żyło się źle dobitnie wskazuje na to, że sentymenty wobec czasów nazizmu – które nie są równoznaczne w konieczny sposób z sentymentami wobec wszelkich aspektów polityki nazistowskiej (np. wobec holocaustu) – są w Austrii naprawdę silne. Dowodzi to skuteczności „Ustawy Zakazującej” jako środka kształtowania przekonań w kierunku antynazistowskim (lub przynajmniej nie – nazistowskim) czy wskazuje raczej na coś przeciwnego?

Surowe i rozciągliwe przepisy przeciwko działalności inspirowanej ideami nazistowskimi obowiązują także (jak dobrze zresztą chyba wiadomo) w Niemczech – zakazane jest tam rozpowszechnianie oraz produkowanie, sprowadzanie i gromadzenie w celu rozpowszechniania materiałów propagandowych, których treść ma na celu wspieranie działalności byłej organizacji narodowosocjalistycznej (art. 86 niemieckiego k.k.), publiczne używanie bądź rozpowszechnianie gestów i symboli nazistowskich (art. 86a), a także „publiczne lub podczas zebrania naruszenie spokoju w sposób naruszający godność ofiar poprzez aprobowanie, gloryfikowanie lub usprawiedliwianie narodowosocjalistycznej tyranii i samowoli” (art. 130 (3)) – za wszystkie te rzeczy grozi grzywna lub do 3 lat więzienia, z kolei od 3 miesięcy do 5 lat odsiadki grozi komuś kto „w sposób odpowiedni do

spowodowania zakłócenia spokoju publicznego (co nie musi mieć nic wspólnego z bezpośrednim zagrożeniem tego spokoju):

1. podlega do nienawiści wobec grupy narodowościowej, rasowej, religijnej lub grupy etnicznej, wobec części populacji lub jednostek z powodu ich przynależności do jednej z wyżej wymienionych grup lub części populacji lub nawołuje do stosowania przemocy lub arbitralnych środków przeciwko nim,
2. narusza godność ludzką innych osób, znieważając, złośliwie oczerniając lub zniesławiając jedną z ww. grup, część populacji lub osoby z powodu przynależności do jednej z ww. grup lub części populacji.

Również do 5 lat kicia grozi w Niemczech komuś kto pochwała, neguje bądź bagatelizuje hitlerowskie zbrodnie przeciwko ludzkości (z dolną granicą 1 miesiąca więzienia).

Prawo przeciwko neonazistom – a także (m.in.) rasistom i antysemitom w Niemczech jest naprawdę ostre i nikt, kto wie coś o tym kraju, nie może powiedzieć, że prawo to nie jest tam – czy też jest rzadko (albo łagodnie) – w praktyce egzekwowane. Ale czy da się powiedzieć, że skutkiem istnienia i egzekwowania tego prawa jest to, że w Niemczech nie ma – czy też jest jakaś bardzo niewielka liczba – neonazistów? Dobrej chyba odpowiedzi na to pytanie udzielił szef wywiadu w Turynii Stephan Kramer, który stwierdził, że prawicowy ekstremizm jest największym zagrożeniem, z jakim mamy obecnie do czynienia w Republice Federalnej Niemiec. „W całych Niemczech mamy około 35 000 prawicowych ekstremistów; 13-14 000, mówiąc z grubsza, uważanych jest za agresywnych i brutalnych. Ale problem polega na tym, że jest jak z górą lodową, widzisz tylko mały czubek na powierzchni, a reszta jest poniżej”.

W Stanach Zjednoczonych, jak była tu już mowa, nie ma prawnych zakazów podżegania do nienawiści przeciwko grupom rasowym, narodowym, etnicznym, religijnym i jakimkolwiek innym, ani też znieważania takich grup, nie jest też oczywiście zabronione „propagowanie faszyzmu” – ani żadnego innego ustroju państwowego – nie jest również zakazane negowanie, bagatelizowanie, czy nawet gloryfikowanie hitlerowskich bądź jakichkolwiek innych zbrodni przeciwko ludzkości – czymś, co może podlegać karze jest nawoływanie do użycia przemocy, ale tylko w takich przypadkach, kiedy do jej zastosowania miałyby dojść w sposób praktycznie natychmiastowy, zaś efektywność podżegania do popełnienia przestępstwa byłaby wysoce prawdopodobna. Czy dzięki liberalnemu podejściu do kwestii wolności słowa – a także zgromadzeń i zrzeszania się – w USA nie ma neonazistów – a także rozmaitych ksenofobów, rasistów czy jeszcze innych „nienawistników”?

Tak oczywiście nie jest. W USA istnieje wiele grup politycznych, o których można powiedzieć to, że są one np. antyimigranckie, czy skrajnie nacjonalistyczne – weźmy tu głośny w ostatnich czasach ruch Alt- Right. Nie sposób byłoby twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych po prostu nie ma rasizmu, antysemityzmu, wrogości wobec imigrantów itd. Lecz jeśli chodzi o organizacje wprost odwołujące się do nazizmu, to największą taką organizacją w USA jest obecnie Ruch Narodowosocjalistyczny, mający około 400 członków w 32 z 50 wszystkich stanach USA – reszta nazistowskich organizacji to kompletna drobica. I warto też pod tym kątem spojrzeć na taką rzecz, jak [lista wszystkich kandydatów na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych w wyborach w 2020 r.](#) Figurujący na tej liście ludzie w

olbrzymiej większości nie mieli nie tylko żadnych szans na wygranie wyborów, ale też na jakikolwiek wymierny polityczny sukces. Były to po prostu bardzo mało znane osoby, o których (sprawdziłem iluś z nich) praktycznie nic nie da się znaleźć w Internecie. Po co kandydowali? Nie wiem... może żeby pochwalić się przed znajomymi... albo żeby po prostu mieć w życiu taką przygodę, jak kandydowanie na prezydenta USA, ale chyba nie po to, by zasiąść w Gabinetcie Ovalnym, gdyż jeśli tylko byli ludźmi przy zdrowych zmysłach (myślę, że należy zakładać, iż na ogół byli) musieli doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że jest to w istocie rzeczy absolutnie niemożliwe (powiedziałbym, że wręcz bardziej niemożliwe, niż np. wygranie głównej nagrody w Lotto czy Eurojackpot; poniekąd, gram – bez sukcesu niestety, w to ostatnie a czasem też w to pierwsze – gdzie o szczęściu decyduje wyłącznie niezwykle mało prawdopodobny, ale jednak statystycznie możliwy przypadek). Na prezydenta USA w ostatnich wyborach kandydowało łącznie 1212 osób. Ilu wśród nich było takich, którzy określili się jako naziści, neonaziści, faszyci czy też neofaszyści? Otóż: dokładnie 0. Komunistów znalazło się dwóch. A przecież kandydatom na prezydenta USA nie by prawnie nie groziło z tego powodu, że prezentowaliby oni w wyborach jakiś nazistowski program – wychwalaliby Hitlera, nawoływali do założenia obozów koncentracyjnych, poniżali Żydów, czy nawet nawoływali do ich eksterminacji – co nie byłoby karalne tak długo, jak nie byłoby to wzywianie do praktycznie natychmiastowego wszczęcia zakazanych prawem działań, do których w konkretnym miejscu i czasie z dużym prawdopodobieństwem mogłoby dojść. Można oczywiście wyobrażać sobie, że jacyś kandydaci na prezydenta USA w rzeczywistości byli neonazistami, lecz z jakichś powodów ukrywali oni swą prawdziwą polityczną tożsamość. W krajach europejskich, w których głoszenie pewnych poglądów jest zabronione niektórzy politycy – i kandydaci na takie lub inne urzędy niekiedy robią takie rzeczy z powodów prawnych. W USA, gdzie „propagowanie faszyzmu” czy nawoływanie do nienawiści narodowej, rasowej itd. nie jest karalne mogliby to oni robić ze względów zdroworozsądkowych: oczywiste jest, że ktoś deklarujący swą miłość do Adolfa Hitlera raczej nie miałby szansy na wygranie wyborów na prezydenta USA. Lecz, jak już wcześniej tu stwierdziłem, kandydaci na prezydenta USA najczęściej byli ludźmi bardzo mało znanymi i z pewnością doskonale zdającymi sobie sprawę z braku możliwości ugrania w wyborach czegokolwiek – w tym, powiedzmy, że zdobycia pewnej popularności. Tacy ludzie – na moje wyczucie – nie powinni mieć oporów przed absolutnie szczerym prezentowaniem swoich poglądów i przed nazywaniem się np. nazistami, gdyż – w przeciwieństwie do kandydatów poważnych – nie mogliby oni dużo na tym stracić – nie mogliby stracić np. swego kapitału politycznego, którego i tak nie mają. Lecz, jak już wspomniałem, nazistów i faszystów wśród kandydatów na prezydenta USA w ostatnich wyborach nie było, zaś komuniści stanowili tylko 1/606 z nich. O czym to świadczy? Otóż, na zdrowy rozum o tym, że w Stanach Zjednoczonych – kraju, w którym nie jest zakazane ani publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa, ani – co obecnie chce penalizować rząd – publiczne propagowanie ideologii nazistowskiej, komunistycznej lub faszystowskiej lub ideologii nawołującej do stosowania przemocy w życiu publicznym, ani też znieważanie takich czy innych „grup ludności” lub „nawoływanie do nienawiści” przeciwko takim grupom ideologie tego rodzaju, co nazizm, faszizm bądź komunizm mają znikome społeczne poparcie.

Co zatem dają zakazy tego rodzaju, jak te zapisane w art. 256 i 257 polskiego kodeksu karnego? Jak można logicznie wnioskować z tego, co tu zostało wcześniej powiedziane nie redukują one zjawisk tego rodzaju, co przemoc motywowana nienawiścią przeciwko takim czy innym grupom narodowościowym, etnicznym, rasowym, religijnym itd. Nie powodują tego, że w społeczeństwach żyjących pod rządami tego typu zakazów mniej jest wyznawców niepożądanych, czy nawet potencjalnie niebezpiecznych poglądów, niż w tych żyjących tam, gdzie takie zakazy nie obowiązują – jak już pisałem tu wcześniej w USA, gdzie „mowa nienawiści” – w tym także ta skierowana przeciwko Żydom – nie jest prawnie zakazana mniej jest ludzi o antysemitowskich poglądach, niż w wielu krajach europejskich, w których za nawoływanie do nienawiści przeciwko Żydom, znieważanie czy też zniesławianie Żydów jako grupy narodowej bądź religijnej, względnie za negowanie – lub choćby tylko „bagatelizowanie” – Holocaustu, czy „propagowanie faszyzmu” można nawet trafić do więzienia. Miłośników nazizmu z pewnością nie jest więcej w USA, gdzie jego propagowanie jest całkowicie dozwolone, niż w Niemczech bądź w Austrii, gdzie jest ono karalne.

Zakazy te po prostu nie prowadzą do osiągnięcia celów, do których – można się z tym zgodzić – należy dążyć i którym czysto teoretycznie rzecz biorąc mogłyby one służyć. Do czego natomiast zakazy takie mogą prowadzić?

Otóż, mogą one prowadzić np. do tego, że niektórzy ludzie, chcąc uniknąć prawnych kłopotów (pamiętajmy, za „mowę nienawiści” i w niektórych państwach także za „propagowanie faszyzmu” i „kłamstwo oświęcimskie” grozi w Europie więzienie) będą tak modyfikować język swoich wypowiedzi, tak wygłaszać je, tak owijać wyrażane przez siebie poglądy w przysłowiową bawelnę, by nie dało się tego podciągnąć pod takie lub inne paragrafy. Mogłoby się wydawać, że efektem takiego złagodzenia, wygładzenia publicznych wypowiedzi rozmaitych rasistów, antysemitów, ksenofobów itd. jest to, że wypowiedzi takie – dzięki zakazom „mowy nienawiści” – są mniej niebezpieczne, niż wypowiedzi jawnie znieważające pewne grupy lub nawołujące do nienawiści wobec takich grup, lecz w rzeczywistości efekt, o którym jest tu mowa może być odwrotny: jest tak dlatego, że wypowiedzi, w których używane jest normalne, uważane za zgodne z ogólnie przyjętymi normami kultury słownictwo mogą w poważny sposób wpływać na przekonania większej liczby ludzi, niż takie wypowiedzi, które łatwo można byłoby uznać za publiczne znieważanie jakiejś grupy narodowej, etnicznej, rasowej, religijnej lub jeszcze innej bądź nawoływanie do nienawiści przeciwko takiej grupie. Aby to sobie uzmysłwić porównajmy (w swojej wyobraźni – niestety, tylko tak to można zrobić) możliwe (w postaci wpływu na przekonania i postawy ich odbiorców) efekty pewnych wypowiedzi. Jako pierwszą z tych wypowiedzi weźmy tekst piosenki zespołu (nie wiem, czy jeszcze istniejącego, w sumie to nie słucham takiej muzyki) „Deportacja 68”:

„Gdy będę miał pieniądze to kupię pałkę, gaz, I wyjdę na ulicę i krzyknę „Jude Raus”! Gdy będę miał pieniądze to kupię pałkę, gaz, I wyjdę na ulicę i krzyknę „Jude Raus”! Biała siła, Oi! Biała siła, Oi! Cyganie i Żydzi to gówno to bydło, Z jednych będzie nawóz, z drugich będzie mydło. Cyganie i Żydzi to gówno to bydło, Z jednych będzie nawóz, z drugich będzie mydło. Biała siła, Oi! Biała siła, Oi!”.

Jest w tym tekście coś groźnego? Wydawać się może, że tak. Bez żadnej wątpliwości, jest on skrajnie wręcz obraźliwy i nienawistny wobec grup narodowych, do których się on odnosi. I choć całkiem wprost nie wzywa on do dokonania aktów przemocy przeciwko członkom grup, o których jest w nim mowa, to w sposób co najwyżej odrobinę tylko zawoalowany promuje on taką przemoc.

Niebezpieczeństwo tkwiące w tego rodzaju wypowiedziach jest więc z pewnością – i łatwo do tego – wyobrażalne. Ale czy jest ono rzeczywiste?

Na ten temat też oczywiście trudno mi jest coś z całkowitą pewnością powiedzieć. Nie wiem, jak na kogo mogą działać tego rodzaju teksty. Nie jestem w stanie powiedzieć, że nie mogą one u pewnych osób pobudzać nienawistnych emocji wobec członków grup, do których teksty takie się odnoszą, z wyobrażalnym tego pośrednim efektem w postaci dokonywania przez niektóre osoby, u których nienawistne emocje zostały wzbudzone, aktów przemocy bądź wandalizmu przeciwko takim osobom, jak (np.) Romowie bądź Żydzi.

Lecz takie efekty tego rodzaju wypowiedzi, jak ta, którą przytoczyłem powyżej (postanowiłem przytoczyć tę wypowiedź, gdyż jest ona, na moje wyczucie, wyjątkowo jaskrawym przejawem „mowy nienawiści”) choć łatwo możliwe do wyobrażenia, w żadnym wypadku nie są udowodnione. Czy wypowiedzi takie, jak ta wspomniana powyżej faktycznie wywołują, bądź ewentualnie podsycają uczucia nienawiści wobec osób należących do takich grup, jak np. Żydzi i Cyganie? Jakoś doprawdy trudno mi jest wyobrazić sobie kogoś, kto pod wpływem usłyszenia piosenki zespołu „Deportacja 68”, bądź przeczytania jej tekstu zawierającego słowa „Cyganie i Żydzi to gówno, to bydło, z jednych będzie nawóz, z drugich będzie mydło” zacząłby nienawidzić Cyganów i Żydów. Jeśli u jakichś ludzi taki tekst może aktywować nienawistne emocje, to stosunkowo najprędzej u takich, którzy Żydów bądź Cyganów i tak już nienawidzą. Natomiast w odbiorze większości ludzi taki tekst jest, jak sądzę, niczym więcej, jak prymitywnym, rasistowskim chamstwem i pokazem nienawiści. Choć nie chcę zbytnio spekulować na temat tego, jak tego rodzaju teksty, jak ten wspomniany powyżej mogą oddziaływać na różne osoby, to sądzę jednak, że wnioskiem, jaki wielu ludzi (a może nawet większość z nich) może wyciągnąć z takich tekstów jest wniosek, że rasizm bądź antysemityzm jest czymś moralnie nagannym i zasługującym na odrzucenie (oczywiście, nie każdy na tego rodzaju teksty musiałby zareagować w taki właśnie sposób. Ktoś mógłby np. powiedzieć, że autorzy wspomnianego tu tekstu trochę przesadzili, nazywając Cyganów i Żydów „gównem” oraz „bydłem” i twierdząc, że z jednych będzie nawóz, a z drugich mydło, ale jednocześnie stwierdzić, że są powody do niechęci do członków wspomnianych nacji. Poglądy kogoś takiego według wszelkiego prawdopodobieństwa nie byłyby jednak ukształtowane pod wpływem kontaktu z takimi treściami, jak przytoczony tu tekst piosenki „Deportacji 68”).

A teraz wyobraźmy sobie inną wypowiedź – konkretnego przykładu czyjejś rzeczywistej wypowiedzi nie będę podawał, gdyż tego rodzaju wypowiedzi, bądź wypowiedzi w łącznym efekcie propagujących takie poglądy, jakie mam tu na myśli, z całą pewnością zdarza się mnóstwo. Załóżmy mianowicie, że ktoś mówi o napływie muzułmańskich imigrantów do Europy i wzroście liczby muzułmanów na naszym kontynencie z powodu dużej liczby urodzeń w tej grupie wyznaniowej. Przypuśćmy, że wypowiada on twierdzenia, że ze

wspomnianego w poprzednim zdaniu powodu muzułmanie staną się w Europie grupą dominującą. Dalej, przypuśćmy, że ktoś taki mówi o tym, że dla muzułmanów, gdziekolwiek by oni nie żyli, najważniejszym prawem jest szariat, przewidujący okrutne kary za np. picie alkoholu, seks pozamałżeński i odstępstwo od wiary i nierobiący sobie nic z powszechnie dziś uznawanych w świecie zachodnim zasad, takich, jak zasada równości kobiet i mężczyzn, oraz zasada rozdziału między państwem, a religią. Przypuśćmy, że mówi on o zdarzających się w muzułmańskich społecznościach tzw. zbrodniach honorowych, które polegają na tym, że jakaś osoba – najczęściej młoda dziewczyna – zostaje zamordowana lub okaleczona przez swoich najbliższych z takiego powodu, jak np. spotkanie się z kimś innego niż jej wyznania. Wyobraźmy sobie również, że ktoś taki – nie sugerując tego, że wszyscy muzułmanie są terrorystami bądź że w generalny sposób popierają oni terrorizm – przytacza przykłady różnych zamachów terrorystycznych dokonanych przez islamskich fanatyków i wyraża opinię, że niektórzy muzułmanie w tekstach będących podstawą ich wiary – tj. w Koranie, a w przypadku sunnitów także w Hadisach (czyli zapisach czynów proroka Mahometa) znajdują motywację i usprawiedliwienie dla dokonywania strasznych czynów.

Czy taka wypowiedź jak ta wskazana powyżej mogłaby w jakimś europejskim kraju zostać potraktowana jako karalna „mowa nienawiści” przeciwko muzułmanom? Szczerze mówiąc, bardzo w to wątpię. Wypowiedź ta nie zawiera skierowanych przeciwko muzułmanom obelg. Nie oskarża ich wszystkich o jakieś nieczne postępowanie, bądź właściwości – takie np. jak dokonywanie czy popieranie przestępstw. Nie ma ona w jakiś ewidentny sposób na celu wywołania jakichś skrajnych emocji wobec muzułmanów. Nie sposób jest twierdzić tego, że autor tej wypowiedzi – w przeciwieństwie do autora wypowiedzi, o której tu była mowa wcześniej – chce tego, by członkowie grupy, do której wypowiedź ta się odnosi byli postrzegani i traktowani jako jacyś nie-ludzie.

Innymi słowy mówiąc, wspomniana tu wypowiedź w żadnym (najprawdopodobniej) europejskim kraju nie zostałaby potraktowana jako przestępstwo. Czy jednak tego rodzaju wypowiedzi nie mogą być niebezpieczne? Czy nie mogą się one przyczyniać do pobudzania uczuć nienawiści wobec takich osób, jak muzułmanie, pomimo tego, że wypowiedzi te nie zawierają żadnych jawnie nienawistnych, czy obraźliwych słów i określeń? Na moje wyczucie takie wypowiedzi mogą mieć tego rodzaju skutki. A z jakiego powodu? Otóż takiego, że takie wypowiedzi nie są ani przejawami chamstwa, które można odrzucić po prostu na takiej zasadzie, że jest to chamstwo, ani też – w przeciwieństwie do wypowiedzi zawierających stwierdzenia tego np. rodzaju, że wszyscy członkowie jakiejś grupy narodowej, rasowej, religijnej czy jeszcze innej są złodziejami, bandytami, mordercami itp. (których to stwierdzeń nikt przy zdrowych zmysłach nie potraktuje przecież dosłownie) nie są one jakimś stekiem bzdur, które nie sposób jest uznać za prawdę.

Jednak zakazy „mowy nienawiści” – o ile mogą cokolwiek odstraszać (choć nie wiem oczywiście tego, na ile to faktycznie robią) od pierwszego ze wspomnianych rodzajów wypowiedzi – o których można powiedzieć to, że w oczach bardzo wielu ludzi mogą one zdecydowanie deprecjonować rasizm, antysemityzm itd. – to mogą też one cokolwiek zachęcać do formułowania takich wypowiedzi, jak wspomniana przeze mnie hipotetyczna wypowiedź na temat muzułmanów (w rzeczywistości takie, jak przytoczone w tej hipotetycznej wypowiedzi twierdzenia mogą być wyrażane w różnych wypowiedziach i nie w

każdej wszystkie), które to wypowiedzi mogą niektórym ludziom pokazywać, że nienawiść wobec pewnych grup ludzi wcale nie jest czymś całkiem nieuzasadnionym i nawet przyczyniać się do pobudzania takiej nienawiści. Czy taki efekt działania zakazów „mowy nienawiści” nie jest w jakiejś mierze przynajmniej przyczyną tego, że choć przestępstwa z nienawiści tego rodzaju, co np. pobicia, przypadki zastraszania lub ataki na czyjeś mienie mające u swego podłoża negatywne nastawienie wobec grupy osób, do których należą ofiary takich przestępstw zdarzają się zarówno w zabraniających takiej „mowy” krajach europejskich, jak i w USA, gdzie „hate speech” nie jest karalna, to w tych pierwszych krajach przestępstw takich, proporcjonalnie do liczby ludności tych krajów jest generalnie rzecz biorąc więcej, niż jest ich w Stanach Zjednoczonych?

Warto też zastanowić się nad efektami działania zakazów „mowy nienawiści” czy „propagowania faszyzmu” na osoby, przeciwko którym zakazy takie są w pierwszym rzędzie skierowane – a więc osoby wyznające rasistowskie, ksenofobiczne, antysemickie czy „faszystowskie” poglądy, bądź (co oczywiście z dużym prawdopodobieństwem może się wiązać z pierwszą z tych rzeczy) członków jakichś ekstremistycznych – formalnych, bądź nieformalnych – grup. Wyobraźmy sobie, że do osób, o których jest tu mowa dociera wiadomość, że publiczne wyrażanie takich poglądów, jakie te osoby wyznają, jest przestępstwem. Albo np. wiadomość, że ktoś za wyrażanie takich poglądów – zbieżnych z ich poglądami – został skazany na jakąś karę – w tym szczególnie więzienie.

Czy reakcją takich, jak wspomniani powyżej ludzi na tego rodzaju przekaz byłaby refleksja tego np. rodzaju: „niestety, myliliśmy się w swoich przekonaniach. Rasizm (albo antysemityzm, czy faszyzm) jest czymś bardzo złym i nagannym i słusznie się karze za jego propagowanie”? To może i też – w jakichś pojedynczych przypadkach – byłoby możliwe. Lecz najbardziej – na zdrowy rozum – prawdopodobną reakcją w przypadkach tego rodzaju, o jakich jest tu mowa może być pobudzenie takich emocji, jak frustracja, irytacja, poczucie prześladowania i dyskryminacji ze względu na poglądy i wreszcie gniew oraz wściekłość. Do czego takie emocje mogą prowadzić? Czasem zapewne do niczego. Lecz w niektórych przynajmniej przypadkach mogą one pobudzać te osoby, u których zostały one wywołane do podejmowania akcji, polegających np. na niszczeniu mienia, bądź fizycznym atakowaniu ludzi i skierowanych czy to przeciwko bezpośrednio odpowiedzialnym za stosowanie represji władzom, czy też przeciwko członkom grup, postrzeganych przez takie osoby jako *spiritus movens* wymierzonych w nich represji. Rasiści, faszyci, naziści, ksenofobi, homofobi, antysemici i jeszcze inni „nienawistnicy” mogą odbierać wymierzone przeciwko nim działania prawne jako nic innego, jak wytoczenie im przez państwo – i takie lub inne grupy narodowościowe, rasowe, etniczne, religijne czy jeszcze posługujące się państwem jako swoim narzędziem, bądź przynajmniej niesłusznie przez państwo chronione – wojny. A co się robi na wojnie? Otóż, jak dobrze wiadomo, strzela się. W wojnie o której tu jest mowa państwo „strzela” przy użyciu takich środków, jak zatrzymanie osób wyrażających zakazane poglądy, rekwirowanie sprzętu komputerowego używanego do popełniania czynów karalnych w świetle kodeksu karnego, czy wreszcie skazywanie ludzi za takie przestępstwa, jak np. nawoływanie do nienawiści przeciwko jakiejś grupie narodowościowej, rasowej, religijnej itd., znieważenie tego rodzaju grupy, „propagowanie faszyzmu” czy (np.) negowanie holocaustu. Przeciwna strona ma do swojej dyspozycji jedną broń: bezprawną przemoc.

Oczywiście, całkowicie jasne jest, że nie wszyscy antysemita, rasista, neonazista itd. sięgną po nią z powodu represjonowania niektórych ludzi za wyrażanie takich, jak oni wyznają, przekonań. Lecz prawdopodobieństwo, że niektórzy z nich to zrobią jest – na zdrowy rozum – większe wówczas, gdy wyrażanie pewnych opinii spotyka się z represjami, niż wówczas, gdy ich głosiciele – i pośrednio, w swoim odczuciu, wyznawcy – nie są obiektem prześladowań. Mechanizm, poprzez który represje za (np.) „mowę nienawiści” mogą przyczyniać się do stosowania przemocy przez ludzi, w których przekonania represje takie są wymierzone nie ogranicza się oczywiście do rasistów, antysemitów, neonazistów – i w ogóle ludzi, którzy za publiczne wyrażanie swoich opinii mogą być karani na podstawie przepisów tego rodzaju, co artykuły 256 i 257 polskiego kodeksu karnego – lecz ma charakter zdecydowanie bardziej uniwersalny. Dobrą tego ilustracją może być to, co Nelson Mandela – przecież nie żaden rasista, czy faszysta, albo nazista, lecz ktoś walczący z rasistowskim reżimem, który do początku lat 90 XX wieku istniał w RPA o prawa czarnej ludności tego kraju – powiedział na swoim procesie w 1964 r. w którym został skazany na dożywocie za sabotaż. Mandela usprawiedliwiał stosowanie przemocy przeciwko reżimowi Apartheidu w następujących słowach: „Wszystkie zgodne z prawem sposoby wyrażania sprzeciwu wobec [białej supremacji] zostały zamknięte przez ustawodawstwo, a my znaleźliśmy się w sytuacji, w której musieliśmy albo zaakceptować permanentny stan niższości, albo przeciwstawić się rządowi”.

Jak odnosząc się do wypowiedzi Nelsona Mandeli z jego procesu [pisze](#) Jacob Mchangama „Jeśli Nelson Mandela uznał przemoc za uzasadnioną z powodu braku wolności słowa, to nie powinno nas dziwić, że grupy i jednostki motywowane znacznie mniej szlachetnymi celami, niż te przyświecające Mandeli myślą tak samo. Nawet jeśli ich cenzorzy są demokratycznie wybranymi rządami, a nie autorytarnymi suprematystami”. Warto dodać, że pewne badania naukowe na temat prawicowego ekstremizmu i motywowanej tym ekstremizmem przemocy wskazują na związek pomiędzy ograniczaniem wolności słowa, a zwiększonym ryzykiem przestępstw z nienawiści. I tak np. w opracowanym przez prof. Jacoba Aaslanda Ravndala z Centrum Badań nad Ekstremizmem w Oslo [studium na temat prawicowo motywowanego terroryzmu w 18 krajach Europy Zachodniej w latach 1990 – 2005](#) stwierdzone zostało, że jednym z „przepisów” na wzmożoną przemoc było represjonowanie i stygmatyzowanie ekstremistycznych grup i opinii przez rządzące elity. Z kolei badania amerykańskiego instytutu badania opinii publicznej Pew Research Center [wykazały](#), że w krajach, w których religijne bluźnierstwo jest prawnie zakazane i karane więcej, generalnie rzecz biorąc, jest konfliktów mających jakiś związek z religią, niż w takich, w których zakazy wypowiedzi znieważających obiekty kultu religijnego nie istnieją (bądź nie są stosowane). To ostatnie badanie nie tyczyło się wprawdzie w ścisłym sensie tego słowa „mowy nienawiści” poprzez którą – w moim przynajmniej odczuciu – należy rozumieć wypowiedzi odnoszące się do ludzi (choć raczej do całych ich grup, niż jakichś konkretnych, wyraźnie określonych jednostek), a nie do np. Boga, Mahometa, Buddy itd. Co jednak badania te co najmniej zdają się potwierdzać to to, że represjonowanie ludzi za wyrażane przez nich opinie – w tym opinie bulwersujące i skrajne – raczej zwiększa prawdopodobieństwo przemocy, niż redukuje je.

Mówiąc o tym, jak zakazy „mowy nienawiści” czy propagowania faszyzmu bądź (np.) innego ustroju totalitarnego mogą przyczyniać się do takich skutków, jak przemoc, której tego

rodzaju zakazy z samego swego założenia mają już w zarodku zapobiegać warto jest zwrócić uwagę na to, co można byłoby określić mianem podstawowego paradoksu cenzury i o czym w swej książce „Wywieranie wpływu na ludzi” pisał znany amerykański psycholog społeczny Robert Cialdini. „Choć istnieje wiele badań dotyczących ludzkich reakcji na materiały nadające się ze swej natury do cenzurowania - przemoc w mass mediach, pornografia, radykalna retoryka polityczna - zdumiewająco mała liczba badań dotyczy reakcji na samą cenzurę. Choć nieliczne, badania te przyniosły jednak bardzo zgodne i jednoznaczne wyniki. Niemal zawsze reakcją na zakaz jakiej informacji jest wzrost pragnienia zapoznania się z tą informacją oraz wzrost pozytywnego ustosunkowania się do kwestii, której ona dotyczy. (Ashmore, Ramchandra i Jones, 1971; Wicklund i Brehm, 1974; Worchel i Arnold, 1973; Worchel Arnold i Baker, 1975; Worchel, 1992).

Wzrost ochoty do zapoznania się z zakazaną informacją wydaje się prawidłowością dosyć oczywistą; bardziej intrygujący jest natomiast wzrost wiary w stanowisko zajmowane przez zakazany komunikat, nawet jeżeli komunikat ten nie został w istocie odebrany. Na przykład, kiedy studenci Uniwersytetu Północnej Karoliny dowiedzieli się, że na ich uniwersytecie zakazano wygłoszenia mowy potępiającej koedukacyjne akademiki dla studentów, sami stali się bardziej nieprzychylnie ustosunkowani do pomysłu takich akademików (Worchel i in., 1975). Tak więc nawet i bez wysłuchania mowy, studenci uwierzyli w zajmowane w niej stanowiska.

Prawidłowość ta nasuwa dość niepokojącą możliwość, że osoby bystre, choć nie mające dobrych argumentów na rzecz własnego stanowiska, mogą przekonywa do niego innych poprzez doprowadzanie do całkowitego czy częściowego ocenzurowania swojego komunikatu. Ironia polega na tym, że dla tego rodzaju osób - na przykład członków drobnych, a ekstremistycznych partii politycznych - skuteczną strategią jest nieupublicznienie swoich niepopularnych poglądów, lecz sprowokowanie do ich oficjalnego ocenzurowania, a potem upublicznienie samego faktu ocenzurowania. Być może autorzy Konstytucji Amerykańskiej okazali się bardziej przenikliwymi psychologami społecznymi, niż by się wydawało, gdy w słynnej Pierwszej Poprawce zapewnili naszemu narodowi nieograniczoną wolność słowa. Odmawiając ograniczania wolności słowa, nawet w imię szlachetnych celów, autorzy Poprawki próbowali być może zminimalizować prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń, w którym jakieś poglądy polityczne zdobywałyby sobie rosnące poparcie nie z powodu swej treści, lecz z tej irracjonalnej w gruncie rzeczy przyczyny, że ich głoszenie jest zakazane”.

Cialdini mógł cokolwiek przesadzić ze swym twierdzeniem, że autorzy konstytucji USA byli jakimiś przenikliwymi psychologami społecznymi (choć nie wykluczam oczywiście tego, że faktycznie nimi byli): przede wszystkim, jak się zdaje, nie jest całkiem jasne, czy intencją wprowadzenia do Konstytucji USA (generalnie rzecz biorąc uchwalonej w 1787 r.) Pierwszej Poprawki o treści „Żadna ustawa Kongresu nie może wprowadzić religii ani zabronić swobodnego praktykowania jej, ograniczać wolności słowa lub prasy ani prawa ludu do spokojnych zgromadzeń lub do składania naczelnym władzom petycji o naprawienie krzywd” (nastąpiło to w 1791 r.) było uniemożliwienie uchwalania ustaw przewidujących kary za

wypowiedzi, czy tylko takich ustaw, które przewidują prewencyjną cenzurę wypowiedzi – należy też zauważyć, że wymienione w tej Poprawce zakazy literalnie rzecz biorąc odnosiły się wyłącznie do Kongresu – amerykańskiego parlamentu federalnego – nie obejmowały zaś władz stanowych (które obecnie zgodnie z orzecznictwem Sądu Najwyższego USA uważa się za objęte postanowieniami Pierwszej Poprawki na mocy §1 XIV Poprawki, zgodnie z którym „Każdy, kto urodził się lub naturalizował w Stanach Zjednoczonych i podlega ich zwierzchnictwu, jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i tego stanu, w którym zamieszkuje. Żaden stan nie może wydawać ani stosować ustaw, które by ograniczały prawa i wolności obywateli Stanów Zjednoczonych. Nie może też żaden stan pozbawić kogoś życia, wolności lub mienia bez prawidłowego wymiaru sprawiedliwości ani odmówić komukolwiek na swoim obszarze równej ochrony prawa”). Z całą pewnością nie myśleli oni o czymś takim, jak „mowa nienawiści” w tym znaczeniu, w jakim dzisiaj używa się tego pojęcia – ani już tym bardziej o np. „propagowaniu faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa”. Niemniej jednak, amerykańskie podejście do kwestii granic wolności słowa, wykluczające możliwość karania za szerzenie jakichkolwiek poglądów jako takich (czy ich cenzurowanie) i jednocześnie dopuszczające ograniczanie pewnych bezpośrednio krzywdzących innych ludzi, niż ich autorzy rodzajów wypowiedzi (np. zniesławień - odnośnie których warto zauważyć, że w przypadkach, gdy odnoszą się one do osób publicznych mogą być one przedmiotem sankcji prawnych wyłącznie pod warunkiem wykazania nie tylko ich obiektywnej kłamliwości, ale również tego, że autor wypowiedzi zdawał sobie sprawę z fałszywości przedstawianych w niej faktów, bądź co najmniej zdawał wiedział o tym, że mogą one być nieprawdziwe – a także wspomnianych tu „fighting words”, poważnych gróźb przemocy, bezpośrednio niebezpiecznego podżegania do przemocy, czy pornografii z udziałem prawdziwych dzieci) – które – to również należy dodać – zostało wypracowane w orzecznictwie amerykańskiego Sądu Najwyższego i sądów, czy to federalnych, czy też stanowych w kilku ostatnich dziesięcioleciach – a nie pojawiło się automatycznie wraz I Poprawką, jest – w moim odczuciu – generalnie rzecz biorąc lepsze od innych podejść do kwestii granic wolności wypowiedzi, przynajmniej w takim temacie, jak swoboda wypowiedzi – nazwijmy to tak – skrajnych – takich, o których z łatwością można twierdzić, że są one obraźliwe czy nawet niebezpieczne – a więc np. „mowy nienawiści” czy propagowania innych potencjalnie szkodliwych idei.

Jeśli wspomniane podejście jest generalnie rzecz biorąc dobre i nieźle funkcjonujące w Stanach Zjednoczonych – gdzie np. liczby przestępstw z nienawiści pomimo braku zakazów „mowy nienawiści” nie tylko, że nie są większe, to są mniejsze (proporcjonalnie do liczby ludności) niż w wielu krajach, w których za nawoływanie do nienawiści przeciwko takim lub innym grupom bądź znieważanie takich grup można trafić do więzienia i gdzie również niewielu jest nazistów, faszystów, czy komunistów mimo absolutnej swobody propagowania nazizmu, faszyzmu i komunizmu – to czy nie byłoby mądrą rzeczą „importowanie” takiego podejścia, czy to konkretnie do Polski, czy w ogóle np. do Europy?

Moja odpowiedź na powyższe pytanie brzmi oczywiście „tak”. Jednak Europa w tych akurat kwestiach brnie ciągle w przeciwnym kierunku – dobitnym tego przejawem jest np. Decyzja

Ramowa Rada Unii Europejskiej z 2008 r. w sprawie zwalczania pewnych form i przejawów rasizmu i ksenofobii za pomocą środków prawnokarnych, zgodnie z którą takie działania, jak:

a) publiczne nawoływanie do przemocy lub nienawiści skierowanej przeciwko grupie osób, którą definiuje się według rasy, koloru skóry, wyznawanej religii, pochodzenia albo przynależności narodowej lub etnicznej, lub przeciwko członkowi takiej grupy;

b) popełnienie czynu, o którym mowa w lit. a), przez publiczne rozpowszechnianie lub rozprowadzanie tekstów, obrazów lub innych materiałów;

c) publiczne aprobowanie, negowanie lub rażące pomniejszanie zbrodni ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości oraz zbrodni wojennych w rozumieniu art. 6, 7 i 8 statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego skierowanych przeciwko grupie osób, którą definiuje się według rasy, koloru skóry, wyznawanej religii, pochodzenia albo przynależności narodowej lub etnicznej, lub przeciwko członkowi takiej grupy, jeśli czyny takie mogą podburzać do przemocy lub wzbudzać nienawiść skierowaną przeciwko tej grupie lub jej członkowi;

d) publiczne aprobowanie, negowanie lub rażące pomniejszanie zbrodni określonych w art. 6 Karty Międzynarodowego Trybunału Wojskowego załączonej do porozumienia londyńskiego z dnia 8 sierpnia 1945 r., a skierowanych przeciwko grupie osób, którą definiuje się według rasy, koloru skóry, wyznawanej religii, pochodzenia albo przynależności narodowej lub etnicznej, lub przeciwko członkowi takiej grupy, jeśli czyny takie mogą podburzać do przemocy lub wzbudzać nienawiść skierowaną przeciwko tej grupie lub jej członkowi,

muszą być przez kraje członkowskie UE traktowane jako przestępstwa zagrożone maksymalną karą o wysokości co najmniej roku więzienia.

W świetle tej decyzji dopuszczalne jest kryminalizowanie negowania lub rażącego pomniejszania tylko takich zbrodni przeciwko ludzkości i zbrodni wojennych, które zostały ostatecznie potwierdzone na mocy wyroku danego państwa członkowskiego UE bądź międzynarodowego trybunału, dopuszczalna jest również penalizacja wyłącznie takich wypowiedzi, które stanowią groźbę, zniewagę lub obrazę lub takich, które mogą spowodować zakłócenie porządku publicznego. Wspomniana decyzja dopuszcza więc – można tak twierdzić – pewien stopień wolności „mowy nienawiści”: państwo członkowskie UE może zadecydować np. o tym, że karalne będzie w nim tylko takie nawoływanie do nienawiści (bądź przemocy – albo jednego i drugiego) przeciwko grupie osób definiowanej według kryterium rasy, koloru skóry, wyznawanej religii, pochodzenia albo przynależności narodowej lub etnicznej, lub przeciwko członkowi takiej grupy, które może spowodować zakłócenie porządku publicznego, jak również może postanowić o penalizacji wyłącznie

takiego publicznego aprobowania, negowania lub rażącego pomniejszania zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości, które może zakłócić spokój publiczny – może też dodatkowo ograniczyć karalność takich wypowiedzi do tych, które są obraźliwe, znieważające, bądź stanowiące groźby. Trzeba więc przyznać, że na mocy wspomnianej decyzji dopuszczalna jest względnie ograniczona penalizacja „hate speech” – może ona obejmować np. tylko takie wypowiedzi, które mogą spowodować zakłócenie porządku publicznego – i zakres kryminalizacji „mowy nienawiści” może być dodatkowo ograniczony do takich wypowiedzi, które są groźące, obraźliwe lub znieważające. Niemniej jednak, nawet najmniejszy zakres penalizacji „mowy nienawiści” jaki dopuszcza wspomniana tu Decyzja jest szerszy, niż uznawany obecnie za dopuszczalny w USA, gdzie karalne może być jedynie nawoływanie do popełnienia przestępstwa – czyli zakazanego prawnie i szkodliwego czynu, a nie tylko do emocji, jaką jest nienawiść – i gdzie warunkiem karalności takiego nawoływania musi być wysokie prawdopodobieństwo jego efektywności.

Poza tym, jeśli nawet dopuszczalne – w świetle decyzji ramowej z 2008 r. - jest ograniczenie kryminalizacji „hate speech” do takich wypowiedzi, które mogą spowodować zakłócenie porządku publicznego – czyli takich, co do których istnieje przynajmniej obawa, że mogą być one w miarę przynajmniej bezpośrednio niebezpieczne – to warto zauważyć, że obowiązujące w krajach europejskich zakazy „mowy nienawiści” nie są w praktyce w taki sposób ograniczone, a jeśli nawet teoretycznie rzecz biorąc są, to znaczy to niewiele, bądź po prostu nic. I tak np. w Niemczech zgodnie z art. 130 k.k. karalne może być tylko takie podżeganie do nienawiści, przemocy, lub arbitralnych działań przeciwko jakiejś części populacji bądź takie znieważenie, złośliwe oczernianie lub zniesławienie części populacji które jest zdolne zakłócić spokój publiczny. Myliłby się jednak bardzo ktoś, kto na podstawie przeczytania art. 130 niemieckiego k.k. sądziłby, że w Niemczech karalna może być tylko taka „mowa nienawiści” która jest w stanie spowodować bezpośrednio niebezpieczeństwo dla choćby tak ogólnej wartości, jak spokój publiczny (za którego naruszenie można byłoby uznać nie tylko akty przemocy czy niszczenia mienia, ale także – w pewnych przynajmniej sytuacjach; nie np. na meczu piłkarskim – głośne okrzyki). Raczej, interpretacja pojęcia zdolności wypowiedzi do spowodowania zakłócenia porządku publicznego przez niemieckie sądy jest taka, że do uznania wypowiedzi za mającą taką zdolność wystarczające jest to, że jakieś władze są zdania, że gdyby wyrażany przez daną wypowiedź pogląd został uznany przez jakąś część społeczeństwa za prawdziwy, to wówczas można byłoby pomyśleć o scenariuszu, w którym jakieś nie-pokojoye działania mogłyby się wydarzyć. „Mowa nienawiści” jest więc karalna w Niemczech nie z tego powodu, że może ona bezpośrednio spowodować zakłócenie spokoju publicznego, lecz dlatego, że może ona – czymś zdaniem – pośrednio przyczynić się do zakłócenia takiego spokoju, przy czym wystarczy tu zagrożenie czysto hipotetyczne, potencjalne i abstrakcyjne – parafrazując znane z orzecznictwa Sądu Najwyższego USA stwierdzenie, że wypowiedzi mogą być karalne wówczas, gdy powodują one „bezpośrednie i wyraźne niebezpieczeństwo” można powiedzieć, że wypowiedzi obrażające jakie grupy, czy nawołujące do nienawiści albo arbitralnych działań przeciwko członkom jakichś grup (czyli np. wprowadzenia specjalnych list takich osób – pojęcie arbitralnych działań w oczywisty

sposób wykracza poza pojęcie przestępstwa, lecz może obejmować takie działania, które nie są jeszcze bezpośrednio prawne zakazane, lecz które miałyby w jakiś sposób charakter dyskryminacyjny, może też ono – jak sądzę, obejmować zarówno działania władz, jak i osób czy organizacji prywatnych) są w Niemczech karalne z takiego powodu, że – zdaniem przedstawicieli niemieckich władz, w tym także prokuratorów mogą one powodować choćby tylko niewyraźne i odległe zagrożenie spokoju publicznego. Oczywiście, jak pisałem tu wcześniej, to samo można byłoby powiedzieć o mnóstwie innych rodzajów wypowiedzi, nie stanowiących w żadnym sensownym tego słowa znaczeniu „mowy nienawiści” (ani też „propagowania faszyzmu” itd.). Poniekąd zresztą, warunek zdolności danego działania do spowodowania zakłócenia porządku publicznego – cokolwiek pojęcie to miałoby znaczyć – nie jest warunkiem koniecznym do skazania za rozpowszechnianie materiałów zawierających „mowę nienawiści” bądź czynienie ich dostępnymi dla osób nieletnich, nie jest to również warunek karalności rozpowszechnienia propagandy zdelegalizowanej organizacji lub propagandy mającej na celu wspieranie działań byłej organizacji narodowosocjalistycznej, podobnie jak nie jest to warunek karalności publicznego używania bądź rozpowszechniania nazistowskich lub podobnych do nich symboli i gestów. Podobnie, przepisy innych krajów europejskich dotyczące „mowy nienawiści”, propagowania nazizmu – co jak wspomniałem, jest bardzo szeroko penalizowane w Austrii – czy aprobowania, negowania bądź bagatelizowania Holocaustu, względnie też innych zbrodni przeciwko ludzkości czy zbrodni wojennych – nie mówią nic o tym, że wypowiedzi, do których odnoszą się te przepisy są karalne tylko w tych przypadkach, w których mogą one prowadzić do zakłócenia publicznego spokoju (wymóg efektywności mowy nienawiści jako warunek odpowiedzialności karnej w minimalnym stopniu występuje w prawie brytyjskim: według obowiązujących tam przepisów „mowa nienawiści” rozumiana jako wypowiedzi grożące, obelżywe lub znieważające i odnoszące się do jakiejś części brytyjskiej populacji z racji jej przynależności rasowej, etnicznej bądź narodowej mogą być karane tylko wówczas, kiedy mają one na celu wzniecanie nienawiści wobec takiej grupy, bądź wówczas, gdy mogą one wzniecać taką nienawiść. Jednak nienawiść, o której jest mowa we wspomnianych przepisach jest wciąż tylko emocją, a pewne wypowiedzi, do tego, by mogły być karalne nie muszą nie tylko powodować, ale choćby móc spowodować takiej emocji – wystarczy, że zmierzają one do jej spowodowania).

Pojawia się zatem pytanie: dlaczego kraje europejskie (choć nie tylko te – wspomniałem tu, że mowa nienawiści zakazana jest także np. w Kanadzie – jest ona też oczywiście karalna w bardzo zdecydowanej większości krajów świata) utrzymują zakazy, o których jeśli da się cokolwiek dobrego powiedzieć to tylko to, że można przy ich pomocy pokazywać, jak to się dzielnie walczy z rasizmem, faszyzmem, antysemityzmem czy (np. – jeszcze nie w Polsce) z homofobią – bądź nawet rozszerzają takie zakazy, lecz nie to, że faktycznie prowadzą one do redukcji wspomnianych zjawisk? Tu na pewno można byłoby mówić o wielu rzeczach – historii, tradycjach, utrwalonych przekonaniach (18) – a także o tym, że trudno jest sobie wyobrazić, by mogące podejmować takie bądź inne decyzje organy państwowe lub międzynarodowe poświęcały wiele czasu rozważaniom nad problemem, czy zakazy „mowy nienawiści” (albo „kłamstwa oświęcimskiego” lub propagowania np.

faszystów bądź nazistów) są słuszne. Niemniej jednak warto przytoczenia wydaje się to, co w swym artykule „[Hate speech and the normative foundations of regulation](#)” napisał Eric Heinze. Stwierdził on tam mianowicie, że Niemiec i Europejczycy prawnicy długo pozostawali obojętni na negatywne skutki zakazów, o których była tu wcześniej mowa po części z tego powodu, że szkoły realizmu prawniczego tradycyjnie miały słabszy – niż w USA – przyczółek na naszym kontynencie.

Może więc przydałoby się po prostu trochę realizmu w myśleniu o konsekwencjach zakazów „mowy nienawiści”, propagowania ustrojów totalitarnych, bądź jeszcze innych ograniczeń wolności słowa?

Przypisy:

1. Przyznam, że mam wątpliwość na temat np. tego, czy stosowanie przemocy lub groźby bezprawnej z powodu czyjejś przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej albo z powodu czyjejś bezwyznaniowości jest czymś zasługującym na surowszą karalność, niż stosowanie przemocy lub groźb z innych powodów. Jest przemoc, czy też są groźby z powodów, o których jest mowa w art. 119 § 1 k.k. czymś w konieczny sposób gorszym od przemocy czy groźb z powodu np. czyjegoś wyglądu, sposobu ubierania się, cech osobistych typu np. jękanie się, niska sprawność fizyczna – czy też np. od stosowania przemocy bądź groźb z takich np. powodów, jak zamożność? Jeśli art. 119 § 1 k.k. miałyby działać jako generalny przepis zastrzegający kary za pewne rodzaje „hate crimes” to bez trudu można zauważyć, że może on działać w ten sposób wyłącznie w odniesieniu do takich czynów, polegających na stosowaniu przemocy lub groźb bezprawnych z powodu czyjejś przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej albo z powodu czyjejś bezwyznaniowości które są zagrożone karą niższą od przewidywanej przez ten przepis, zgodnie z którym za określone w nim przestępstwo grozi od 3 miesięcy do 5 lat więzienia. I tak np. ktoś, kto poprzez użycie przemocy spowodowałby naruszenie czynności narządu ciała lub rozstrój zdrowia innej osoby trwający nie dłużej, niż 7 dni z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej albo z powodu tej bezwyznaniowości tej osoby mógłby zostać skazany nie co najwyżej na 2 lata więzienia, jakie przewiduje art. 157 k.k. ale nawet na 5 lat, co jest maksymalną karą przewidzianą w art. 119 § 1. Jeśli jednak ktoś z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej albo z powodu bezwyznaniowości innej osoby spowodowałby u niej choćby tylko średnie uszkodzenie ciała (powodujące naruszenie czynności narządu ciała bądź rozstrój zdrowia na czas dłuższy, niż 7 dni, lecz nie skutkujące pozbawieniem człowieka wzroku, słuchu, mowy, zdolności płodzenia, innym ciężkim kalectwem, ciężką chorobą nieuleczalną lub długotrwałą, chorobą realnie zagrażającą życiu, trwałą chorobą psychiczną, całkowitą albo znaczną trwałą niezdolnością do pracy w zawodzie lub trwałym, istotnym zeszpeceniem lub zniekształceniem ciała – o czym jest mowa w art. 156 § 1 k.k.) art. 119 § 1 k.k. nie mógłby zadziałać jako przepis zastrzegający

odpowiedzialność karną za taki czyn – wymiar kary za przestępstwa określone w art. 119 § 1 i 157 § 1 k.k. jest identyczny. W oczywisty też sposób art. 119 § 1 k.k. nie może działać jako przepis zastrzegający kary za te czyny dokonane z powodu czyjejś przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej albo z powodu czyjejś bezwyznaniowości w przypadku których maksymalne zagrożenie karą przekracza 5 lat pozbawienia wolności. Jeśli zaś chodzi o penalizowane przez art. 119 § 1 k.k. groźby z powodów wymienionych w tym przepisie, to warto zauważyć, że groźby te mogą się dotyczyć zarówno konkretnych osób, jak i całych grup osób. Odnosnie użytego w art. 119 § 1 k.k. pojęcia „grupy osób” zachodzi pytanie, do jak dużych grup pojęcie to może się odnosić. Bo że odnosi się ono do grup małych – np. kilku, czy kilkunastoosobowych – to jest pewne. Czy jednak można je odnosić do całych grup narodowościowych, etnicznych, rasowych, politycznych, wyznaniowych względnie do wszystkich ludzi nie wyznających żadnej religii? Nie jest wykluczone, że tak – pojęcie „grupa osób” nie implikuje w żaden wyraźny sposób jakiejś maksymalnej liczebności takiej grupy. Jednak chciałbym zauważyć, że o ile w przypadku gróźb kierowanych przeciwko konkretnym osobom lub niewielkim grupom osób (takim, jak np. mieszkająca w jednym domu rodzina) krzywdzący charakter gróźb jest zazwyczaj ewidentny – niezależnie od tego, czy powodem tych gróźb jest czyjaś przynależność narodowa, etniczna, rasowa, polityczna, wyznaniowa lub bezwyznaniowość czy coś zupełnie innego – to w przypadku gróźb odnoszących się do całych grup tego rodzaju, co grupy narodowe, etniczne, rasowe, polityczne, czy osoby bezwyznaniowe coś takiego wcale nie jest jasne. Weźmy tu, jak przykład zachowania mogącego podpadać pod art. 119 § 1 k.k. taką sytuację, że ktoś umieszcza na swoim profilu w którymś z tzw. mediów społecznościowych (Facebook, Instagram, Twitter) stwierdzenie, że wymorduje on wszystkie osoby należące do jakiejś grupy narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej – albo np. wszystkich agnostyków bądź ateistów. Brzmiałoby to strasznie – zgoda co do tego. Lecz z drugiej strony byłoby chyba rzeczą oczywistą, że groźba taka nie mogłaby zostać spełniona, gdyż trudno wyobrazić sobie, by ktoś mógł zamordować wszystkich np. Rosjan, Ukraińców, Łemków, Katolików, członków jakiejś partii politycznej czy wszystkie osoby bezwyznaniowe – chyba, że jakimś cudem objąłby on władzę i wprowadził jakieś rządy w stylu hitlerowskim. Groźby tego rodzaju, co ta, o której jest tu mowa są groźbami – tak można byłoby to powiedzieć – rozmytymi; nikt konkretnie nie jest w nich wytypowany jako ofiara przestępstwa, które ktoś ewentualnie gotów byłby popełnić. Zaś strach, jaki tego rodzaju groźby mogą u niektórych osób wywoływać nie jest, jak sądzę, czymś zasadniczo różnym od strachu, jaki u niektórych osób należących do mniejszości narodowych, etnicznych, rasowych czy religijnych mogą wywoływać publikacje mówiące o przestępstwach z nienawiści przeciwko osobom należącym do takich mniejszości, czy nawet o (niekoniecznie przestępczych) przejawach niechęci wobec nich. Czyli treści w oczywisty sposób mieszczące się w granicach wolności słowa.

2. Art. 126a k.k. przewiduje karę od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności za publiczne nawoływanie do popełnienia takich czynów, jak ludobójstwo, zbrodnie przeciwko ludzkości, zbrodnie wojenne, a także do przestępstwa określonego we wspomnianym tu wcześniej art. 119 § 1 k.k., a także publiczne pochwalanie dokonywania takich czynów.
3. Istnienie tego przestępstwa krytykowałem m. in. w [tym tekście](#).
4. Warto zwrócić uwagę, że niektórym polskim politykom chodziły po głowach tego rodzaju pomysły. I tak np. Twój Ruch Janusza Palikota w 2014 r. proponował, by po art. 196, dotyczącym przestępstwa obrazy uczuć religijnych umieścić w kodeksie karnym art. 196a zgodnie z którym takiej samej, jak przewidziana za obrazę uczuć religijnych karze (tj. grzywnie, ograniczeniu wolności albo pozbawieniu wolności do lat 2) podlegałby każdy „kto obraża publicznie przekonania światopoglądowe innych osób” (później jednak partia Janusa Palikota wycofała się z tego pomysłu). Z kolei Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów przedstawiło swego czasu projekt ustawy przewidujące karę grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku dla każdego, kto w celu obrazy przekonań religijnych lub filozoficznych innych osób znieważa publicznie treść tych przekonań.
5. Zob. art. 32 konstytucji: 1. Wszyscy są wobec prawa równi. Wszyscy mają prawo do równego traktowania przez władze publiczne. 2. Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiejkolwiek przyczyny.
6. Myślę, że sędzia Sądu Najwyższego USA William O. Douglas miał rację, pisząc w swej opinii zbieżnej z opinią większość sądu (concurring opinion) w sprawie [Brandenburg v. Ohio](#) z 1969 r. w której to Sąd ten orzekł, że „konstytucyjne gwarancje wolności słowa i prasy nie pozwalają stanowi na zakazanie propagowania użycia siły lub złamania prawa, chyba, że takie propagowanie ma na celu podburzenie lub wywołanie niezwłocznego bezprawnego działania i jest prawdopodobne, że podburzy lub wywoła takie działanie” że jedynym niechronionym konstytucyjnie (z tego powodu, że może prowadzić do popełnienia przestępstwa) rodzajem wypowiedzi powinna być „speech brigaded with action” – czyli mowa połączona z działaniem – której przykładem może być kłamliwe krzyczenie „pali się!” w pełnym ludzi kinie i wywołanie przez to niebezpiecznej paniki. Dlaczego tylko takie nawoływanie do popełnienia przestępstwa, które prowadzi do popełnienia, albo przynajmniej próby popełnienia przestępstwa powinno być karalne? Otóż dlatego, że w takim przypadku kryteria karalności, bądź niekaralności wypowiedzi są wyraźne. Jeśli można zostać

skazanym za wypowiedź z tego powodu, że mogła ona mieć jakiś skutek (ale faktycznie go nie miała) to tu pojawia się pole do interpretacji i sporów: mogła, nie mogła, było faktyczne niebezpieczeństwo czy też nie było go. Oceny w kwestii tego, czy dana wypowiedź naprawdę stwarzała niebezpieczeństwo spowodowania działania sprzecznego z prawem łatwo – jak sądzę – mogłyby się przechylać na stronę niekorzystną dla autorów wypowiedzi, w szczególności w przypadku dokonywania takich ocen przez sędziów, dla których daleko posunięta – a więc generalnie rzecz biorąc obejmująca także wypowiedzi propagujące łamanie prawa – wolność słowa nie jest czymś normalnym. W takim wypadku łatwo mogłoby się sprawdzać znane powiedzenie, że „strach ma wielkie oczy”. W każdym razie, jak we wspomnianej tu opinii w sprawie *Brandenburg v. Ohio* pisał sędzia Douglas groźby (czy też może raczej wypowiedzi podżegające – użyte przez sędziego Douglasa słowo „threats” w amerykańskim języku prawniczym odnosi się zazwyczaj do wypowiedzi, w których ktoś grozi osobistym popełnieniem przestępstwa, tymczasem decyzja w sprawie *Brandenburga* dotyczyła wypowiedzi zachęcających do popełniania przestępstw i dlatego wspomniane słowo należy, jak się zdaje, interpretować jako takie właśnie wypowiedzi) karane na podstawie tzw. testu wyraźnego i bezpośredniego niebezpieczeństwa były często głośne (*loud*), lecz zawsze nieudane (czy też „mizerne”) (*puny*) i traktowane poważnie tylko przez sędziów tak zaślubionych ze status quo, że krytyczna analiza wpędzała ich w stan nerwowy.

7. Wyjątkowo ciekawy tekst na ten temat napisał Adrian Romkowski – zob. http://www.kul.pl/files/19/PPE44_2.pdf (na stronie 72).
8. Czy można zgodzić się z twierdzeniem, że negowanie nazistowskich zbrodni przeciwko Żydom jest formą zniesławiania Żydów i nawoływania do nienawiści przeciwko nim – i to w dodatku jedną z najcięższych, jak w sprawie *Garaudy v. France* stwierdził ETPC? Warto się nad tym zastanowić ujmując ten problem z dwóch perspektyw: po pierwsze, czy zaprzeczanie wspomnianym zbrodniom ma na celu pozbawienie Żydów dobrego imienia i zachęcania do nienawiści przeciwko nim, a po drugie, czy coś takiego jest jakimś szczególnie efektywną metodą dążenia do osiągnięcia takich celów?

Odpowiedzi tu mogą być – z mojej przynajmniej strony – wyłącznie na tzw. zdrowy chłopski rozum. Jeśli chodzi o pierwszą z poruszonych powyżej kwestii to myślę, że można zgodzić się z tym, że pewne wypowiedzi negujące zbrodnie, o których jest tu mowa mają na celu pobudzenie negatywnych emocji wobec Żydów jako grupy narodowej (czy też religijnej). Weźmy tu np. stwierdzenia tego (np.) rodzaju, że

Holocaust jest żydowskim kłamstwem i wymysłem, którym Żydzi szantażują cały świat, by wymuszać ich uprzywilejowane traktowanie (i pieniądze). O takiej wypowiedzi bez trudu można byłoby powiedzieć, że ma ona na celu pobudzenie negatywnego nastawienia wobec Żydów – choć oczywiście kwestią subiektywną jest stwierdzenie tego, czy owo nastawienie dałoby się określić mianem nienawiści, czy też nie. Można też sobie jednak wyobrazić takie stwierdzenia negujące zbrodnie, jakie reżim nazistowski popełnił przeciwko Żydom, w odniesieniu do których trudno byłoby powiedzieć, że obrażają one Żydów (a w każdym razie, że mają coś takiego na celu) i zachęcają (w celowy sposób) do wrogiego nastawienia wobec tej nacji. Wyobraźmy sobie w tym kontekście, że ktoś publikuje takie oto (np.) stwierdzenie: „Hitler ponad jakąkolwiek wątpliwość był skrajnym antysemitą i wyjątkowym zbrodniarzem, zaś krzywdy które kierowany przez niego reżim wyrządził Żydom są olbrzymie i niezaprzeczalne. Lecz mimo wszystko Hitler nie miał jakiegoś szczególnego zamiaru wymordowania absolutnie wszystkich Żydów. Prawda jest taka, że liczba Żydów, którzy zginęli z rąk jego reżimu nie przekroczyła kilkaset tysięcy. Żydzi w Auschwitz – Birkenau i innych obozach koncentracyjnych ginęli od głodu, skrajnie ciężkiej pracy i nieludzkich warunków, jakie tam dla nich stworzono, a nie od Cyklonu B w komorach gazowych”.

Czy powyższa wypowiedź byłaby „kłamstwem oświęcimskim”? Otóż, sądy w tych krajach, w których zaprzeczanie hitlerowskim zbrodniom przeciwko ludzkości stanowi wyraźnie wyodrębnione przestępstwo – a więc np. w Austrii, w Niemczech, czy we Francji niemal na pewno uznałyby ją za coś takiego. Wypowiedź ta bowiem kwestionuje fakty, które – w opinii orzekających w tego rodzaju sprawach sądów – uważa się za dobrze udowodnione, takie np. jak fakt mordowania Żydów w komorach gazowych. Czy o wypowiedzi tej dałoby się jednak powiedzieć to, że jest ona „rasistowskim zniesławieniem i nawoływaniem do nienawiści wobec Żydów”? To, myślę, byłoby raczej trudne. Wypowiedź ta – co nie trudno jest chyba zauważyć – nie zawiera żadnych obraźliwych stwierdzeń na temat Żydów i trudno jest też dopatrzeć się w niej próby wywołania jakiejś skrajnej emocji wobec nich. O wypowiedzi tej można, owszem, byłoby powiedzieć to, że podważa ona wizję historii (myślę, że zgodną z prawdą) do której wielu Żydów (i nie tylko Żydów) jest bardzo mocno przywiązanych. Można przypuszczać, że wypowiedź taka wywołałaby sprzeciw i że wielu ludzi mogłoby się poczuć nią dotkniętych – na takiej zasadzie, na jakiej dotknięci mogą poczuć się ludzie, wobec których kwestionuje się coś, w co ludzie ci głęboko wierzą. Ale czy kwestionowanie prawdziwej – założmy dla dobra argumentacji – wersji losu Żydów pod rządami Hitlera jest czymś, co w uczciwy sposób można byłoby uznać za zniesławienie Żydów jako całego narodu (nie wchodzimy tu już w problem tego, czy prawo powinno karać za takie rzeczy, jak zniesławianie całych nacji, grup etnicznych, religijnych itp. – moim zdaniem nie) i próbę wywołania nienawiści przeciwko nim?

Na moje wyczucie coś takiego najprędzej można byłoby powiedzieć wówczas, gdyby autor takiej wypowiedzi tak naprawdę dobrze wiedział o tym, że Żydów w czasie II

wojny światowej zginęło nie kilkaset tysięcy, lecz kilka milionów, a także o tym, że Oświęcimiu, Treblince, Majdanku i innych hitlerowskich obozach koncentracyjnych komory gazowe istniały. Gdyby tak akurat faktycznie było, to w odniesieniu do autora wypowiedzi można byłoby zadać pytanie: w jakim celu – mimo świadomości tego, że kłamie – neguje on udowodnione – i znane również sobie – fakty? Czy celem takim nie byłoby podważanie ogólnej reputacji Żydów jako narodu i podżeganie do nienawiści przeciwko nim?

Niestety jednak, taki cel – w hipotetycznym przypadku, o jakim jest tu mowa – byłby co najwyżej wyobraźalny, lecz nader trudny do bezspornego udowodnienia. Zauważmy taką rzecz, że w przypadku, gdy mówimy o wypowiedziach zniesławiających jakieś grupy narodowe, rasowe, religijne itd. czy nawołujących do nienawiści wobec takich grup to mamy zazwyczaj na myśli takie wypowiedzi, w których członkowie takich grup w sposób generalny pomawiani są o jakieś negatywne cechy bądź postępowanie i w których wrogość wobec nich jest wyraźnie widoczna. Klasycznym przykładem zniesławienia jakiejś grupy narodowej byłoby stwierdzenie, że wszyscy członkowie tej grupy są (np.) złodziejami (uwierzy ktoś, przepraszam bardzo, w prawdziwość takiego stwierdzenia?). Jeśli chodzi o „nawoływanie do nienawiści” (niekoniecznie będące jednocześnie zniesławieniem, czy też znieważeniem grupy, przeciwko której jest ono skierowane) to – przypuszczam – że za coś takiego mógłby zostać uznany np. rysunek przedstawiający Gwiazdę Dawida powieszoną na szubienicy (choć być może, że znaleźliby się tacy, którzy zechcieliby potraktować tego rodzaju rysunek, jako nawoływanie do ludobójstwa). A także np. hasła typu „Żydzi won!”. Sąd Okręgowy we Wrocławiu w [wyroku](#), który znalazłem w Internecie za „nawoływanie do nienawiści” uznał opublikowanie przez kogoś na portalu internetowym następujących *stwierdzeń*: „Murzyni i A. przywlekli ze sobą brud, syf i choroby, więc trzeba coś na to zaradzić. Dobrze by było dodać do tych szczepionek jakieś środki sterylizujące”, „Nie miałbym jednak nic przeciwko, żeby sprzedać na organy europejskich muzułmanów” i „Nienawiść prawem, nie towarem. Wzywanie do zabijania Polaków=źle. Wzywanie do zabijania pedałów, T. czy innych chujów=OK”. [Sąd Rejonowy w Raciborzu](#) za „nawoływanie do nienawiści” uznał opublikowanie w Internecie takich stwierdzeń, jak „Śmierć żydom! Z powrotem odpalić komory i po problemie!” oraz „Czas najwyższy już aby wyjść na ulice miast i pogonić ten żydowski motłoch!” – czyli stwierdzeń, o których – jeśli się je literalnie odczyta – dałoby się powiedzieć, że nawoływały one do przemocy przeciwko Żydom (aczkolwiek nie to, że stwarzały one realne niebezpieczeństwo jej wzniesienia). Według [Sądu Rejonowego w Wąbrzeźnie](#) nawoływaniem do nienawiści było umieszczenie na Facebooku takich stwierdzeń, jak „wszystkie islamskie kurwy powinny zdechnąć” „nie dla was Polska islamskie skurwysyny” – co było komentarzem do wpisu o treści „ Kto jest za spuszczeniem wpier...l tym poparańcom!?” „wynocha z polski ukraińskie kurwy” i „Spokojnie, hitlerowskie pomioty dadzą radę, znają się na tym jak nikt inny” – co było komentarzem do wpisu o treści „Niemieckie krematoria nie nadążają z związku z koronawirusem”. [Sąd Rejonowy dla Krakowa – Krowodrzy](#) za nawoływanie do nienawiści – i jednocześnie

znieważenie grupy ludności – uznał publiczne wznoszenie okrzyków „nienawidzę tych jebanych Żydów, wszystko przez tych pierdolonych Żydów, pojebało im się w głowach”. [Sąd Najwyższy](#) za „nawoływanie do nienawiści” (oraz znieważenie grupy ludności) uznał (uchylając – wniosek Rzecznika Praw Obywatelskich – wyrok umarzający postępowanie ze względu na niestwierdzenie popełnienia przestępstwa stwierdzenie mówiące, że „Z Romami jest tak samo jak z klerem. Nie orzą nie sieją, a plony potężne zbierają. Czy ktoś widział cygana uczciwie pracującego? Żyją tylko z przekrętów, żebractwa i kradzieży. Kombinacje mają w genach i nic tego nie zmieni. Dlatego izolacja lub wygnanie i będzie spokój”. Z kolei Sąd Rejonowy dla Wrocławia – Śródmieścia skazał znanego byłego księdza Jacka Międlara za nawoływanie do nienawiści za to, że stwierdził on, że „To, że synagogi mogą tutaj stać, na naszej polskiej ziemi we Wrocławiu, to że Dutkiewicz i Żydzi mogą się w nich upajać talmudyczną nienawiścią, to jest tylko wynik naszej tolerancji graniczącej z brakiem roztropności” – a także za użycie wyrażenia „żydowska, marksistowska horda”. Odpowiadający razem z nim w jednym procesie Mateusz G. został za to samo przestępstwo skazany z powodu wyrażenia opinii, że islam nie jest religią i nawoływania do jego delegalizacji.

Czegokolwiek nie dałoby się powiedzieć o wspomnianych powyżej wypowiedziach, rzeczą niewątpliwą jest to, że w wypowiedziach tych widoczny jest wyraźnie pejoratywny stosunek do ludzi charakteryzujących się jakąś narodowością bądź jakimś wyznaniem. Jednak w podanym przeze mnie – hipotetycznym co prawda, ale mimo wszystko absolutnie możliwym przypadku wypowiedzi kwestionującej istnienie komór gazowych w obozach koncentracyjnych i mocno – choć nie w jakiś zupełnie absurdalny sposób – zaniżającej liczbę żydowskich ofiar hitlerowskiego reżimu pejoratywnego stosunku do Żydów po prostu nie ma. Nie dałoby się oczywiście wykluczyć tego, że autor takiej wypowiedzi w rzeczywistości miałby wobec Żydów takie właśnie nastawienie, lecz takiego jego nastawienia nie dałoby się – na zdrowy rozum – udowodnić. A nawet gdyby dało się coś takiego zrobić – w oparciu o np. jakieś inne jego wypowiedzi – to warto przypomnieć, że myśli, przekonania czy nawet intencje jako takie nie są przestępstwami. Można byłoby uznać taką wypowiedź o jakiej tu wcześniej wspominałem za swego rodzaju nawoływanie do nienawiści przeciwko Żydom i zniesławienie Żydów dokonane w przysłowiowych „białych rękawiczkach”? Nie wiem, może ktoś – np. jakiś gorliwy prokurator – mógłby próbować. Lecz sądzę, że nie byłoby z tym łatwo.

Jak widać, nie o każdym możliwym przypadku negowania hitlerowskich zbrodni przeciwko Żydom da się twierdzić, że ma on na celu zniesławienia Żydów jako narodu i pobudzanie do nienawiści przeciwko nim – w przypadku przynajmniej niektórych wypowiedzi negujących te zbrodnie cel taki byłby co najmniej bardzo trudny do wykazania. Lecz jest jeszcze jeden problem: taki mianowicie, czy wypowiedzi negujące czy to jakieś aspekty Holocaustu – np. istnienie komór gazowych, czy też liczbę zamordowanych Żydów - bądź też Holocaust jako taki w

ogóle są czymś, co w sposób szczególnie skuteczny pobudza do uczuć nienawiści wobec Żydów?

Znów, wydaje mi się to wątpliwe. To prawda, że wielu antysemitów czy to po prostu nie wierzy w Holocaust, czy też uważa twierdzenia na temat nazistowskich zbrodni przeciwko Żydom za mocno przesadzone. Uważają oni tak z tego powodu, że takie akurat przekonania na temat Holocaustu są kompatybilne z ich ogólnymi przekonaniami na temat Żydów. Lecz fakt, że antysemita często wierzą np. w to, że w Auschwitz – Birkenau nie było komór gazowych nie oznacza jeszcze tego, że są oni wrogo nastawieni do Żydów właśnie wskutek tego, że wierzą oni w to, że w Oświęcimiu nie było komór gazowych – albo nawet wskutek przekonania ich do opinii, że Holocaust w rzeczywistości nigdy się nie wydarzył. Antysemita mają inne, niż nie zdarzenie się (w ich ewentualnym – na pewno nie podzielanym przez nich wszystkich przekonaniu) Holocaustu powody do tego, by być antysemitami. Jakże to mogą być powody? Otóż jednym z niewątpliwych powodów europejskiego antysemityzmu była odrębność „inność” Żydów od reszty społeczeństwa – fakt, że w jakiś szczególny sposób się oni ubierają, mają własne – tajemnicze do tego rytuały – i oczywiście swoją własną religię i generalnie rzecz biorąc nie asymilują się z resztą ludności. Z pewnością olbrzymią rolę w genezie występowania postaw antysemickich wśród chrześcijan odegrało przekonanie o tym, że Żydzi doprowadzili do zamordowania Pana Jezusa i odrzucili Jego – skierowaną przeciw w pierwszym rzędzie do nich – naukę. Na pewno w genezie antysemityzmu bardzo poważne znaczenie miał fakt prowadzenia przez Żydów działalności bankowej i pożyczania chrześcijanom pieniędzy na procent – czego judaizm zakazywał im robić wobec samych Żydów, a co doktryna chrześcijańska potępiała wobec chrześcijan. Zawieść wobec sukcesów ekonomicznych Żydów – i przegrywanie w rywalizacji z nimi (czasami przynajmniej) przez nie-Żydów też musiała odgrywać w przyczynianiu się do rozbudzania nastrojów antysemickich. Współcześnie wśród antysemitów bardzo rozpowszechnione są przekonania, że Żydzi mają zbyt wiele władzy – czy to w polityce, czy w sferze gospodarki – i że działają skrycie (w Polsce dużą popularnością cieszył się pogląd, że naszym krajem rządzą Żydzi, ukrywający się pod przybranymi nazwiskami – np. Lech Wałęsa – Leiba Kohne, Kwaśniewski – Stolzman, Kaczyńscy – Kalkstein, Macierewicz – Izaak Singer, Głapiński - ? – czyli nie wiadomo jak... ale przecież to też Żyd – zob. [dokument opublikowany w 2016 r.](#), a więc nie tak dawno temu). Do krzewienia przekonań antysemickich w jakiejś mierze najprawdopodobniej przyczynił się mit tzw. żydokomuny – generalnie rzecz biorąc nie odpowiadający prawdzie, jeśli chodzi o czasy przez II wojnę światową, kiedy to tylko 2 – 7% Żydów głosowało na listy wyborcze wystawiane *de facto* przez partię komunistyczną (nie mogła ona otwarcie startować w wyborach jako partia komunistyczna ze względu na jej nielegalność), ale mający jednak sporo wspólnego z prawdą w okresie powojennym, kiedy to (jak można przeczytać w Wikipedii) 167 osób, czyli 37,1% kierowniczej kadry Resortu Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1944–1956 w Polsce stanowili Żydzi i osoby żydowskiego pochodzenia. Współcześnie negatywne nastawienia wobec

Żydów potrafi generować twarda, czy wręcz brutalna polityka państwa żydowskiego – Izraela – i utożsamienie się przez wielu Żydów, w tym także żyjących poza Izraelem, z tym państwem.

Jak zatem widać, antysemita mają ileś – w swoim przekonaniu - powodów do tego, by mieć negatywne nastawienie wobec Żydów (na pewno oczywiście nie wymieniałem powyżej wszystkich) i nie wydaje się prawdopodobne, by przekonanie o tym, że Holocaustu – czy jakichś jego elementów – np. komór gazowych – nie było mogło być jakimś szczególnym motorem takiego nastawienia.

Mówiąc na temat tego, czy negowanie Holocaustu może się przyczyniać do rozbudzania nienawiści wobec Żydów warto też – jak sądzę – zastanowić się nad jedną rzeczą, nad którą – przypuszczam – bardzo mało kto się zastanawia, a mianowicie nad tym, czy mówienie o Holokaucie – oraz innych prześladowaniach Żydów (np. zmuszaniu Żydów do mieszkania w gettach, rozmaitych pogromach itd.) – przy czym chodzi tu oczywiście o mówienie prawdy – nie może pobudzać postaw antysemitycznych. Oczywiście, coś takiego z pewnością nie jest w stanie pobudzać takich postaw u większości ludzi (choć większość ludzi z pewnością nie stanie się antysemitami pod także wpływem usłyszenia bądź przeczytania, że Holocaustu nie było – a kształtowaniu takiego przekonania można przeciwdziałać wykazując, że Holocaust jednak się zdarzył). Ludzie, dowiadując się o prześladowaniach Żydów i zbrodniach przeciwko nim na ogół będą im współczuć, a wiedza o tym, że takie rzeczy się działy będzie generować u nich przekonanie, że wrogość wobec Żydów jest czymś złym. Lecz u jakiejś – nie wiem jak dużej, miejmy nadzieję, że bardzo małej – części ludzi przekazy o prześladowaniach Żydów – trwających przecież przez całe wieki – mogą generować przekonanie o tym, że prześladowania te musiały mieć jakiś powód poza bezrozumną nienawiścią wobec Żydów i że prześladowań tych nie byłoby, gdyby Żydzi nie mieli jakichś szczególnie negatywnych cech. Mówiąc o tym, jak (i czy w ogóle) wypowiedzi kwestionujące Holocaust mogą przyczyniać się do rozbudzania wrogości wobec Żydów, warto też zastanowić się nad inną rzeczą – taką mianowicie, czy mówienie (prawdy) o Holokaucie nie może przyczyniać się do pobudzania wrogich nastawień wobec Niemców – którzy w końcu jednak Holocaust zorganizowali. Znow, oczywiście, trudno byłoby sobie poważnie wyobrazić to, żeby mówienie prawdy o Holokaucie miało zostać zakazane, ponieważ przekazy na temat popełnianych niegdyś przez Niemców zbrodni mogą u niektórych ludzi wywoływać wrogie emocje wobec Niemców jako takich. Lecz chciałbym jednak zauważyć, że istniejące w niektórych krajach europejskich prawa skierowane przeciwko negowaniu hitlerowskich (choć np. w Polsce także komunistycznych) zbrodni przeciwko ludzkości działają tylko w jedną stronę: zakazują one kwestionowania takich zbrodni (czy niekiedy także ich „bagatelizowania”), ale nie rozdymania takich zbrodni ponad ich rzeczywiste rozmiary, czy też przypisywania ich sprawcom metod działania, którymi oni (zasadniczo przynajmniej rzecz biorąc – przepraszam, ale nie znam się na Holokaucie aż na tyle, żebym mógł powiedzieć, że takie rzeczy w ogóle się nie zdarzały – raczej miały one przynajmniej czasem miejsce, czego przykładem może

być zbrodnia na Żydach w Jedwabnem, gdzie kilkuset Żydów spalono w stodole) się nie posługiwali – takich np. jak masowe palenie Żydów na stosach, czy rozjeżdżanie Żydów czołgami. Nie mogą tego rodzaju wypowiedzi pobudzać u niektórych osób uczuć nienawiści wobec Niemców, której to nienawiści – jako czemuś potencjalnie groźnemu, mogącemu prowadzić do poważnej przemocy – zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” (i „kłamstwa oświęcimskiego” jak popularnie określa się wypowiedzi negujące nazistowskie zbrodnie przeciwko Żydom) – chcieliby przeciwdziałać także za pomocą zakazywania pewnych wypowiedzi (przy czym z mówieniem po prostu prawdy o Holocauście – jako możliwym źródłem nienawistnych emocji wobec Niemców może być większy problem, niż z wyolbrzymianiem jego rozmiarów – czy w ogóle wyolbrzymianiem rozmiarów nazistowskich zbrodni – w przypadku wypowiedzi stwierdzających nieprawdę można łatwo i w dodatku w sposób całkowicie uczciwy wykazywać fałszywość przedstawianych w nich faktów – w przypadku wypowiedzi stwierdzających prawdziwe i udowodnione fakty coś takiego jest na zdrowy rozum cokolwiek trudniejsze)? Jednak mówienie nieprawdy na temat Holocaustu w sensie np. drastycznego powiększania rozmiarów tej zbrodni – czyli, dajmy na to, pisanie o tym, że Niemcy wymordowali nie 6, ale np. 10, czy 12 milionów Żydów, albo że dokonywali okrucieństw tego rodzaju, jak np. znana z Chin [kara tysiąca cięć](#) (co z ich strony, o ile mi wiadomo, nie miało miejsca) nie jest zakazane i nikt, jak się zdaje, nie proponuje zakazać czegoś takiego w oparciu o zupełnie możliwe w odniesieniu do takich wypowiedzi argument, że mogą się one przyczyniać do rozbudzania uczuć nienawiści wobec Niemców. Jest w tym wszystkim jakaś logika?

9. Myślę, że odnosząc się do problemu tego, czy zakazy *hate speech* mogą przyczyniać się do redukcji liczby *hate crimes* warto jest też zaprezentować zestawienie dotyczące liczb niewątpliwie najgroźniejszych przestępstw z nienawiści, tj. zabójstw, w krajach, w których przestępstwa takie były regularnie odnotowywane, tj. we Francji, w Niemczech i w USA w latach 2015 – 2020. Zestawienie to w odniesieniu do poszczególnych tych krajów wygląda następująco: **Francja:** 2015 r. – 31 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 2,15 mln mieszkańców, 2016 r. – 10 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 6,67 mln mieszkańców, 2017 r. – 5 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,39 mln mieszkańców, 2018 r. – 3 zabójstwa, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 22,36 mln mieszkańców, 2019 r. – 7 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 9,61 mln mieszkańców, 2020 r. – nie odnotowano we Francji zabójstw stanowiących przestępstwa z nienawiści. **Niemcy:** 2015 r. – 11 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 7,43 mln mieszkańców, 2016 r. – 26 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 3,17 mln mieszkańców, 2017 r. – 6 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,78 mln mieszkańców, 2018 r. – 13 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 6,38 mln mieszkańców, 2019 r. – 16 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 5,19 mln mieszkańców, 2020 r. – 6 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,87 mln mieszkańców. **USA:** 2015 r. – 17 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 18,86 mln mieszkańców, 2016 r. – 9 zabójstw, jedno

zabójstwo uznane za hate crime na 35,9 mln mieszkańców, 2017 r. – 15 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 21,67 mln mieszkańców, 2018 r. – 24 zabójstwa, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 13,61 mln mieszkańców, 2019 r. – 51 zabójstw, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 6,44 mln mieszkańców, 2020 r. – 22 zabójstwa, jedno zabójstwo uznane za hate crime na 14,97 mln mieszkańców. Biorąc pod uwagę, że w latach 2015 – 2020 ludność Francji liczyła, średnio rzecz biorąc, 66,97 mln osób, ludność Niemiec 82,47 mln osób, zaś ludność Stanów Zjednoczonych 325,1 mln osób można obliczyć, że w okresie tym jedno zabójstwo będące przestępstwem z nienawiści przypadało we Francji na – przeciętnie - 7,18 mln osób rocznie, w Niemczech na 6,34 mln osób rocznie, zaś w USA na 14,13 mln osób rocznie.

10. Warto zwrócić uwagę, że daleko posuniętą kryminalizacją wypowiedzi groził przedstawiony przez PO w 2017 r. pomysł wprowadzenia do kodeksu karnego art. 127a o treści „Kto, mając na celu zmianę konstytucyjnego ustroju RP w sposób sprzeczny lub niezgodny z konstytucją RP, podejmuje samodzielnie lub w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą bezpośrednio lub pośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5”. Projekt uchwalania takiego przepisu był reakcją na dokonywane przez PiS – w sposób niezgodny z regulaminem Sejmu – zmiany w sądownictwie. Motywację stojącą za wniesieniem projektu uchwalenia tego przepisu w sposób nader dobitny przedstawił na zorganizowanej w Sejmie konferencji prasowej ówczesny szef PO Grzegorz Schetyna: „Składamy wniosek o nowelizację Kodeksu karnego, w którym ci wszyscy, którzy będą wspierać Jarosława Kaczyńskiego i tych, którzy będą głosować dzisiaj za odebraniem polskiemu sądom niezawisłości i niezależności - wszyscy za to zapłacą. Zapłacą w wolnej Polsce, zapłacą prawnie A Jarosław Kaczyński jako prezes ugrupowania, które w systemowy sposób łamie prawo i niszczy polską niezależność i niszczy polską wolność, zostanie oskarżony przez nas o sprawstwo kierownicze tej zbrodni”.

Przepis przewidujący możliwość wsadzenia posłów do więzienia za to, jak głosowali nad jakąś ustawą w oczywisty sposób naruszałby art. 105 ust. 1 konstytucji, który mówi, że „Poseł nie może być pociągnięty do odpowiedzialności za swoją działalność wchodzącą w zakres sprawowania mandatu poselskiego ani w czasie jego trwania, ani po jego wygaśnięciu. Za taką działalność poseł odpowiada wyłącznie przed Sejmem, a w przypadku naruszenia praw osób trzecich może być pociągnięty do odpowiedzialności sądowej tylko za zgodą Sejmu”. Zaś zastosowanie go wobec posłów głosujących za jakąś – choć rzeczywiście zmieniającą konstytucyjny ustrój RP w sposób sprzeczny lub niezgodny z Konstytucją RP – ustawą łamałoby też mającą charakter konstytucyjny (art. 42 ust. 1) zasadą niedziałania prawa karnego wstecz.

Do wprowadzenia do kodeksu karnego proponowanego przez PO art. 127a rzecz jasna nie doszło – i bardzo wątpliwe jest to, by jego pomysłodawcy mieli jakąkolwiek nadzieję na to, że przepis ten zostanie uchwalony. Lecz wyobraźmy sobie, że przepis taki w kodeksie karnym jednak by się znalazł. Gdyby tak się stało, za co można byłoby „beknąć” na jego podstawie?

Otóż nie za działalność bezpośrednio zmierzającą do zmiany konstytucyjnego ustroju RP przy użyciu przemocy – to od dawna jest zakazane pod karą od 10 lat więzienia do dożywocia włącznie przez art. 127 § 1 k.k. (jeśli działalność taka podejmowana jest w porozumieniu z innymi osobami). Więc za co? Tu zastanówmy się nad sformułowaniem: „działalność zmierzająca bezpośrednio lub pośrednio do zmiany konstytucyjnego ustroju RP w sposób spreczny lub niezgodny z konstytucją RP”. Jakiego rodzaju czyny mogłyby zostać uznane za taką działalność – z perspektywą, jak chciała tego PO, minimum pięciu lat odsiadki za ich popełnienie?

To nie jest jasne. Po pierwsze, zachodzi pytanie o to, czy pod pojęciem „działalności zmierzającej (...) do zmiany konstytucyjnego ustroju RP w sposób spreczny lub niezgodny (przepraszam bardzo, ale jaka jest różnica między „sprzecznością” a „niezgodnością”?) z konstytucją RP należałoby rozumieć działalność zmierzającą do zmiany konstytucyjnego ustroju RP na jakiś inny ustrój – który oczywiście byłby „spreczny lub niezgodny” z konstytucją RP w tym kształcie, w jakim ta aktualnie istnieje, czy też pojęcie to obejmowałoby wyłącznie *sposób* dokonania zmiany konstytucyjnego ustroju RP, który nie mógłby być „spreczny lub niezgodny” z jej konstytucją? W pierwszym przypadku za przestępstwo, podlegające karze minimum 5 lat więzienia mogłoby zostać uznane przedstawienie propozycji zmiany choćby jednego przepisu znajdującego się w konstytucji. Można byłoby przecież twierdzić, że gdyby konstytucja została zmieniona, to tym samym zmianie uległby konstytucyjny ustrój państwa, w sposób „spreczny lub niezgodny” z aktualnym brzmieniem konstytucji.

Zakaz tego rodzaju działalności – która mogłaby do zmiany konstytucyjnego ustroju RP zmierzać zarówno bezpośrednio, jak i tylko pośrednio – stanowiłby niesłychane w demokratycznym państwie ograniczenie wolności słowa. A także – dodajmy – niesłychane zamrożenie konstytucyjnego ustroju państwa w jego istniejącej postaci. Aczkolwiek taka interpretacja proponowanego swego czasu przez PO nie byłaby – podejrzewam – całkowicie wykluczona, przypuszczam, że komuś, kto wymyślił ten przepis nie chodziło o to, by wykluczyć wszelką możliwość dokonania zmiany konstytucyjnego ustroju RP – i siłą rzeczy działalności zmierzającej bezpośrednio czy też pośrednio do przeprowadzenia takiej zmiany – lecz tylko o to, zmiana taka, niezależnie od tego, jaka by ona nie była, nie mogła zostać przeprowadzona w sposób „spreczny lub niezgodny” konstytucją.

W demokratycznym, praworządnym – i do tego mający konstytucję – państwie rzeczą, jak mi się wydaje, oczywistą jest to, że zmiana konstytucyjnego ustroju państwa może

nastąpić wyłącznie w sposób zgodny z konstytucją. Lecz czym innym jest wykluczenie możliwości zmiany ustroju w sposób inny, niż przewidziany w konstytucji, a czymś innym kryminalizacja wszelkiej działalności zmierzającej bezpośrednio lub nawet tylko pośrednio zmierzającej do dokonania takiej właśnie – niekonstytucyjnej – zmiany. Zauważmy, że działalność groźna, polegająca na stosowaniu przemocy – i zmierzająca w ten sposób do dokonania zmiany konstytucyjnego ustroju RP – od dawna jest zakazana i to pod groźbą bardzo wysokiej kary (co najmniej 10 lat więzienia). Chodzić by tu więc musiało o działalność innego rodzaju – nie polegającą na stosowaniu przemocy ani nawet w ogóle na popełnieniu jakiegokolwiek przestępstwa. Co mogłoby być taką działalnością? Platformie Obywatelskiej chodziło o działania Prawa i Sprawiedliwości zmierzające do dokonania – przyjmijmy, że faktycznie w sposób sprzeczny z Konstytucją – zmian w sądownictwie. Z pociągnięciem pomysłodawców tych zmian czy posłów głosujących nad nimi na podstawie zaproponowanego przez PO art. 127a kodeksu karnego byłyby (gdyby oczywiście przepis ten w kodeksie karnym znalazł) problemy, o jakich wspominałem już wcześniej. Ale gdyby art. 127a trafił do kodeksu karnego, obowiązywałby on także na przyszłość. Co więc mogłoby ewentualnie zostać uznane za karalną na jego podstawie „działalność zmierzająca bezpośrednio lub pośrednio do zmiany konstytucyjnego ustroju RP w sposób sprzeczny lub niezgodny z konstytucją RP”? Otóż, pewne przykłady takiej – zagrożonej w przypadku obowiązywania proponowanego przez PO karą minimum 5 lat więzienia działalności można sobie wyobrazić. Przypuśćmy np. że ktoś zaproponowałby, by konstytucyjne organy RP – Sejm, Senat, Prezydent, Rada Ministrów, Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny – dobrowolnie się rozwiązały, a na ich miejsce w sposób oddolny powstałyby inne, nowe organy władzy państwowej – albo też np. zapanowałaby anarchia – tak, że żadnych centralnych organów państwowych by w ogóle nie było. Bądź ewentualnie, by lud obwołał kogoś (albo np. prymas mianował) kogoś królem i wszystkie istniejące władze państwowe podporządkowałyby się tak powołanemu monarsze. Jasne jest, że zmiana ustroju państwa – niezależnie od tego, jaka merytorycznie rzecz biorąc by nie była – nie powinna nastąpić w taki, jak zostało to tutaj przedstawione, sposób. Jasne jest też jednak to, że przedstawienie takiej propozycji zmiany konstytucyjnego ustroju RP byłoby całkowicie niegroźne, gdyż propozycja taka nie miałaby jakiegokolwiek szansy na urzeczywistnienie. Lecz mimo wszystko przedstawienie takiej propozycji mogłoby – gdyby art. 127a k.k. był obowiązującym prawem – zostać uznane za działalność co najmniej pośrednio zmierzającą do zmiany konstytucyjnego ustroju RP w sposób sprzeczny lub niezgodny z konstytucją RP. Lub ewentualnie za publiczne nawoływanie do popełnienia zbrodni, za co zgodnie z art. 255 § 2 k.k. grozi do 3 lat odsiadki. Zaś pozytywne wyrażenie się o takiej propozycji mogłoby zostać potraktowane jako publiczne pochwalanie popełnienia przestępstwa, co według art. 255 § 3 zagrożone jest karą grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku. Czy Platforma Obywatelska, przedstawiając kilka lat temu pomysł wprowadzenia do kodeksu karnego przepisu, według którego przestępstwem miało być „podjęcie samodzielnie lub w porozumieniu z innymi osobami działalności zmierzającej bezpośrednio lub pośrednio do zmiany konstytucyjnego ustroju RP w

sposób sprzeczny lub niezgodny z konstytucją RP” chciała – i to pod karą minimum pięciu lat pozbawienia wolności – zabronić snucia tego rodzaju fantazji, jak wspomniane powyżej? To raczej nie wydaje mi się wiarygodne. Cel propozycji PO – która i tak nie miała żadnych szans na uchwalenie – był inny: było nim pokazanie, jak bardzo chce się ukarać PiS za jego działalność i jak działalność ta jest zbrodnicza. Nie twierdzę, że Platforma Obywatelska nie miała racji w swoim sprzeciwie wobec działań PiS-u wokół sądownictwa. Oczywiście, nie śledzę szczegółowo wszelkich zmian w przepisach dotyczących sądownictwa (swoją wiedzę na ten temat czerpię z ogólnych środków przekazu), ale chciałbym zauważyć, że niektóre z uchwalonych w ostatnich latach przepisów dotyczących tej gałęzi władzy są jeśli nie *per se* absurdalne, to co najmniej łatwo – i zupełnie logiczny sposób – prowadzące do absurdalnych wniosków. Weźmy tu choćby słynną ustawę tzw. kagańcową z grudnia 2019 r. Na mocy tej ustawy do Prawa o Urzędzie Sądów Powszechnych zostały wprowadzone m.in. dwa przepisy: art. 55 § 1 zgodnie z którym „Sędzią sądu powszechnego jest osoba powołana na to stanowisko przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, która złożyła ślubowanie wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej” (ten przepis istniał już wcześniej, wspomniana ustawa zmieniła tylko jego brzmienie) oraz (zupełnie już nowy) art. 42a § 2 według którego „Niedopuszczalne jest ustalanie lub ocena przez sąd powszechny ani inny organ władzy zgodności z prawem powołania sędziego ani wynikającego z tego powołania uprawnienia do wykonywania zadań z zakresu wymiaru sprawiedliwości”. Wyobraźmy sobie w związku z tymi przepisami taką oto sytuację: prezydent Andrzej Duda – albo ewentualnie już jakiś inny prezydent – mianowałby mnie sędzią. Np. dlatego, że mam dobre wyczucie prawa, umiem myśleć prawniczo... a jak czegoś nawet nie wiem, to mogę sobie doczytać. Złożyłbym ślubowanie wobec Prezydenta i stałbym się sędzią jakiegoś sądu. Przypuśćmy jednak, że jakiś inny sędzia – np. sędzia rozpatrujący apelację od wydanego przeze mnie wyroku, czy też np. prokurator powiedziałby: „zaraz, zaraz! Ale ten pan nie skończył studiów prawnych, nie odbył aplikacji sędziowskiej, nie był asesorem, jego kandydatura na sędziego nie została przedstawiona Prezydentowi przez Krajową Radę Sądownictwa. Ten pan nie może być sędzią!”. To wszystko byłaby prawda, ale zgodnie z art. 42a § 2 u.s.p. żaden sąd, ani inny organ władzy nie mógłby czegoś takiego stwierdzić, gdyż w przypadku, jeśli ktoś został powołany na sędziego przez prezydenta i złożył przed nim ślubowanie żaden sąd lub inny państwowy organ nie może ustalać bądź oceniać tego, czy ten ktoś został powołany na stanowisko sędziowskie zgodnie z prawem i czy ma on prawo rozpatrywać sprawy w sądzie, choćby nawet mianowanie danej osoby na stanowisko sędziego było w sposób oczywisty bezprawne. Krytyka zmian dokonywanych przez PiS w sądownictwie była więc (i jest) całkowicie ok. Jednak „działalność zmierzająca do zmiany konstytucyjnego ustroju RP w sposób sprzeczny lub niezgodny z konstytucją RP” pod którą Platforma Obywatelska chciała podciągnąć pisowskie reformy dotyczące sądów (choć nie tą zmianę, o której wspomniałem powyżej – ta była późniejsza) w istocie rzeczy może – w odróżnieniu od działalności zmierzającej do zmiany ustroju RP przemocą – być praktycznie rzecz biorąc tylko działalnością polegającą na słowach. Lecz cóż, jeśli chodzi o podejście do kwestii wolności to w

gruncie rzeczy wszyscy w Polsce (a w każdym razie wszystkie ugrupowania polityczne) są mniej więcej siebie warci.

11. W przedstawionym przez rząd projekcie nowelizacji kodeksu karnego znajduje się m.in. propozycja, by karać nie tylko – jak było to dotąd – za „publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego państwa” ale także za publiczne propagowanie ideologii nazistowskiej, komunistycznej lub faszystowskiej, a także ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne. Jest to propozycja w oczywisty sposób mająca na celu rozszerzenie zakresu ograniczeń swobody wypowiedzi, przy czym myślę, że szczególną uwagę należy zwrócić na jej ostatni człon – tj. postulowany w niej zakaz propagowania ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne – jako, że występujące w obecnej wersji kodeksu karnego pojęcie „propagowania faszystowskiego lub innego ustroju państwa” jest przez polskie sądy traktowane zazwyczaj bardzo luźno i na podstawie przepisu przewidującego karę za publiczne propagowanie takiego ustroju ludzie skazywani są za wypowiedzi o których prędeży dałoby się powiedzieć to, że propagują one – w bardzo ogólnikowy sposób – jakąś ideologię nazistowską, niż to, że propagują one ustrój państwa w rozumieniu jakiegoś systemu organów władzy i w ogóle porządków mających panować w państwie – weźmy tu wyroki za „hajlowanie” czy też śpiewanie „100 lat niech żyje nam Adolf Hitler” (tyle to już by dotąd pożył... i to dawno).

Dlaczego propozycja karania za propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne jest niebezpieczna? Otóż, myślę, że niebezpieczeństwo tej propozycji można wykazać porównując postulowany w niej zakaz publicznego propagowania ideologii nawołującej do stosowania przemocy w pewnych określonych celach z istniejącym już od dawna w polskim prawie karnym zakazem publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa – a więc także, do stosowania przemocy (takiej w każdym razie, która jest przemocą bezprawną). W zakazach tych w oczywisty sposób nie może chodzić o to samo. Jaka jest więc między nimi różnica?

Otóż, różnica polega na tym, że aby jakaś wypowiedź mogła zostać uznana za nawoływanie do popełnienia przestępstwa to wypowiedź ta musi zachęcać do dokonania jakiegoś czynu zabronionego przez polskie prawo karne. Jest to zresztą, jak pisałem w tym tekście (i również gdzie indziej) zbyt daleko idące ograniczenie słowa, z tego względu, że na podstawie przepisów zakazujących publicznego nawoływania do popełnienia czy to występku, czy też zbrodni można karać za wypowiedzi które w praktyce nie są groźne. Niemniej jednak, do skazania kogoś za publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa konieczne jest stwierdzenie, że poprzez swoją wypowiedź ten ktoś propagował jakieś działanie zakazane przez polskie prawo karne.

Jednak, jeśli obowiązującym prawem stałby się przepis zakazujący m.in. publicznego propagowania ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie

polityczne lub społeczne konkretna wypowiedź wcale nie musiałaby nawoływać do użycia takiej przemocy – bo nawoływanie do użycia przemocy w celu wpłynięcia na bieg życia politycznego lub społecznego z łatwością mogłoby zostać potrącone jako po prostu od dawna karalne publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa – lecz wystarczające byłoby to, że do użycia takiej przemocy nawoływałaby propagowana przez taką wypowiedź ideologia.

I tu zaczynają się przysłowiowe schody. Ideologie, jak wiadomo, są czymś złożonym, mającym zazwyczaj wielu głosicieli, z których nie wszyscy głosili identyczne poglądy, lecz np. jedni byli bardziej (bądź mniej) radykalni od drugih. Stosowanie przemocy w celu zrealizowania wskazywanych przez takie czy inne ideologie postulatów propagowali np. niektórzy anarchiści, komuniści, niektóre feministki, a także niektórzy obrońcy środowiska naturalnego oraz praw zwierząt. Czy skoro niektórzy propagatorzy wspomnianych ideologii propagowali przemoc, to czy można byłoby uznać całe tego typu (czy jeszcze inne) ideologie za „nawołujące do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne” i wszelkie propagowanie takich ideologii traktować jako przestępstwo zagrożone karą do 3 lat więzienia, czy też należałoby się jednak bardziej z tym wszystkim rozdrabniać i karać za propagowanie tylko jakichś węższych wycinków takich ideologii – które faktycznie zawierają wezwania do stosowania przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne? To pierwsze mogłoby prowadzić do karania za propagowanie absurdalnie wręcz szerokiego zakresu poglądów (przy czym tu też pojawiałby się problem, gdzie kończy się niekaralne propagowanie jakiejś opinii, a gdzie zaczyna się podlegające karze propagowanie ideologii – jakiś pojedynczy pogląd nie jest jeszcze ideologią, lecz gdzie jest granica między jednym, a drugim?), zaś z tym drugim też byłyby kłopoty.

Zadaję sobie takie pytanie: czy prokuratorzy i sędziowie orzekający w sprawach o „publiczne propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne” mieliby badać to, czy w wypowiedziach oskarżonych znajdują się jakieś (pozytywne) odwołania do dzieł autorów, którzy w imię dążenia do realizacji postulatów takiej czy innej ideologii propagowali uciekanie się do siłowych działań? Logicznie rzecz biorąc, chyba tak. Warto jednak powiedzieć, jakie – przykładowo – wypowiedzi mogłyby być karane jako „publiczne propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne”. I tak np. za przestępstwo mogłoby zostać uznane wyrażenie opinii, że warto przeczytać dzieła takich autorów, jak Paul Brousse, Carlo Cafiero czy Errico Malatesta, którzy głosili idee „propagandy czynem” czyli sabotażu i organizowania zbrojnych wystąpień. Nietrudno byłoby przecież twierdzić, że wyrażenie opinii, iż teksty wspomnianych autorów są warte czytania i zapoznania się z nimi jest propagowaniem prezentowanej w tych tekstach ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne. Podobnie za przestępstwo mogłaby zostać uznana sugestia zapoznania się z manifestem „Scum” ekstremistycznej feministki Valerie Solanas, a to z powodu

zawartej w tym tekście idei fizycznej eliminacji mężczyzn. Dalej, zachęcanie do przeczytania „Manifestu Komunistycznego” Marksa i Engelsa – jeśli nie zostałyby uznane za propagowanie ideologii komunistycznej – mogłoby zostać uznane za propagowanie ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne z powodu znajdującego się w końcowej części tej książki stwierdzenia, że cele, do osiągnięcia których dążą (czy też może raczej dążyli) komuniści „mogą być osiągnięte jedynie przez obalenie przemocą całego dotychczasowego ustroju społecznego”. Za przestępstwo mogłoby też zostać uznane propagowanie islamu, a to chociażby ze względu na zawarte w Koranie tzw. wersety miecza, wzywające muzułmanów do zbrojnej walki z niewiernymi. Można byłoby przecież twierdzić, że obecność takich, propagujących przemoc fragmentów w świętej księdze muzułmanów oznacza, że islam jest ideologią nawołującą do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne (zgodzimy się chyba, że religie są szczególnego rodzaju ideologiami) – a propagowanie islamu, nawet bez bezpośredniego odwoływania się do rzeczonych wersetów, jest propagowaniem ideologii, której częścią jest nawoływanie do użycia przemocy w celach określonych w art. 256 § 1a k.k.

Na gruncie proponowanego przez rząd zapisu pojawiałby się też problem, kiedy mamy do czynienia z karalnym publicznym propagowaniem ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne, a kiedy jedynie z dozwolonym jeszcze neutralnym (bądź tym bardziej potępionym) prezentowaniem takiej ideologii. Dużo, na moje wyczucie mogłoby w tej kwestii zależeć od tego, kto w jakiś sposób wspominałby o takiej ideologii bądź jej głosicielach – czy byłby to np. naukowiec – politolog, czy też działacz jakiejś radykalnej (choć niekoniecznie popełniającej czy propagującej przestępstwa) organizacji. Znaczna mogłaby być w tym zakresie przysłowiowa „szara strefa”. Zadajmy sobie pytanie: czy ktoś piszący w medium społecznościowym, że warto przeczytać manifest „Scum” Valrie Solange – albo po prostu podający link do tego tekstu – po prostu neutralnie przedstawia prezentowaną w tym tekście ideologię nawołującą do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne oraz społeczne (w postaci wymordowania mężczyzn), czy też zachęca do zapoznania się prezentującym taką ideologię tekstem bez zamiaru przekonywania swych odbiorców do owej ideologii, czy może jednak propaguje taką ideologię? Przecież odpowiedź na takie pytanie musiałaby być czymś całkowicie subiektywnym. I odnośnie zapisu o publicznym propagowaniu ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne warto zadać jeszcze jedno pytanie: czy propagowanie takich ideologii – szczególnie takie, którego nie dałoby się karać jako np. publicznego nawoływania do popełnienia przestępstwa – jest obecnie w Polsce zauważalnym problemem społecznym i źródłem realnych zagrożeń?

11. Zob. w tej kwestii: [Kara za aborcję jak za zabójstwo?](#), [Zakaz aborcji ‘eugenicznej’ – i co dalej?](#) oraz [Aborcja: radykalna propozycja](#) (tzn. że aborcja powinna być

dozwolona, ale przerwanie ciąży wbrew woli kobiety powinno – o ile sprawca takiego czynu ma świadomość, że kobieta jest w ciąży – być karne tak samo, jak morderstwo.

12. Zob. Aliza Luft [„Dehumanization and the Normalization of Violence: It’s Not What You Think”](#).

13. Sądzę, że pewnym precedensem dla propozycji zawartej w projekcie ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie mógł też być przepis dotyczący przestępstwa zwanego popularnie „kłamstwem oświęcimskim”, które w polskim wydaniu polega na publicznym i wbrew faktom zaprzeczaniu zbrodniom, o których mowa w art. 1 pkt 1 Ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, tj. popełnionym na osobach narodowości polskiej lub obywatelach polskich innych narodowości w okresie od dnia 8 listopada 1917 r. do dnia 31 lipca 1990 r. zbrodniom nazistowskim, zbrodniom komunistycznym, zbrodniom ukraińskich nacjonalistów i członków ukraińskich formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą Niemiecką, a także innym przestępstwom stanowiącym zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości lub zbrodnie wojenne (art. 55 ustawy o IPN). Co do tych wszystkich zbrodni, o których jest mowa w art. 1 wspomnianej ustawy to oczywiście nie mam najmniejszego zamiaru ich kwestionować, podważać ich itd. Chciałbym jednak zauważyć po prostu tyle, że art. 55 ustawy o IPN zrobił z kwestionowania pewnych – ale tylko pewnych – faktów historycznych (i nawet nie wszelkich faktów dotyczących np. Holocaustu – przestępstwem określonym we wspomnianym przepisie nie byłoby np. negowanie faktu zagłady 400 tys. Żydów węgierskich w komorach gazowych Auschwitz – Birkenau w 1944 r. jako że ofiary tej nazistowskiej zbrodni nie były ani osobami narodowości polskiej, ani obywatelami polskimi innej, niż polska, narodowości) przestępstwo, za którego popełnienie można trafić na 3 lata do więzienia. Na mocy proponowanej w 2017 r. ustawy o prawach kobiet i świadomym macierzyństwie pewna – przyjmijmy dla dobra argumentacji, iż rzeczywiście zgodna z faktami – prawda o aborcji czy antykoncepcji nie mogłaby być kwestionowana, jeśli tylko miałaby ona na celu zniechęcania do stosowania antykoncepcji lub przerywania ciąży. Nie ma podobieństwa między jednym i drugim zakazem?

Warto przy okazji zwrócić uwagę na to, że podobny do projektu ustawy o prawach kobiet i świadomym rodzicielstwie projekt (z 2020 r.) [ustawy o bezpiecznym przerywaniu ciąży i innych prawach reprodukcyjnych](#) nie zawiera żadnych przepisów przewidujących ograniczenia wolności słowa bądź zgromadzeń.

14. Zob. [Gitlow v. New York](#) (1925), Holmes, dissenting opinion.

15. Warto, tak przy okazji, wskazać nie tylko na to, jakie wypowiedzi hipotetycznie mogłyby zostać zakazane w oparciu o taką argumentację, przy użyciu której (bez uciekania się do oczywistego fałszu, którym byłoby np. twierdzenie, że obraźliwe i nienawistne wypowiedzi na temat takich czy innych grup rasowych, religijnych, narodowych itd. bezpośrednio powodują przemoc przeciwko osobom należącym do

takich grup) można próbować uzasadnić potrzebę istnienia zakazów (m.in.) „mowy nienawiści”, lecz także na to, jakie wypowiedzi bywały w przeszłości tępione w oparciu o taką właśnie argumentację. W XVII – (i zwłaszcza) XVIII wiecznej Anglii każda krytyka władzy mogła zostać uznana za przestępstwo „wywrotowego oszczerstwa” (seditious libel). Fakt, że krytyka opierała się na prawdzie, nie był usprawiedliwieniem – przeciwnie, obowiązywała doktryna ujęta w słowach „the greater the truth, the greater the libel” – czyli „im większa prawda, tym większe oszczerstwo”. Co było powodem takiego dziwnego, zdawałoby się (przynajmniej z dzisiejszego punktu widzenia) rozumowania? Otóż było nim przekonanie, że wypowiedzi rzucające negatywne światło na postępowanie rządu czy jego konkretnych przedstawicieli sprzyjają społecznym zaburzeniom i próbom przewrotu – oraz że niebezpieczeństwo takie w największym stopniu stwarzają takie stwierdzenia, których fałszywości nie da się udowodnić. Podobne było uzasadnienie karalności religijnego bluźnierstwa, za które do połowy XIX wieku mogła zostać uznana praktycznie każda krytyka chrześcijańskiej religii. Było ono, najogólniej rzecz biorąc takie, że podważanie prawd wiary mówiących np. o tym, że Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobro wynagradza, a za zło karze, czy że istnieje piekło, gdzie na wieczność trafiają i cierpią niewyobrażalne męki dusze grzeszników grozi spowodowaniem upadku moralności, czego konsekwencją byłaby erupcja przemocy i innych przestępczych zachowań. W południowych stanach USA, w których przed Wojną Secesyjną w latach 1861 – 1865 istniało niewolnictwo krytykowanie niewolnictwa zakazywano między innymi w oparciu o argument, że wypowiedzi mówiące o niewolnictwie jako o czymś niemoralnym, okrutnym czy nieludzkim mogą przyczynić się do zrodzenia nastrojów, których konsekwencją będzie przemoc przeciwko właścicielom niewolników. W Polsce w czasach stalinowskich opowiadanie dowcipów politycznych – albo twierdzeń tego np. rodzaju, że samochody amerykańskie są lepsze od radzieckich (to nie żart – pewien żołnierz został za wyrażenie takiej opinii skazany w 1950 r. przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Katowicach na 4 lata więzienia i konfiskatę mienia w całości) było traktowane jako przestępstwo przygotowania do zmiany przemocą ustroju (art. 87 w związku z art. 86 kodeksu karnego wojska polskiego z 1944 r.). Wojskowe sądy, na czele z Najwyższym Sądem Wojskowym były zdania, że takie wypowiedzi, aczkolwiek nie są jeszcze aktami przemocy, to zasługują na karalność – w postaci wieloletniej odsiadki w więzieniu - z tego powodu, że sprzyjają one pobudzaniu nastrojów zwiększających prawdopodobieństwo dokonania siłowego zamachu na najbardziej postępowy w świecie ustrój.

16. Stwierdził to Timothy Garton Ash – zob. Newsweek Polska 12/2022, 21-27.03.22, str. 26. Sprawdziłem.
17. Niewątpliwie bardzo zasadniczym czynnikiem, który przyczynił się do uchwalenia w bardzo wielu krajach zakazów tego, co obecnie nazywa się często „mową nienawiści” – w tym wpisania zakazów takiej „mowy” do pewnych aktów prawnych o charakterze międzynarodowym - był nazistowski holocaust, czy może też raczej pewne zrozumienie jego przyczyn: takie mianowicie, że uprawiana przez Niemców

nazistów nienawistna propaganda przeciwko Żydom wywołała nienawiść przeciwko nim, a to doprowadziło do pozbawienia ich praw obywatelskich, przemocy przeciwko nim – m.in. tzw. Nocy Kryształowej, a wreszcie regularnego ludobójstwa. Jeśli jednak argumentem za kryminalizacją „mowy nienawiści” miałby być argument, że „mowa” taka przyczyniła się swego czasu do nazistowskiego holocaustu – żeby zapobiec powtórzeniu się choćby tylko w części tak strasznego zdarzenia trzeba cokolwiek ograniczyć wolność słowa – opiera się na wątpliwych przesłankach. Po pierwsze, zostało już w tym tekście wspomniane, w hitlerowskich Niemczech nie było czegoś takiego, jak swoboda wypowiedzi. Doświadczeń tego kraju nie można więc automatycznie rozciągać na takie kraje, w których istnieje pełna wolność ekspresji, obejmująca *także* „mowę nienawiści” obok wolności szerzenia wszelkich innych, w tym także skrajnie przeciwnych jej poglądów. Było tu też powiedziane, że jakkolwiek nazistowska propaganda radiowa przeciwko Żydom w Niemczech potęgowała antysemityzm na tych terenach, gdzie był on tradycyjnie wysoki, to miała ona jednak przeciwne skutki tam, gdzie poziom antysemityzmu przed dojściem Hitlera do władzy był niski. Również wydarzenia tzw. „Nocy Kryształowej” – antyżydowskich pogromów do których doszło w Niemczech w nocy z 9 na 10 listopada 1938, w wyniku których zginęło 91 Żydów, spalono 171 synagog, zniszczono 7500 żydowskich sklepów, zdemolowano 171 domów mieszkalnych, zbezczeszczono niemal wszystkie cmentarze żydowskie, zaś 26 tys. Żydów osadzono w obozach koncentracyjnych nie potwierdzają bynajmniej podstawowego przekonania zwolenników zakazów „hate speech” – takiego mianowicie, że „mowa nienawiści” wywołuje u przynajmniej części osób, do których dociera nienawiść wobec osób należących do grup, do których taka „mowa” się odnosi i nienawiść ta, w niektórych przynajmniej przypadkach, wyrażana jest poprzez przemoc. Zauważmy bowiem taką rzecz: „Noc Kryształowa” miała miejsce blisko 6 lat po tym, jak Hitler doszedł do władzy – w warunkach braku demokracji, braku wolności słowa, przy panowaniu policyjnego terroru i bombardowaniu Niemców przez antyżydowską propagandę. Gdyby było tak, że antyżydowska propaganda – której w warunkach istniejących w III Rzeszy nie można było przeciwstawiać się bez narażenia na ciężkie represje (i co różni III Rzeszę od np. USA) – wywoływałyaby u Niemców nienawiść wobec Żydów, a ta nienawiść skłaniałaby ich do stosowania wobec Żydów przemocy, to nie byłoby dla owładniętych antyżydowską nienawiścią Niemców lepszej okazji, by ujawnić swą nienawiść wobec Żydów i wyładować ją na nich (np. bijąc ich czy mordując albo niszcząc należące do nich mienie) niż właśnie Noc Kryształowa – z tego prostego względu, że uczestnicy antyżydowskich pogromów mieli wówczas z góry zagwarantowaną bezkarność. Jednak „Noc Kryształowa” choć w zamierzeniu niemieckich nazistów miała wyglądać na spontaniczny wybuch gniewu niemieckiego ludu przeciwko Żydom, została zorganizowana przez partyjne bojówki NSDAP – SA i (zdaje się, że w mniejszej mierze) SS. Spośród zwykłych, niebędących członkami hitlerowskich bojówek Niemców do aktów wandalizmu przyłączyli się tylko nieliczni.

„Mowa nienawiści” przeciwko Żydom nawet w takich warunkach, jak w III Rzeszy niemieckiej nie spowodowała więc tego, że ludzie, do których oczu czy uszu „mowa”

taka najczęściej z pewnością docierała nabrali ochoty do użycia przemocy przeciwko Żydom i zrobili to wówczas, kiedy mogli mieć do tego najlepszą okazję. A w każdym razie – nie miała i takiego efektu w odniesieniu do większości jej odbiorców. Bo powiedzmy sobie, niektórzy „zwykli” Niemcy, mimo, że nie byli podporządkowani partyjnym rozkazom, wzięli jednak udział w wydarzeniach „Nocy Kryształowej”, (np.) dewastując należące do Żydów mienie. Lecz zwróćmy uwagę na okoliczności, w których ci ludzie – być może, że będący pod wpływem antyżydowskiej „mowy nienawiści” jeśli chodzi o swoje nastawienie wobec Żydów – dokonywali takich czynów i które zasadniczo różnią się od okoliczności występujących w demokratycznym państwie, które toleruje propagowanie wszelkich przekonań, w tym także tych nienawistnych i obraźliwych wobec takich czy innych grup rasowych, narodowych, religijnych itd. Okoliczności te były przede wszystkim takie, że ludzie posuwający się do antysemitycznych aktów wandalizmu czy przemocy w noc z 9 na 10 listopada 1938 r. niewątpliwie mieli, w swoim przekonaniu, zapewnioną bezkarność. To diametralnie różni się od sytuacji występującej w normalnym państwie, gdzie za dokonywanie tego rodzaju czynów ponosi się odpowiedzialność karną, z bardzo realną perspektywą wyładowania w więzieniu. Po drugie, jak była tu już mowa, antyżydowska propaganda w III Rzeszy nie tylko, że nie była cenzurowana, ale też nie mogła spotykać się z odporem. To też jest różne od sytuacji występującej w demokratycznym kraju tolerującym prawnie „mowę nienawiści”, gdzie wypowiedzi obrażające jakieś grupy narodowościowe, rasowe, religijne itp. i celowo pobudzające do wrogości wobec takich grup stanowić mogą co najwyżej drobną część „asortymentu” dostępnego na rynku idei i są więcej, niż równoważone przez przekazy *implicite* bądź *explicite* przeciwstawiające się wyrażanych w takich wypowiedziach opiniom. Wolny rynek idei – na którym z „mową nienawiści” i jej ewentualnym wpływem na odbiorców można walczyć za pomocą wyśmiewania czy potępiania takiej „mowy”, przeciwstawiania fałszywej propagandzie prawdziwych faktów i szerzenia idei tolerancji i zrozumienia w oczywisty sposób nie istniał w hitlerowskich Niemczech. Ale jest czymś generalnie rzecz biorąc istniejącym w dzisiejszych, europejskich krajach – tak samo, jak np. w USA.

Odnosnie „Nocy Kryształowej” jest prawdą, że znakomita większość „zwykłych” Niemców, aczkolwiek osobiście nie przyłączyła się do antyżydowskich pogromów, to nie próbowała Żydom pomóc, zachowała się wobec strasznych zdarzeń, które miały wówczas miejsce, obojętnie. Czy mógł to być wynik wpływu na Niemców antyżydowskiej „mowy nienawiści”? Otóż – w wyobraźalny (dla mnie) sposób mógł być. Jest jednak inne, prostsze i bardziej dla mnie przekonujące wytłumaczenie takiego zachowania: strach przed grożącymi za pomaganie Żydom represjami. Niestety, bohaterów rzadko kiedy znajdzie się wielu.

W kwestii Niemiec warto jest też zwrócić uwagę na to, że przed dojściem Hitlera do władzy antyżydowska „mowa nienawiści” wcale nie była w tym kraju przesadnie tolerowana. To prawda, że ówczesne Niemcy nie miały takiego przepisu przeciwko „mowie nienawiści” jak obecny art. 130 niemieckiego k.k. (artykuł 130 w ówczesnej

wersji mówił o podburzaniu różnych klas ludności do wzajemnych gwałtów – odnosił się on więc do podżegania raczej do czynów, niż tylko do samych emocji – aczkolwiek pewne fakty w sposób ewidentny wskazują na to, że na podstawie tego przepisu ludzie byli karani za wypowiedzi, które żadnych wezwań do przemocy – kryminalizowanych poniekąd przez inny przepis kodeksu karnego – nie zawierały; dobrym przykładem w tej kwestii może być skazanie Wojciecha Korfantego na 4 miesiące więzienia właśnie na podstawie art. 130 k.k. za opublikowanie artykułów „Do Niemców” oraz „Do moich braci Górnoślązaków” które jakkolwiek w oczywisty sposób wyrażały antagonizm polsko – niemiecki, to jednak nie zawierały żadnych zachęt do czynów przestępczych - zetknąłem się też z informacją, że na podstawie wspomnianego przepisu w okresie Republiki Weimarskiej bywały karane wypowiedzi, w których widoczny był antagonizm skierowany wobec Żydów, lecz nie bezpośrednie zachęcanie do przemocy przeciwko nim). Obowiązywał tam jednak taki przepis, jak art. 166, zgodnie z którym przestępstwem zagrożonym karą do 3 lat więzienia było „wywoływanie obrazy wskutek publicznego bluźnienia Bogu poprzez obraźliwą ekspresję”, „znieważenie Kościoła chrześcijańskiego lub jakiejkolwiek wspólnoty religijnej mającej prawa inkorporowane istniejące na terytorium federalnym bądź konstytucji lub zwyczajów takiego Kościoła lub takiej wspólnoty”, a także „znieważające zachowanie w kościele lub innym miejscu przeznaczonym na spotkania religijne”. Jakie wypowiedzi były karane na podstawie tego przepisu? Otóż, redaktor antysemitycznego tygodnika „Der Stürmer” Julius Streicher – poniekąd później skazany w Norymberdze na śmierć i powieszony za podżeganie do ludobójstwa został skazany za opublikowanie artykułu, w którym była mowa o tym, że żydowska religia pozwala Żydom na kłamanie przed nie żydowskim sądem. A także za wyrażenie opinii, iż szereg niewyjaśnionych przez policję zabójstw mogło być morderstwami rytualnymi, dokonanymi przez Żydów – jak również za podobną interpretację przypadku z 1932 r., kiedy to pewna dziewczyna zmarła po tym, jak jej żydowski chłopak usiłował pomóc jej w dokonaniu aborcji, a następnie próbował pozbyć się jej ciała, tnąc je na kawałki i rozrzucając je po rozległym, wiejskim obszarze.

Według czołowej organizacji żydowskiej w przedhitlerowskich Niemczech, jaką była Centralna Rada Obywateli Niemieckich Wyznania Mojżeszowego zaledwie ok. 10% spraw o antysemityczne wypowiedzi, które organizacja ta zgłosiła organom ścigania zostało zlekceważonych lub nieodpowiednio potraktowanych przez władze. Jakie były jednak skutki procesów i wyroków skazujących za antysemityczne wypowiedzi? Otóż np. takie, że zaledwie tydzień po tym, jak Julius Streicher został skazany na 2 miesiące więzienia za zinterpretowanie niewyjaśnionych zabójstw jako żydowskich morderstw rytualnych i wyrażenie opinii, że Talmud pozwala Żydom kłamać przez sądem niezłożonym z Żydów naziści dostali trzy razy większą niż wcześniej liczbę głosów w wyborach do parlamentu krajowego Turynгии. Procesy i wyroki za wypowiedzi atakujące Żydów dawały też ludziom takim, jak Streicher okazję do tego, by robić z siebie męczenników i ofiary żydowskich prześladowań. Na część ludzi w Niemczech to działało – jak w swoim artykule „Words and deeds” pisze Flemming Rose, im więcej Streicherowi stawiano zarzutów, tym większy był dla niego podziw, kiedy

trafiał on do więzienia. Niemieckie sądy w ogóle – według Flemminga Rose – stanowiły dla Streichera ważną trybunę w jego kampanii przeciwko Żydom. Na oponentów Narodowych Socjalistów sprawy wnoszone przeciwko Streicherowi działały natomiast tak, że wywoływały u nich przekonanie, iż nazizm jest niegroźny, gdyż można pokonać przy użyciu prawa karnego. Było to niestety przekonanie wyjątkowo złudne.

Odnosnie Juliusa Streichera warto też zauważyć – była tu już zresztą o tym mowa i chyba jest to też tzw. wiedza powszechna, że został on skazany przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze na karę śmierci i powieszony za publikowanie w tygodniku „Der Stürmer” artykułów – po części swojego autorstwa – zachęcających do mordowania Żydów, co Trybunał uznał za zbrodnię przeciwko ludzkości. Warto jest jednak zwrócić uwagę na to, że w czasie procesu norymberskiego – na którym sprawa Streichera została – jak miałem to okazję swego czasu przeczytać – potraktowana dość zdawkowo – na rzecz tezy, że publikowane w „Stürmerze” skrajnie antyżydowskie, nawołujące do morderstw i eksterminacji artykuły przyczyniły się bezpośrednio, czy choćby pośrednio jakkolwiek zbrodni będących częścią Holocaustu nie przedstawiono żadnych dowodów. Oczywiście, w odniesieniu do stwierdzenia, że nie zostało udowodnione to, że treści publikowane w „Der Stürmer” przyczyniły się do nazistowskich zbrodni przeciwko Żydom ktoś mógłby powiedzieć, że brak (przedstawionego w sądzie) dowodu na coś takiego nie jest dowodem na to, że treści publikowane w tym piśmie nie miały takiego efektu. Lecz są inne przesłanki do tego, by twierdzić, że to nie wpływ antysemitkiej propagandy był tym, co motywowało Niemców – w tym także policjantów i żołnierzy – do udziału w eksterminacji Żydów. Wskazują na to choćby informacje przedstawione w książce amerykańskiego historyka Christophera Browninga „Zwykli ludzie: 101 Policyjny Batalion Rezerwy i "ostateczne rozwiązanie" w Polsce”. Jak wynika z tych informacji, czymś, co skłaniało członków owego batalionu do mordowania Żydów, których zabili oni co najmniej 83 tysiące, był głównie nacisk ze strony kolegów i poczucie konieczności posłuszeństwa wobec władzy, a nie jakieś głęboko antysemityczne przekonania.

Z „mową nienawiści” w Niemczech i holocaustem nie było więc tak, jak wielu ludziom niewątpliwie się to wydaje. Z pewnością jednak obiektywnie rzecz biorąc holocaust – i pewne zrozumienie jego przyczyn, mniejsza już o to, czy słuszne – przyczynił się do rozprzestrzenienia się zakazów tego, co obecnie często nazywa się „mową nienawiści”. Lecz w Stanach Zjednoczonych zakazów „mowy nienawiści” – w tym stylu, jak np. artykuły 256 i 257 polskiego kodeksu karnego czy art. 130 kodeksu karnego RFN, jak zostało tu już wspomniane, nie ma. Jak doskonale wiadomo, w USA holocaust się nie wydarzył – miał on miejsce w Europie. Czy jednak Stany Zjednoczone nie mogły mieć porównywalnie silnych, jak (np.) kraje europejskie powodów, by wprowadzić u siebie zakazy „mowy nienawiści”?

Moim zdaniem, jak najbardziej mogły je mieć. Po pierwsze, co do wspomnianego tu już Holocaustu to faktycznie nie wydarzył się on w USA. Lecz jest przecież rzeczą oczywistą, że był on (i jest) w Ameryce wydarzeniem znanym i trudno jest raczej przypuszczać, by mógł być tam odbierany w jakiś inny sposób, niż w krajach europejskich (może z wyjątkiem Niemiec, gdzie Holocaust nie tylko odbierany jest jako coś potwornego, ale też wywołuje poczucie narodowej winy za to straszne zdarzenie). Poza tym Stany Zjednoczone mogłyby bez trudu znaleźć własne powody do tego, by zabronić „mowy nienawiści” na własnym podwórku. Weźmy tu np. rasizm, którego dziedzictwo w tym kraju było z pewnością potężne. To prawda, że w USA nie zdarzył się Holocaust, czy coś dokładnie do niego podobnego. Lecz było tam trwające setki lat (licząc włącznie z okresem kolonialnym) niewolnictwo i lincze na Murzynach. Zdarzały się też prześladowania i akty przemocy skierowane przeciwko innym grupom – np. Żydom, Chińczykom, Mormonom, czy Świadkom Jehowy. Oczywiście, w okresie, kiedy dyskryminacja takich czy innych grup była traktowana jako rzecz normalna, nikt zapewne nie przejmował się w szczególny sposób skierowaną przeciwko takim grupom „mową nienawiści”. Lecz kiedy dyskryminacja ta przestała być postrzegana jako coś normalnego, na wspomniane zjawisko z pewnością musiała być zwrócona znaczna uwaga. Byłoby rzeczą zupełnie wyobrażalną, gdyby np. w latach 60 XX wieku – kiedy to USA znoszono segregację rasową i uchwalono ustawy zabraniające dyskryminacji rasowej w takich dziedzinach, jak np. zatrudnienie i dostęp do usług – a także zapewniające Czarnym m.in. możliwość swobodnego udziału w wyborach – postanowiono w Stanach Zjednoczonych uchwalić jakieś przepisy zabraniające „podżegania do nienawiści rasowej”. Jednak, nie zrobiono czegoś takiego. Z jakiego powodu?

Po części, odpowiedzią na to pytanie może być Pierwsza Poprawka do amerykańskiej Konstytucji, zabraniająca m.in. ograniczania wolności słowa. Lecz to akurat może być tylko odpowiedź częściowa. Prawda jest bowiem taka, że Pierwsza Poprawka, mimo swego (pozornie przynajmniej) bezwzględного brzmienia nigdy nie była w USA uznawana za prawo zabraniające wprowadzania jakichkolwiek zakazów wypowiedzi. Co więcej, w 1952 r. – a więc niedługo przed okresem tzw. Ruchu na Rzecz Praw Obywatelskich Sąd Najwyższy USA (większością 5 do 4) uznał za zgodny z Pierwszą Poprawką przepis kodeksu karnego stanu Illinois, zgodnie z którym przestępstwem (zagrożonym grzywną od 50 do 200 dolarów) było „przedstawianie deprawacji, przestępczości lub braku cnoty klasy obywateli dowolnej rasy, koloru skóry, wierzeń lub religii”. Taki przepis z praktycznie całkowitą pewnością zostałby uznany za sprzeczny z Pierwszą Poprawką obecnie. Lecz w latach pięćdziesiątych, czy – powiedzmy – przynajmniej wczesnych sześćdziesiątych niekonstytucyjność tego rodzaju zakazu wcale nie musiała być jasna (aczkolwiek z powodzeniem można było twierdzić, że jest on sprzeczny z Konstytucją – i w sprawie [Beauharnais v. Illinois](#) uznało tak 4 z 5 sędziów amerykańskiego Sądu Najwyższego). Z jakiego więc powodu, jak nie tylko z powodu Pierwszej Poprawki nie wprowadzono w USA zakazów „mowy nienawiści” (tzn. żeby już być bardzo ścisłym: zakazy takie wprowadzono w niektórych – nielicznych – stanach, gdzie są one zresztą martwymi

przepisami. Począwszy od lat 80 zakazy tak czy inaczej definiowanej „mowy nienawiści” – wtedy zresztą pojęcie to uległo popularyzacji – zaczęto wprowadzać na amerykańskich uczelniach. Te ograniczenia wolności słowa, jakkolwiek kontrowersyjne – i sprzeczne z amerykańską konstytucją – by nie były – nie były przepisami prawa karnego przewidującymi poważne sankcje – np. więzienie – i dotyczącymi wszystkich członków społeczeństwa). Otóż, jednym z powodów czegoś takiego było to, że wprowadzenia tego rodzaju zakazów nie chcieli sami działacze ruchu na rzecz praw obywatelskich Murzynów. Obawiali się oni tego, że np. protestowanie przeciwko dyskryminacji Czarnych (czy po prostu nawet opisywanie takiej dyskryminacji) mogłoby zostać zinterpretowane jako przedstawianie deprawacji ludzi białych czy też podżeganie do nienawiści przeciwko nim.

W rezultacie – albo nie w rezultacie, czy też nie tylko w rezultacie tego w USA nie ma obecnie tego rodzaju, co np. w Polsce, czy w innych krajach europejskich, bądź w Kanadzie zakazów „mowy nienawiści”. Ale czy Stany Zjednoczone źle wyszły na braku takich zakazów? Trochę już było na ten temat w tym tekście powiedziane. Ale warto zwrócić też uwagę na inne rzeczy. Jak w swoim tekście [„The Harm in Hate Speech Laws”](#) pisze wspomniany tu już Jacob Mchangama „Nie ma chyba lepszego sposobu na zmierzenie poziomu tolerancji i zaangażowania w równouprawnienie społeczeństwa zróżnicowanego etnicznie niż przyjrzenie się małżeństwom międzyrasowym – zakazanym w szesnastu stanach do czasu, gdy Sąd Najwyższy unieważnił prawo dotyczące mieszanych ras w Wirginii w 1967 roku. Statystyki dotyczące stosunku Amerykanów do międzyrasowych małżeństw ujawniają zaskakujący rozwój. Według sondażu Gallupa z 2011 r. tylko cztery procent Amerykanów zaaprobowало małżeństwa międzyrasowe w 1958 r. Lecz w 2011 r. 86 procent Amerykanów nie miało problemu z takimi małżeństwami. Wśród Amerykanów w wieku od 18 do 29 lat aż 97 procent popiera małżeństwa międzyrasowe, co sugeruje, że stosunki rasowe będą się tylko poprawiać. Amerykanie nie tylko bardziej aprobują małżeństwa międzyrasowe, ale także wiążą się ze sobą ponad podziałami rasowymi. Według sondażu Pew z 2012 r. około 15% wszystkich nowych małżeństw w Stanach Zjednoczonych w 2010 r. zawierało osoby różnych ras, ponad dwukrotnie więcej niż w 1980 r. (6,7%)”.

Wspomniana powyżej zmiana – zgodzimy się chyba, że wręcz diametralna – dokonała się bez zakazów „mowy nienawiści” – więcej nawet, była ona skorelowana w czasie z rozszerzeniem gwarancji wolności słowa poprzez np. uznanie przez Sąd Najwyższy USA, że wypowiedzi propagujące przestępcze działania mogą być karane tylko wówczas, gdy mają one na celu wywołanie takich działań w sposób praktycznie natychmiastowy i faktycznie są w stanie takie działania spowodować ([Brandenburg v. Ohio](#), 1969) czy też że wypowiedzi wulgarne i obraźliwe nie mogą być karane wówczas, kiedy nie są obelgami kierowanymi do konkretnych osób ([Cohen v. California](#), 1971). Podobnie też bez zakazów „hate speech” liczba osób o antysemitkich przekonaniach zmniejszyła się w USA z ok. 29% w roku 1964 – kiedy

to ADL zaczęła przeprowadzać badania na ten temat – do ok. 10% wykazanych w badaniu z 2015 r.

Pozytywne zmiany społeczne dokonały się więc w USA bez zakazania tam „mowy nienawiści”. Tymczasem u nas o „mowie nienawiści” i jej możliwych skutkach wygaduje się, za przeproszeniem, bzdury. Weźmy tu np. znaną zapewne każdemu, kto interesował się problemem „hate speech” tzw. Piramidę Allporta, schematycznie pokazującą, jak „mowa nienawiści” prowadzi do coraz to groźniejszych czynów wymierzonych przeciwko osobom należącym do grup, przeciwko którym „mowa” taka jest skierowana. „Piramida” ta ma pięć poziomów. Najniższy z nich to właśnie „mowa nienawiści” – wykluczający język, obraźliwe wypowiedzi na temat takich czy innych grup, rozpowszechnienie plotek, mitów i stereotypów czy też złośliwych żartów o pewnych grupach narodowych, rasowych, religijnych itd. Na drugim poziomie Piramidy Allporta znajduje się społeczna izolacja osób należących do grup będących obiektem „mowy nienawiści” – unikanie takich osób, ich dehumanizacja i demonizacja. Trzeci poziom to już konkretne akty dyskryminacji – gorsze traktowanie osób należących do pewnych grup. Poziom czwarty to fizyczna przemoc, wreszcie poziom piąty to eksterminacja.

Dlaczego z odwoływaniem się do Piramidy Allporta należy być ostrożnym? Otóż, chodzi nie tyle o przedstawiony niegdyś przez Gordona Allporta schemat – o którym przecież nie da się powiedzieć, że jest on w prosty sposób nieprawdziwy – ile raczej o interpretację tego schematu. Ten schemat ma jaki-taki sens w społeczeństwie, w którym jakaś grupa jest obiektem „mowy nienawiści” przy jednoczesnym braku generalnej wolności słowa i wspieraniu istniejących wobec niej uprzedzeń przez władze. Nawet zresztą w takim społeczeństwie prawdopodobieństwo tego, że dojdzie do eksterminacji (czy próby eksterminacji) będącej obiektem nienawistnych wypowiedzi grupy jest, kolokwialnie wyrażając się, palcem na wodzie pisane. Natomiast schemat przedstawiony przez Allporta nie ma zastosowania w odniesieniu do społeczeństwa otwartego i demokratycznego, w którym każdy może wyrażać takie opinie, jakie tylko chce. Są na to dowody: poziom uprzedzeń rasowych, czy przestępstw z nienawiści w USA, gdzie „mowa nienawiści” nie jest prawnie zakazana nie jest wyższy, niż w krajach europejskich, gdzie rasistowskie, antysemitowskie, ksenofobiczne, czy homofobiczne wypowiedzi traktowane są jako przestępstwo – raczej, jest odwrotnie. Tymczasem Piramidę Allporta przedstawia się u nas jako dowód na to, że „mowa nienawiści” – czy też prawna tolerancja wobec takiej „mowy” – w nieuchronny sposób doprowadzi do ludobójstwa, jeśli takiej „mowy” nie zakaże się i nie powstrzyma. Jest to oczywiście kompletna bzdura. I poza tym, warto też zauważyć, że Gordon Allport – na którego powołują się zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” – nie był bynajmniej zwolennikiem takich zakazów. W każdym razie, w swej książce „Natura uprzedzeń” – skąd pochodzi słynna „piramida” – stwierdził on, że uprzedzenia powinny być zwalczane przy użyciu takich metod, jak zakazy dyskryminacyjnych zachowań – innych, niż wypowiedzi obrażające takie czy inne

grupy – edukacji na temat różnic między grupami, oraz wolnego przepływu idei – a nie poprzez ograniczanie swobody ekspresji.

[Strona główna](#)